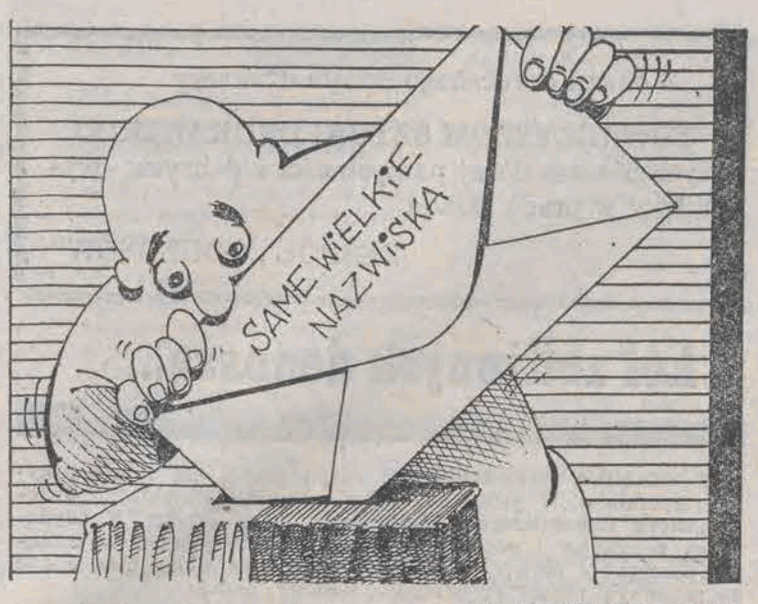

Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 23 (1627) ROK XXXII 4 CZERWCA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

□ J. Kropiwnicki o sporach w „Solidarności" — str. 12
□ Ballada o „Jędrusiu" — str. 10
□ Najbardziej kobiece miasto Polski — str. 6
□ Pachnący szmal na Bałuckim Rynku — str. 11
□ Ucieczka majora Wilka — str. 10
□ Czy musimy budować krematoria? str. 2
□ Ukaz przeciw wąsom i brodom — str. 15

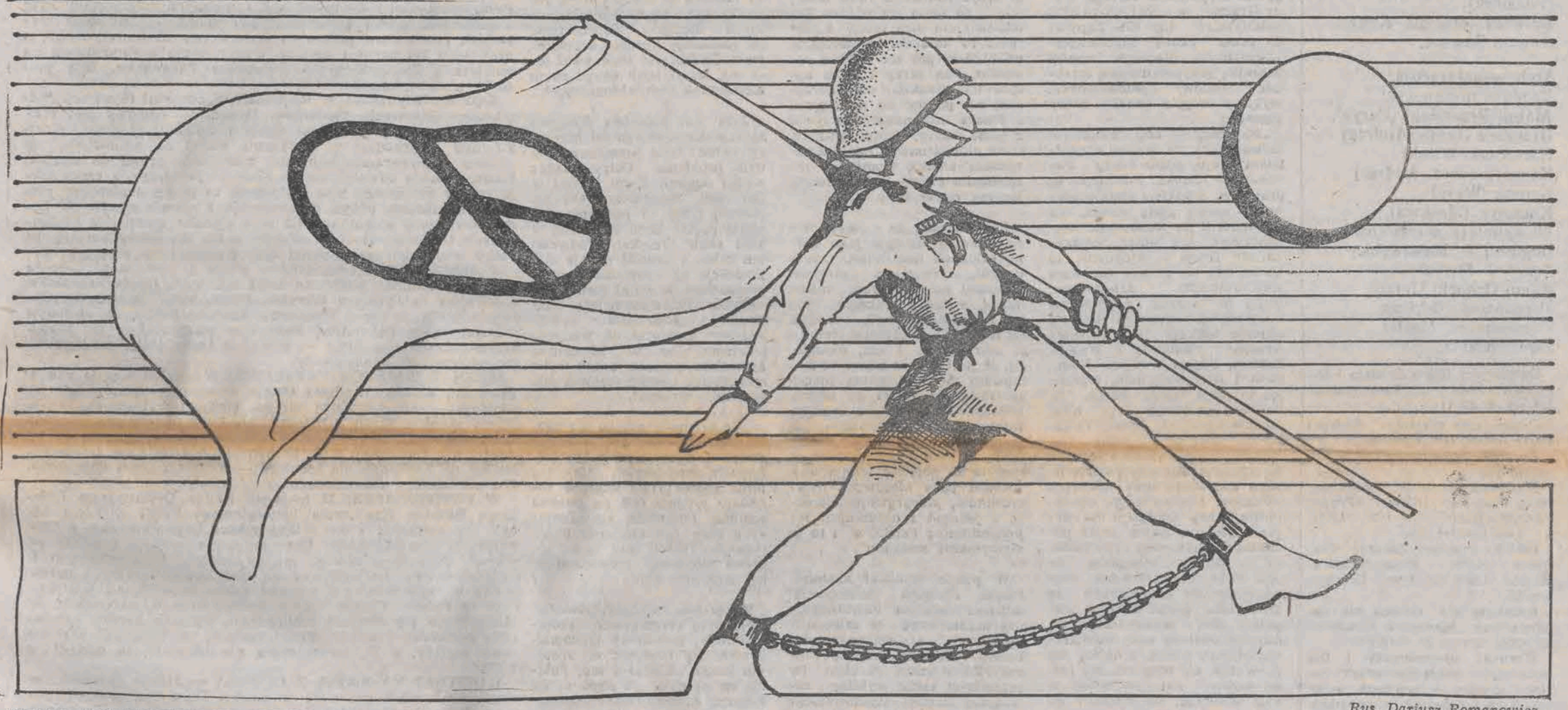

Rys. Dariusz Romanowicz

Historia niemal prawdziwa, ale wszelkie podobieństwo do osób, zdarzeń i sytuacji jest absolutnie przypadkowe.

Tragiczne przypadki Antoniego H. (1)

ANDRZEJ KRAKOWSKI

1.

Antoni H. jest człowiekiem w średnim wieku. Z zawodu kierowca, z zamiłowania artysta. Wrażliwy ekstrawertyk. Ojciec trzech synów, z których najstarszy pochodzi z pierwszego małżeństwa, jest na wyłącznym utrzymaniu ojca i ma 17 lat.

Antoni H. jest po raz drugi żonaty i mieszka w dwupokojowym mieszkaniu wraz ze wszystkimi synami, małżonką, chorą matką i dużym psem w pięknym mieście Z. Antoni H., wykonujący przecież odpowiedzialną pracę, dostał skierowanie do sanatorium w Cieplicach celem zregenerowania nadwątlonych sił. Cieplice to właśnie jest miejsce, gdzie nie istnieją problemy mieszkaniowe i można oddychać pełną piersią.

Najpełniejsze piersi wśród kuracjuszek miała Zofia A., z którą Antoni H. znalazł wspólny język. Na usianej pokrzywami łączce Zofia A. i Antoni H. ugięli się pod ciężarem łączącej ich więzi duchowej i nie zważając na poparzenia intymnych części ciała, przeżyli swą wielką przygodę.

Po powrocie do Łodzi Antoni H. — chcąc nie chcąc — przyjmował tajemnicze telefony, czytywał w łazience listy przysłane bez adresu zwrotnego i zachowywał się w sposób daleko odbiegający od normy.

Jego małżonka, Janina H., nie bez kozery zaniepokojona, zwierzyła się z problemu sąsiadce.

— Będziesz musiała się rozwieść! — padło rzeczowe rozstrzygnięcie. — Ja rozwiodłam się ze swoim i popatrz, jaki teraz potulny! Żyjemy ze sobą w zgodzie i radości, a na domiar szczęścia mam wszystkie świadczenia przysługujące samotnej matce.

Podczas pierwszej rozprawy jedynym argumentem była zdrada małżeńska, do której Antoni H. nie przyznał się, tym bardziej że wcześniej udało mu się zerwać kontakty ze zbyt natrętną i wytrwałą w miłości kuracjuszką Zofią. Sprawa została odroczona na okres jednego roku. Miał to być czas, który pani Janina wykorzysta do granic możliwości, aby dowieść, że jej powództwo rozwodowe było zasadne i słuszne.

Zaczęła od wprowadzenia całkowitego celibatu do swego pożycia z Antonim H. Ilekroć zbliżył się do niej w najsubtelniejszych zamiarach, przez otwarte okno wzywała pomocy, szafując przy tym słowami: „bandyta" i „morderca". Następnie sporządziła dwie obdukcje lekarskie, co dla osoby cierpiącej na samoistne wylewy podskórne nie było dużym problemem. Na podstawie tych dokumentów i zeznań sąsiadów, uzyskała wyrok skazujący małżonka na karę grzywny w wysokości 50.000 zł i na karę ograniczenia wolności.

Kolejnym krokiem było wyprowadzenie się do koleżanki w obawie przed agresywnością męża i wniesienie sprawy o alimenty na dwoje nieletnich dzieci. Dzieci, za którymi Antoni H. tęsknił bardziej niż za przemyślną żoną. Jedyną okazją do widywania się z synkami były teraz chwile, kiedy

4

W jakim kierunku powinny pójść zmiany w konstytucji? Dlaczego nie należy likwidować cenzury?

Zapis konstytucyjny musi odpowiadać rzeczywistości

Rozmowa z JANINĄ ZAKRZEWSKĄ — profesorem prawa UW

— Konstytucja z 1952 r. często nazywa się stalinowską. Choć była ona kilkanaście razy nowelizowana. Jej konstrukcja i treść bardziej przypominają konstytucję kwietniową z 1935 roku niż marcową z 1921 roku. Cały bowiem mechanizm ustrojowy sprzyja jednemu celowi — zapewnieniu władzy jednej grupie politycznej.

— Myślę, że z różnych przyczyn nie można porównywać obecnej konstytucji z konstytucjami Drugiej Rzeczypospolitej. Przede wszystkim dlatego, że zupełnie inna była sytuacja polityczna wówczas i teraz. Bez względu na to jak demokratyczne byłyby (czy też będą) przyszłe przemiany — od roku 1945 do dzisiaj, cały czas mamy do czynienia z kierowniczą (czy przewodnią — słowo jest tu bez znaczenia) rolą jednej partii. Ta partia sprawuje władzę od lat ponad czterdziestu i tutaj wszelkie porównania również z okresem sanacji czy BBWR wydają się niewłaściwe. Podobnie rzecz ma się z partiami politycznymi. Międzywojennego systemu partyjnego z systemem partyjnym Polski Ludowej porównywać nie sposób. Decydująca rola partii komunistycznej jest w naszym kraju realnym faktem i należy o tym pamiętać, gdy czynimy porównania z innym systemem politycznym.

Wracając zaś do konstytucji z 1952 r., zgadzam się w pełni z negatywną oceną owego zapisu w konstytucji (art. 3) szczególnej roli partii komunistycznej, czy — zdumiewającego z konstytucyjnego punktu widzenia — postanowienia o sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Jeżeli jednak mówimy o konstytucji lipcowej, to pamiętać należy, iż jej uchwalenie przypadło na szczytowy moment rozwoju stalinizmu. Ten fakt wydaje się mieć znaczenie donioślejsze niż się uważa: im bardziej sformułowania konstytucji były demokratyczne (a były i są również takie), tym bardziej były fikcyjne i mniej miały związku z rzeczywistością. Przyzwyczaliśmy się już zresztą do tego, że władza manipuluje konstytucją w sposób nie zachęcający do traktowania jej jako dokumentu w rzeczywistym znaczeniu dla państwa, nie mówiąc już o obywatelach.

Również ostatnie zmiany, te z kwietnia 1989 roku, były przeprowadzone w sposób mało zachęcający i wskazujący na to, iż rządzący nie żywią szczególnego szacunku dla instytucji prawno-ustrojowych. Możemy się pocieszać, iż owe dobudowane fragmenty konstytucji (urząd prezydenta, senat) tworzą jedynie pewne prowizorium, podobnie jak ordynacja wyborcza do Sejmu — jest aktem jednorazowego zastosowania. Można też dostrzec pewne elementy pozytywne, jak np.: wzmocnienie niezawisłości sędziów, wprowadzenie do konstytucji zasady ich nieusuwalności, czy też szereg istotnych postanowień ordynacji wyborczej do Senatu.

Jednakże całokształt ostatniej nowelizacji, tempo jej przeprowadzenia oraz brak całościowej wizji ustrojowej mogą budzić uzasadniony niepokój. Można mieć tylko nadzieję, że praktyka stosowania tej zmienionej konstytucji i proces jej społecznej adaptacji przyniosą lepsze wyniki.

— Wspomniała pani o nowej instytucji urzędu prezydenta państwa. Kiedy inaugurowano obrady „okrągłego stołu", gen. Czesław Kiszczak wspomniał przy tej okazji o monteskiuszow-

3

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32 89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stałe współpracują:
Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż), Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32 59-11

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36 80 99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91 103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00 958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1625. D-10.

Przegląd prasy

Na początek odnotowuję coś śmiesznego i szokującego. W związku z postulatem Ernesta Skalskiego, żeby przejść ze złotego na dolar, stały felietonista „KULTURY" (nr 20) Hamilton przedstawił następującą propozycję:

„W rzeczywistości walutą podstawową w Polsce jest litr i należy przejść oficjalnie na litra. Włosi mają lira, a my mielibyśmy litra.

Uzdrowienie pieniądza należy rozpocząć od uzdrowienia litra, który jest dziś coraz gorszą trucizną. Trzeba poprawić jego jakość i smak, obniżając cenę, co spowoduje podwyżkę wartości złotego (przemianowanego na litr) i obniżkę dolara. Dolar po iluzorycznym spadku leci w górę jak diabeł. Obniżyć cenę litra, to i dolar spadnie.

Ale litr to podstawa budżetu państwowego. Z czego będzie się opłacać administrację? Są dwa wyjścia. Pierwsze: dodrukować pieniędzy, co się zresztą praktykuje obecnie. I drugie: zwolnić wszystkich zostawiając tylko Wilczka na pożarcie".

Pozostając w kręgu śmieszności i paranoi zwracam uwagę na wypowiedź Jerzego Dudy-Gracza w „SZTANDARZE MŁODYCH" (nr 99). Zapytany przez Iwonę Strzelewicz-Ziemiańską, dlaczego włożył koszulkę przypominającą sztandar Stanów Zjednoczonych, wybitny artysta podał cztery powody:

„Pierwszy — aby zamanifestować fakt, że jestem obywatelem kraju, gdzie bilety Narodowego Banku Polskiego są prawnym środkiem płatniczym i noszą nazwę złoty polski, ale pieniądzem do kupowania czegokolwiek jest dolar amerykański. Drugi — zrobiłem to po to, aby się poddać rzewnym wspomnieniom dzieciństwa, kiedy to swoim czarującym i wytwornym tenorem Andrzej Łapicki walczył w Polskiej Kronice Filmowej z Wujem Samem, Boggie Woogie, Kułakiem i Klerykalizmem, wpajając w moje młode serce, że bardziej preferuję Zoję Kosmodemiańską niż świętą Teresę od Dzieciątka Jezus (...). Trzeci powód wynika z tego, że się spasłem wskutek powszechnego dobrobytu oraz własnych sukcesów i zawierzając dyktatorom mody włożyłem na siebie koszulę w paski, które podobno wyszczuplają (...) Czwarty — koszulę włożyłem na XII Sieradzkim Plenerze Plastycznym we wsi Kamion w 1988 roku, gdzie właśnie dogasało lato, przewracały się ostatnie chałupy nad kompletnie zatrutą Wartą, z której jak A. Ważyk nie mogłem „pić wody nadziei", ani się nawet w niej zanurzyć, bo można od tego dostać wysypki i zapalenia całego ciała".

Z ludźmi, którzy nie mają poczucia własnej śmieszności i przedstawiają paranoiczne propozycje, walczy na łamach „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO" (nr 118) Edmund Tulko. W popularnym cyklu „Zapiski współczesne" polemizuje z postulatem Andrzeja Grajewskiego powrotu do idei autonomii Śląska.

Edmund Tulko przypomina, że po pierwszej wojnie światowej autonomia Górnego Śląska została nam narzucona i kolejne rządy polskie starały się ją ograniczyć i znieść. O polonizację tego regionu i trwałe połączenie z Polską walczył wojewoda Michał Grażyński mianowany z woli Józefa Piłsudskiego.

Sprawę autonomii Śląska wysunął obecnie Andrzej Grajewski w opozycyjno-solidarnościowej „Gazecie Wyborczej". Warto wobec tego odnotować, że podobną propozycję zgłosił wcześniej prof. Artur Bodnar związany z tzw. stroną koalicyjno-rządową. Pisał o tym w tygodniku „SPRAWY i LUDZIE" (nr 5) Julian Bartosz.

Artur Bodnar jest politologiem. Napisał memoriał skierowany do odpowiednich władz, w którym postuluje: 1) uznać dwunarodowość Ślązaków i zagwarantować im w Konstytucji podwójne obywatelstwo: 2) podjąć politykę autonomizacji Górnego Śląska; 3) wyrazić zgodę na osiedlanie się w niektórych województwach (na początek eksperymentalnie) przesiedleńców znajdujących się w Republice Federalnej Niemiec. W związku z tym Julian Bartosz ironizuje: *„Powiada profesor Bodnar, że uwzględnienie jego propozycji «wytrąciłoby argument o milionowej mniejszości w Polsce». Jasne, że by wytrąciło, albowiem uczyniłoby ten argument całkowicie zbędnym. «Dwunarodowość Ślązaków» i to jeszcze w obrębie «autonomii Górnego Śląska» plus zasiedlenie (najpierw eksperymentalnie w 1-2 województwach) przesiedleńcami z RFN części ziem zachodnich i północnych — oczywiście, wszystko w ramach «wspólnego europejskiego domu» — jakież to wszystko einfach! Zaiste podejście jest całkowicie nowe — przynajmniej jeśli chodzi o polskie sprawy. Rzecz właśnie w tym, czy to jest polskie widzenie?"*

POWRÓT MISTRZA I SZPIEGA

Kolejnym przykładem paranoi jest sprawa byłego idola Jerzego Pawłowskiego. Najważniejsze okoliczności przypomina w tygodniku „ŻYCIE LITERACKIE" (nr 20) Romuald Karyś. Na wstępie artykułu czytamy:

„Jerzy Pawłowski, dawny wielokrotny medalista olimpijski i mistrz świata w szabli, potem szpieg amerykański, potem, kiedy się szpiegostwo wydało, pensjonariusz zakładu karnego z abonamentem na 25 lat pobytu, został w 1985, w dziesięć lat po skazaniu, wytypowany do wymiany na pewnego dzielnego Polaka, który w kraju Jankesów robił mniej więcej to samo dla nas, co Pawłowski dla nich tutaj, i któremu to naszemu emisariuszowi w Ameryce też się nie powiodło. Pan Jerzy z gestu byłych mocodawców nie skorzystał, nie godząc się na wyjazd z Polski. Natomiast skorzystał z gestu naszej Rady Państwa, która akurat wtedy, kiedy Amerykanie chcieli wymienić, zastosowała prawo łaski darowując mu resztę kary. (...)

Faktem jest, że Pawłowski od czterech lat żyje jako wolny człowiek nad Wisłą. Odpoczywał, reperował zdrowie, otrzymał nawet rentę inwalidzką, a kiedy stuknęło mu lat pięćdziesiąt sześć, zapisał się do... AZS i wznowił treningi szermiercze. I cóż, okazało się, że jeśli ćwierć wieku utrzymywało się największą formę sportową, to nawet po latach więzienia całkiem się jej nie traci. Toteż Pawłowski w pierwszych oficjalnych zawodach, w jakich wystartował (a było to w połowie lutego br.) rozniósł paru klasowych przeciwników, przegrywając dopiero z jednym z aktualnych reprezentantów Polski, a i to w niewysokim stosunku".

W prasie wybuchł skandal. Polski Związek Szermierczy zabronił Jerzemu Pawłowskiemu uczestniczyć w zawodach krajowych i reprezentować barwy Polski za granicą. Prezes PZS Ryszard Parulski (w przeszłości także wybitny zawodnik) nazwał Pawłowskiego „moralnym zerem" oraz „zdrajcą ojczyzny" i określił jego starania o powrót do oficjalnego życia sportowego jako „paranoję i moralny obłęd". A tymczasem Jerzy Pawłowski udzielił wywiadów tygodnikom „Prawo i Życie" i „Przegląd Tygodniowy", w których stwierdził, że nie ma czego żałować, ponieważ szpiegował przeciwko ZSRR epoki Breżniewa, a nie na szkodę Polski.

„Są to wypowiedzi bardzo niesympatyczne, miejscami odpychające. Najłagodniej mówiąc: świadczą o braku realizmu. Pawłowski idzie w nich „na całość", starając się za jednym zamachem odzyskać nie tylko wszystkie uprawnienia i splendory sportowe, lecz także przejść z pozycji niedawnego politycznego winowajcy i wciąż pokutnika — na pozycję bojownika o sprawę polską, ofiary niesłusznych prześladowań, pozycję zasłużonego kombatanta".

OGIEŃ CZY ROBAKI?!

Poważnym i wręcz dramatycznym problemem wielkich miast jest brak miejsc na cmentarzach. Łódzcy zmarli mają być grzebani w Zgierzu, a w Warszawie i Krakowie starczy jeszcze terenów tylko na 3-5 lat. Trzeba więc będzie chyba spopielać zwłoki w krematoriach. Na warszawskim Cmentarzu Komunalnym Północnym, zwanym potocznie Wólką Węglową, już za trzy lata zacznie funkcjonować piec krematoryjny. Wyposażenie najprawdopodobniej dostarczy szwedzka firma TABO.

Z artykułu Ewy Bobocińskiej na łamach „TYGODNIKA POLSKIEGO" (nr 21) dowiadujemy się, że w innych krajach od dawna spopiela się zwłoki. Kremacji ulega 94 proc. ciał w Japonii, 68 proc. w Wielkiej Brytanii, 63 proc. w Danii, 58 proc. w Szwecji (aż 98 proc. w Sztokholmie), 53 proc. w Czechosłowacji (w samych Czechach 80 proc., a mniej w Słowacji). Na Węgrzech działają krematoria w Budapeszcie, Debreczynie i Szegedzie, w Jugosławii — w Zagrzebiu i Lublanie, w Związku Radzieckim jest pięć krematoriów. Natomiast w Polsce funkcjonuje tylko przestarzałe i niewydajne krematorium w Poznaniu. Zwolennicy kremacji zmarłych muszą czekać ponad miesiąc.

„Grób ziemny zajmuje powierzchnię 1 m na 2 m, a grobowiec 1,3 m na 2,3 m. Jeśli zdecydujemy się na kremację, to na poletku o wymiarach 0,4 na 0,6 m i głębokości 1 m będzie można pochować 4 urny. (...)

Piece TABO przeszły surowe badania czystości powietrza, przeprowadzone przez Netherlands Scientific Organisation (Holenderska Organizacja Naukowa). Emisja pyłów nie przekracza 30 mb sześc. Dym jest niewidoczny i bezwonny. Krematorium spełnia więc wymagania najbardziej nawet fanatycznych obrońców środowiska naturalnego, których kolejne kominy w naszym stojącym na granicy klęski ekologicznej kraju mogłyby doprowadzić do rozpaczy. Komin krematorium TABO jest dość niski (6-8 m), łatwo więc ukryć go w elementach architektonicznych".

Jaki jest stosunek Kościoła rzymskokatolickiego do kremacji zwłok? Otóż początkowo nie było problemu. Ostry zakaz wydał dopiero Karol Wielki w 785 roku. Jedenaście wieków później (1886 r.) podobnie postąpił papież Leon XIII. Ale w 1964 roku Watykan odwołał ten zakaz i Kościół uznaje dziś kremację za równorzędną z grzebaniem w ziemi formę pochówku. Przeciwstawiając się dawniej spopielaniu zwłok Kościół nawiązał do tradycji judaizmu, bo w Imperium Rzymskim palenie zwłok było zjawiskiem równie częstym jak grzebanie w ziemi.

„Do kremacji nikogo nie wolno zachęcać ani tym bardziej zmuszać. Decyzja musi być całkowicie samodzielna. Ale już teraz spora grupa naszych rodaków pragnie być po śmierci spalona. Pojawiają się zdania: «Nie chcę być zjedzony przez robaki». Trzeba dać tym ludziom możliwość zrealizowania ich ostatniej woli.

Z czasem obecność krematoriów przy cmentarzach spowszednieje, przestanie szokować. Zmieni się stosunek do spalania zwłok. Kiedyś i my, Polacy, na pytanie: „Z czym ci się kojarzy krematorium?" będziemy odpowiadać: „Z pogrzebem". Im szybciej to nastąpi, tym mniej miejsca wokół wielkich miast będą zajmować cmentarze. Trzeba jednak zrobić pierwszy krok — oswoić Polaków z krematorium. A żeby mogło to nastąpić, krematoria muszą po prostu być".

ILE ZARABIAMY?

Na zakończenie przechodzę do sprawy związanej z poziomem życia. Według komunikatu GUS opublikowanego w dzienniku „RZECZPOSPOLITA" (nr 118) w kwietniu br. przeciętne wynagrodzenie miesięczne w podstawowych działach gospodarki uspołecznionej wynosiło 107 tys. zł, a po wyeliminowaniu wypłat z zysku — 90 tys. złotych. Natomiast przeciętna miesięczna emerytura i renta wynosiła 41,6 tys. zł., a emerytura i renta rolników indywidualnych — 32,5 tys. złotych.

Deficyt budżetu państwa wyniósł aż 1 bilion 617 miliardów zł, w tym budżetów terenowych — 202 mld złotych. Po czterech miesiącach w handlu zagranicznym dodatnie saldo osiągnęło 276,6 mln dolarów oraz 283,1 mln rubli.

E. L.

Z okazji dorocznego święta drukarzy

TOWARZYSZOM SZTUKI DRUKARSKIEJ
życzenia wszelkiej pomyślności i dobrych wyników w pracy składa

ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW"

Z kół zbliżonych donoszą...

W MINIONĄ NIEDZIELĘ (28 maja) odbyły się liczne festyny i spotkania. W parku na Zdrowiu tłumnie obchodzono **Święto „Głosu Robotniczego"**. Występowali znani artyści. Kandydaci na senatorów i posłów spotykali się z przyszłymi wyborcami. Startowały balony, a potem barwne kule długo było widać na pogodnym niebie. Po południu, niestety, padało.

NA 1 CZERWCA Rada Naukowa i dyrekcja Instytutu Medycyny Pracy im. prof. Jerzego Nofera zwołała uroczystą sesję naukową z okazji 35-lecia Instytutu Medycyny Pracy.

ANDRZEJ BILIK — były korespondent TVP w Paryżu, obecnie kierujący dziennikami telewizyjnymi, pochodzący z Olsztyna pod Częstochową, kandyduje na senatora w Częstochowie. Kandydaturę tę wspiera **Jan Tomaszewski**. Obaj panowie byli obecni na meczu żużlowym Włókniarz Częstochowa i KKŻ Krosno. Obaj próbowali jeździć na żużlowych maszynach.

W SIERADZKIEM NA SENATORA kandyduje inż. rolnik **Andrzej Pągowski**. Osiągnął on osobisty sukces. Rozwinął na wielką skalę ogrodnictwo, specjalizuje się w uprawie sadzeniaków ziemniaczanych. W programie swoim zapewnia, że działać będzie tak, żeby bogaci obywatele tworzyli bogate państwo. Jego szklarnie znajdują się w Wieluniu.

JUŻ PO RAZ CZWARTY W ZAŁĘCZU WIELKIM w Centralnej Szkole Instruktorów Harcerskich ZHP spotkali się absolwenci tej szkoły. Szkoła od niedawna nosi imię Tadeusza Kotarbińskiego. Na czwarty zlot absolwentów przyjechało blisko 300 osób. Zlot trwał od 19 do 21 maja. Toczyły się w czasie zlotu interesujące rozmowy. Rozprawiano z **Krzysztofem Skolimowskim**, który stanął do rywalizacji z uznanymi autorytetami ZHP o przyszłości ruchu harcerskiego. Rozmawiano z **Adamem Wysockim**, rzecznikiem prasowym Stronnictwa Demokratycznego, o przyszłości tej partii i koalicji. Dyskutowano z kandydatem na senatora z Sieradzkiego — **Andrzejem Pągowskim**. Były piosenki, muzyka, ogniska.

SĄD WOJEWÓDZKI W WARSZAWIE odmówił rejestracji **Niezależnego Zrzeszenia Studentów**. Powodem odmowy jest projekt statutu NZS, w którym studenci umieścili prawo do strajku. Sąd Wojewódzki w Warszawie stanął na stanowisku, że „Prawo o stowarzyszeniach" nie przewiduje prawa do strajku. Studenci mogą odwołać się do Sądu Najwyższego, z czego mają zamiar skorzystać. Nim się jednak to stanie, studenci w niektórych miastach odbyli demonstracje i ogłosili strajki. W Łodzi obwieszono plakatami płot przy gmachu wydziałów filologicznych UŁ przy ul. T. Kościuszki, gdzie do studentów tej uczelni przyłączyli się studenci AM. Strajkują też studenci PŁ.

Z BEŁCHATOWA otrzymaliśmy pismo z tamtejszego Zespołu Opieki Zdrowotnej, podpisane przez lek. med. **Józefa Zochniaka**, popierające kandydaturę **Edwarda Bryla**, który wszakże kandyduje z Łodzi, a nie z Piotrkowa Trybunalskiego, do obwodów którego należy Bełchatów. Poza tym otrzymaliśmy też telefony, w których rozmówcy — poważnie uzasadniając dlaczego — nie popierali tej kandydatury.

JEDEN Z NASZYCH CZYTELNIKÓW zwrócił się do nas z pytaniem, dlaczego **Andrzej Ostoja Owsiany** — kandydując na senatora — nie wspomina nic na plakacie wyborczym, że w latach pięćdziesiątych i późniejszych był prokuratorem „komunistycznego reżimu"? I jak to jest możliwe, że mając 59 lat zdążył być żołnierzem AK? Proponujemy zwrócić się z tym pytaniem do kandydata na senatora — **Andrzeja Ostoi Owsianego**. Nie ma telefonu zastrzeżonego.

W PONIEDZIAŁEK, 22 maja, w Klubie Dyskusyjnym Łódzkiego Ośrodka Kształcenia Ideologicznego PZPR w Łodzi odbyło się spotkanie z doc. **Wojciechem Lamentowiczem** z Uniwersytetu Warszawskiego. Dyskutowano o sytuacji w PZPR, opozycji, rozważano różnice między ruchem komunistycznym i socjalistycznym, zastanawiano się nad szansami różnych ugrupowań w wyborach, jak też nad dalszą ewolucją sił politycznych w Polsce. Między innymi dyskutowano o warunkach, w jakich może się odrodzić totalitaryzm. Było to bardzo pożyteczne spotkanie, chociaż jego uczestnicy prezentowali skrajnie różne poglądy, a W. Lamentowicz nie ukrywał, że odszedł z PZPR.

KANDYDAT NA POSŁA Z GÓRNEJ — **Janusz Barański**, w czasie konferencji prasowej w Klubie Dziennikarza (konferencja odbyła się 19 maja), co pokazała telewizja w „Programie wyborczym", zwrócił się do wiernych, aby modlili się w ciągu ostatniego tygodnia przed wyborami o... właściwy wybór.

Z naszej strony, obok modlitwy, proponujemy zastanowić się nad tym, na kogo głosować.

Zebrała: BOGDA MADEJ

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Kiedy otworzyła drzwi do swego mieszkania od razu wyczuła, że coś jest nie w porządku. Najpierw zajrzała do kuchni — wszystko posprzątane, pochowane. Nacisnęła klamkę drzwi do pokoju i zamarła z przerażenia, zaraz później zemdlała — reportaż BOGUMIŁA A. MAKOWSKIEGO pt. „Urodziłaś dziecko szatana".

— Współżycie seksualne wymaga odrobiny lubieżności i perwersji. Jeśli małżonek nie zachowuje się jak uwodziciel, a żona nie ma w sobie maleńkiej domieszki nierządnicy, to prędzej czy później stosunki płciowe stają się nudnym rytuałem. Niektórzy przekraczają jednak granice dewiacji: doznają satysfakcji tylko podczas stosunków grupowych, używają wibratorów... — artykuł MIROSŁAWY SARBIŃSKIEJ pt. „Seks dla starszych i zaawansowanych".

— Dyrektor XXIX LO ukarany został naganą. Nie uważa się jednak za winnego. Owszem, przyznaje się, że korepetycji udzielał, ale tylko sześć razy i to za pół darmo. A właściwie, gdzie jest napisane, że nie można udzielać korepetycji? — artykuł ZOFII KĘDZIORY pt. „Dlaczego dyrektor zrezygnował?"

REDAKTOROWI

ANDRZEJOWI GĘBAROWSKIEMU

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

TEŚCIA

składa

ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW"

ze str. 1

skiej koncepcji ustrojowej. Jakie więc kompetencje prezydent powinien posiadać, a jakich nie, aby nasz system ustrojowy zbliżył się właśnie do tej koncepcji zwanej także trójpodziałem władz?

— Propozycja ta miała bardziej sens polityczny, przedstawicielom strony rządowej chodziło zapewne o wprowadzenie silnej władzy wykonawczej. Jednakże była to propozycja bardzo ogólna i prawnie nie skonkretyzowana. Ponadto z inicjatywą powołania instytucji prezydenta strona rządowa wystąpiła pod koniec obrad „Okrągłego stołu".

Co zaś dotyczy samej zasady trójpodziału władz, to należy pamiętać o okolicznościach i warunkach politycznych, w jakich miałaby być ona stosowana. A przede wszystkim to nie władzę wykonawczą należałoby u nas wzmacniać. Z tych trzech władz (ustawodawczej, sądowniczej i wykonawczej) na pewno wymaga wzmocnienia sędziowska niezawisłość i niezależność sądów.

Nie wydaje się także, by w naszym kraju organy przedstawicielskie odgrywały rolę, jaką w systemie monteskiuszowskim przypisuje się władzy ustawodawczej. Wręcz przeciwnie — Sejm, który w teorii i w konstytucji miał być najwyższym organem władzy — nigdy takim organem nie był.

— Ale wróćmy do instytucji urzędu prezydenta państwa.

— Mamy w tym zakresie dobre i złe doświadczenia. Muszę jednak od razu powiedzieć, że przyznane prezydentowi uprawnienia są bardzo duże i w niczym nie przypominają kompetencji prezydenta zawartych np. w konstytucji marcowej. Prezydent jest ponadto zwierzchnikiem sił zbrojnych, przewodniczy Komitetowi Obrony Kraju, ratyfikuje i wypowiada umowy międzynarodowe, może wprowadzać stan wojenny i stan wyjątkowy, sprawuje zwierzchni nadzór nad radami narodowymi, powołuje ministrów stanu mających go zastępować. Ta grupa kompetencji wykracza z pewnością poza schemat Monteskiusza. Nie mieści się też w żadnym trójpodziale władz nadzór prezydenta nad radami narodowymi: jest to przejęcie dotychczasowej kompetencji Rady Państwa, ale ta w myśl konstytucji podporządkowana była Sejmowi. Najdziwniejsze są jednak postanowienia dotyczące ministrów stanu i kontrasygnaty. Ministrów stanu mogących zastępować prezydenta (konstytucja mówi o „wykonywaniu w jego imieniu powierzonych im czynności") powołuje on sam i on też zakreśla zakres tego upoważnienia. Oznacza to, że prezydent może sam mianować swoich zastępców

Gdy zaś chodzi o kontrasygnatę aktów prezydenta, to przyjęte rozwiązanie jest nie mniej zdumiewające i odbiegające od ustaleń przyjętych przy „Okrągłym stole".

— Przypomnijmy, czym jest kontrasygnata.

— Jest to podpis premiera (czasem też właściwego ministra) na akcie urzędowym prezydenta, bez którego akt ten jest nieważny.

— Wróćmy do poprzednich rozważań.

— W konstytucji kwietniowej z 1935 r., a więc tej, która na pewno nie powinna stanowić dla nas wzoru, istniały tzw prerogatywy prezydenta, czyli jego akty urzędowe nie wymagające kontrasygnaty. Były one jednakże wszystkie (w liczbie dziesięciu) — jako wyjątek od zasady — wymienione w konstytucji.

— Jeden z naszych wybitnych prawników w 1946 r. wyraził taki pogląd, że Senat albo niepotrzebny, albo niedemokratyczny" **Dziś można by zapytać: — jaki powinien być Senat, aby był i potrzebny, i demokratyczny?**

— Potrzebny może być tylko Senat demokratyczny. Przede wszystkim powinien być to Senat demokratycznie wybrany. To prawda, że gdybyśmy mieli Sejm wybierany demokratycznie — instytucja Senatu nie byłaby potrzebna. Tak jednak nie jest i nie było do tej pory. Demokracja potrzebuje jednak takich wyborów, których wynik polityczny nie będzie z góry przesądzony. Tak więc pierwszą zaletą Senatu byłoby to, iż będzie on demokratycznie wybrany. Ocena zaś demokratyzmu Senatu będzie zależała od tego, jak będzie on działał.

— Uprawnienia Senatu zarysowane w konstytucji nie są niedemokratyczne.

— Tak. Jest to zapewne jakiś paradoks historii politycznej, jeżeli przypomnimy sobie choćby problem Senatu w Sejmie Ustawodawczym po pierwszej wojnie światowej.

— Prawo inicjatywy ustawodawczej, weta zawieszającego w stosunku do ustaw uchwalanych przez Sejm oraz współudział w wyborze prezydenta wynoszą Senat do najważniejszych w systemie naczelnych organów państwowych.

— Istnienie drugiej izby może okazać się korzystne, stanowić czynnik rozwagi, rozsądnej refleksji nad ustawodawstwem tak, aby było ono bardziej niż dotychczas przemyślane, a więc po prostu lepsze.

Jeżeli Senat będzie wpływał na politykę państwa w sposób moderujący, demokratyczny, zgodny z intencjami społeczeństwa, którego aspiracje ma przecież wyrażać właśnie dzięki sposobowi wyboru — to będzie można uznać, że stał się on instytucją demokratyczną, a więc potrzebną naszemu systemowi politycznemu i naszym obywatelom.

— Obecnie obowiązująca konstytucja postanawia, iż „władza w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej należy do ludu pracującego miast i wsi". **Coraz częściej słyszalne są głosy domagające się zmiany określenia podmiotu władzy.**

— Nie uważam, że należy bać się słowa „lud". Gdyby rzeczywiście władza należała u nas do ludu pracującego miast i wsi, to myślę, że nie mielibyśmy żadnego powodu do zmartwienia. Można przytoczyć wiele sformułowań bardzo demokratycznych konstytucji różnych krajów świata, które mówią o suwerenności ludu właśnie. Ponadto nie przywiązywałabym takiej wielkiej wagi do słów. Istotna jest treść. Ważne jest, aby sformułowanie zawarte w konstytucji było zgodne z rzeczywistością. Najważniejsze zaś jest, aby władza do narodu czy do ludu — rzeczywiście należała.

— W upodmiotowieniu ludu ważny jest i sposób wyboru ciał przedstawicielskich i dane im rzeczywiste — a nie tylko formalne — kompetencje.

— O to właśnie chodzi. Jeśli postawimy kwestię wyborów, to uchwalone dwie ordynacje wyborcze (do Sejmu i do Senatu) są w założeniu swoim zupełnie różne i dlatego inaczej wygląda problem przedstawicielstwa obu izb.

Ordynacja wyborcza do Sejmu jest z góry sformułowana jako niedemokratyczna, ponieważ jeszcze przed wyborami znany jest ich ogólny wynik, gdy chodzi o proporcje sił politycznych. Wiadomo również tyle, iż w każdym okręgu jest przynajmniej jeden mandat dla posła bezpartyjnego. Znaczy to, że tylko 35 proc. składu osobowego Sejmu ma być wybierane w sposób demokratyczny. Chyba takiej ordynacji demokratyczną nazwać nie można.

— O tym, czy dany system jest demokratyczny, decyduje przede wszystkim zakres praw i wolności obywatelskich. Wśród nich poczesne miejsce zajmuje wolność słowa i druku. Niektóre konstytucje stanowią wprost: „Cenzura nie istnieje". U nas jest inaczej. Formalnie rzecz biorąc konstytucja zapewnia obywatelom wolność słowa, druku. Stwarza gwarancje urzeczywistnienia tej wolności poprzez oddanie do użytku ludu pracującego i jego organizacji drukarni, zasobów papieru, radia itp. Jednak rzeczywistość wyglądała zgoła inaczej. Cenzura do niedawna zakazywała publikacji nie tylko z uwagi na treść, ale również z uwagi na osobę autora. Dopiero w latach 80. pojawiły się ustawowe regulacje dotyczące cenzury i prasy. Podczas obrad „Okrągłego stołu" padały nowe propozycje dotyczące prawnych regulacji wolności słowa i druku. Czy dla realizacji tych praw i wolności obywatelskich cenzura być powinna, czy mogłoby jej nie być?

— Na tak postawione pytanie mogłabym odpowiedzieć tylko jednym słowem: cenzury być nie powinno, ale...

— No właśnie, na czym polega to zastrzeżenie?

— Przez długie lata, bo do 1981 r. cenzura była u nas absolutnie niczym nie skrępowana i absolutnie dowolna. Arbitralne „zapisy" dotyczyły faktów, ludzi, wydarzeń. W 1981 r. w wyniku porozumień sierpniowych i istnienia społecznego projektu ustawy o cenzurze, została uchwalona ustawa regulująca tę materię. Nie był to ideał, gdy chodzi o zawarte w ustawie o kontroli publikacji i widowisk rozwiązania, ale w tamtym czasie była czymś nieporównanie lepszym od tego co było. Ustawa nie przenosiła aparatu cenzury z instytucji państwowej do redakcji, wydawnictw i nie tworzyła wewnętrznych cenzorów. Tworzyła natomiast ramy prawne dla działalności cenzorskiej. Tworzyła możliwości odwołania się od decyzji urzędu kontroli do sądu administracyjnego, umożliwiała zaznaczanie ingerencji cenzury, choć co prawda to ostatnie do pewnego czasu nie było przez wydawnictwa koncernu RSW realizowane. Było natomiast milczące porozumienie o niezaznaczaniu ingerencji. W stanie wojennym postanowienia ustawy o cenzurze zostały w istotny sposób zmienione. I do dziś nie można się dobić tego, by ustawie przywrócić jej pierwotny kształt. Domaganie się zaś w chwili obecnej całkowitego zniesienia cenzury jest pewnego rodzaju demagogią.

— Dlaczego?

— Dlatego, że taka propozycja ładnie brzmi, ale jej realizacja sprawi, iż cenzura w istniejącej sytuacji będzie nadal, tyle że wewnątrz wydawnictw i redakcji. Jest rzeczą charakterystyczną, że to redaktorzy i wydawcy byli takiemu rozwiązaniu przeciwni. Umniejszałoby ono w naszych obecnych warunkach prawa autora, a cenzura następcza biłaby finansowo prasę niezależną. Dość popatrzeć choćby na „Tygodnik Powszechny". Oczywiście nikt nie twierdzi, iż cenzura jest dobrem samym w sobie i wszyscy mamy nadzieję, że kiedyś jej nie będzie. Powinniśmy bowiem wierzyć, że za parę lat sytuacja będzie inna. Ale skoro o tych sprawach mówimy dzisiaj, tutaj i teraz — to zrozumiałe jest, dlaczego strona opozycyjna nie domagała się zniesienia cenzury, lecz przywrócenia jej lepszego kształtu ustawowego niż ten, który obecnie obowiązuje.

— Już choćby z tej rozmowy i obserwacji realiów życia politycznego widać wyraźną potrzebę dalszego modyfikowania systemu organów państwowych i ich uprawnień, regulacji ustawowej sfery praw obywatelskich w tym kierunku, aby stała się demokracją bez zdobiących ją przymiotników i bez pejoratywnych określeń. Zmierzać przecież musimy do takiego punktu, gdzie w oparciu o realia życia publicznego można będzie z pełnym przekonaniem mówić o rządach prawa, a nie o rządach osób czy też poszczególnych grup społecznych.

— Poruszył pan dwa podstawowe problemy, dwa nader istotne zagadnienia — choć są one różnego gatunku politycznego: problem modyfikowania organów państwowych i problem rządów prawa. Myślę, że z małymi wyjątkami — o czym za chwilę — modyfikowania systemu organów mamy chyba już zupełnie dość. Należałoby poczekać aż owo uchwalone w kwietniu prowizorium zacznie działać w praktyce, zobaczyć jak się ukształtuje scena polityczna, czy i jacy pojawią się na niej nowi aktorzy, spokojnie prowadzić porządne prace konstytucyjne i uchwalić nową ustawę zasadniczą wówczas, gdy będą po temu sprzyjające warunki polityczne i społeczne. Dopiero wtedy i tylko wtedy. Małe wyjątki, o których wspomniałam wyżej, wiążą się z realizacją postanowień zawartych przy okrągłym stole lub tych, których zrealizować się nie udało.

Można by to uczynić nie wydając na to ani grosza. Mam na myśli wydanie ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, o której wspomina konstytucja, doprowadzenie do takiego ustalenia miejsca prokuratury, które byłoby logiczne i zgodne z przyjętym systemem organów państwowych. Niezbędne jest też uchylenie tych przepisów prawa, które w sposób nieuzasadniony naruszają prawa obywatela. Strona opozycyjna podczas obrad „Okrągłego stołu" proponowała uchylenie szeregu aktów prawnych sprzecznych z ratyfikowanymi przez Polskę paktami praw człowieka i obywatela. Niestety, niemal wszystkie nasze propozycje zmian w prawie nie uzyskały aprobaty strony rządowej. A przecież opinia prawników, opinia publiczna czeka na uchylenie przepisów stanu wojennego inkorporowanych na stałe do polskiego systemu prawnego. Tego na razie nie udało się zmienić. A właśnie dla tej demokracji — jak to pan określił — bezprzymiotnikowej uchylenie takich pozostałości stanu wojennego byłoby bardzo korzystne.

Druga poruszona przez pana sprawa wydaje mi się sprawą niezmiernie ważną — zupełnie zasadniczą. Chodzi o to, aby w naszym kraju zapanowały rządy prawa, na które czekamy od lat kilkudziesięciu. Nie ulega np. wątpliwości, iż sytuacja obywatela jest dzisiaj o wiele lepsza niż parę lat, a nawet parę miesięcy temu. I nie ulega wątpliwości, że wpłynęła na to również polityka władz. Ale pozycja obywatela uzależniona od aktualnej polityki władzy nie jest pozycją obywatela w państwie praworządnym — bo nie jest pozycją wynikającą z rządów prawa. To właśnie prawo, a nie czynniki polityczne, winno decydować o tym, co obywatelowi wolno, a czego nie wolno.

— Dziś bardziej niż kiedykolwiek są większe nadzieje zmian na lepsze.

— Tak. Na pewno. Właśnie ta nadzieja, że będzie można coś zrobić ku lepszemu, uzyskać choć trochę pola dla inicjatywy obywateli sprawiła, że strona opozycyjna zajmowała takie a nie inne stanowisko i to nie tylko przez okres ostatnich tygodni czy miesięcy.

Dziś „Solidarność" jest ponownie związkiem legalnym podobnie jak związek rolników indywidualnych czy związki studentów. Mamy nowe prawo o stowarzyszeniach, pewne elementy demokracji w prawie wyborczym, lepsze przepisy o niezawisłości sędziów. Z pewnością aspiracje obywateli idą dalej i można dążyć do tego, aby stopniowo były i musiały być zaspokajane. „Okrągły stół" i porozumienia przy nim zawarte stanowią pewien początek. Chcę wierzyć, że będzie to początek dobry i że oczekiwania społeczne nie zostaną raz jeszcze zniszczone. Jak mówi poeta: „nie można tak żyć bez nadziei".

Rozmawiał:
MARIAN STRZELECKI

Zapis konstytucyjny musi odpowiadać rzeczywistości

Z tej ziemi

Czego się boję?

1.

Gdy przysłuchuję się, gdy czytam o programach różnych kandydatów na senatorów i posłów, gdy słucham i czytam o oczekiwaniach ludzi, którzy ich popierają lub którzy deklarują takie poparcie, bo to przecież nie to samo, to zastanawiam się, jaki im się marzy sejm i senat. I odnoszę wrażenie, że marzy im się WIELKA RADA NARODOWA, która zajmie się wszystkimi sprawami lokalnymi, partykularnymi, środowiskowymi, branżowymi i tak dalej. Odnoszę wrażenie, że marzy im się WIELKI SAMORZĄD TERYTORIALNY, który siedzibę będzie miał w Warszawie, ale zajmować będzie się zarówno sprawami Ustrzyk Dolnych, jak i Dziwnowa. Marzy im się taka RADA NARODOWA, która zajmie się tym wszystkim, czym nie potrafi zająć się właściwa rada narodowa, z czym nie potrafi się uporać, na co nie starcza jej siły.

A przecież Sejm PRL ma być zupełnie czym innym. Ma stanowić prawo, w myśl którego mądrych postanowień można byłoby rozwiązywać poszczególne sprawy i w Ustrzykach Dolnych, i w Dziwnowie, i w pozostałych miastach i wsiach Polski. Zatem jeśli kandydat na posła deklaruje, że będzie się chciał zajmować sprawami ochrony środowiska, to chwała mu za to i dzięki, ale to wcale nie znaczy, że będzie on zajmował się na przykład tylko sprawami budowy Grupowej Oczyszczalni Ścieków w Łodzi czy tylko obroną Sudetów przed całkowitym zniszczeniem, ale jednym i drugim jednocześnie. Zadaniem jego będzie przekonanie posłów w komisji i na plenarnym posiedzeniu, aby połączyli się w wydaniu mądrego prawa, które w sposób realny zatrzyma proces niszczenia przyrody, której częścią jest przecież człowiek.

Poseł zatem musi wznieść się ponad partykularne interesy, ponad grupowe i partyjne podziały, musi nauczyć się myśleć i widzieć problemy w skali państwa. Musi nauczyć się tak działać, aby łagodzić konflikty, rozwiązywać sprzeczności, łączyć różne interesy w jedno. Musi stać się politykiem, któremu w jego poselskiej pracy pomocna będzie jego wiedza zawodowa i społeczne doświadczenie.

Czy wszyscy kandydaci na posłów spełniają takie oczekiwania? Czy my — wyborcy — tak właśnie pojmujemy rolę Sejmu? Jakiej odpowiedzi na te pytania udzielimy? Przekonamy się o tym po 4 czerwca 1989 roku. Tego dnia bowiem staniemy sami przed sobą i swoją odpowiedzialnością za to, co zrobimy. Postawić grubą kreskę kolorowym mazakiem na wyborczej karcie jest bardzo łatwo. Obawiam się jednak, czy wszyscy dostatecznie głęboko przemyślą i potrafią zrozumieć konsekwencje tego kreślenia? Zachęcam więc do tego, aby przedtem dobrze pomyśleć. Trochę czasu na myślenie jeszcze zostało. Na myślenie nigdy nie powinno brakować czasu!

2.

„... aparat biurokratyczny Polski jest ciężki, a jednolita organizacja i jednolita linia polityczna nie przeniknęły jeszcze i nie zharmonizowały dostatecznie wszystkich resortów. Prawdą jest, że niejedno z naszych zarządzeń w swoim wykonaniu nie przynosi państwu prawie żadnego pożytku, a staje się źródłem uciążliwości dla ludności kraju, prawdą jest, że w wielu wypadkach przenika administrację naszą duch przestarzałego centralizmu, powodujący, że żywotne nieraz problemy lokalne — jako nie odczute i nie zrozumiane — nie mogą znaleźć właściwego sprawiedliwego rozwiązania".

Te — aktualne dziś ze wszech miar — słowa napisane i opublikowane zostały w... 1930 roku. Ich autorem jest Eugeniusz Kwiatkowski. Kim jest Eugeniusz Kwiatkowski, nie muszę chyba wyjaśniać. Ostatnio sporo się u nas o nim pisało oraz ukazały się dwie jego książki: „Rzecz najważniejsza Polska" i „Pisma o Rzeczpospolitej Morskiej".

Państwo do tej pory było narzędziem ucisku jednej klasy nad innymi klasami — głównie burżuazją, którą zniszczyło w początkowej fazie swego istnienia. Państwo stało się następnie wyrazicielem interesów narodu jednolitego w swej moralno-politycznej postaci, co szybko okazało się fałszem. I państwo stanęło naprzeciw swojej klasie w obronie interesów nadrzędnych i nie mniej abstrakcyjnych. Trzeba było tragedii Poznania i Gdańska, aby można było dostrzec, że nawet w poststalinowskim socjalizmie istnieją sprzeczności, których nie wolno rozwiązywać siłą.

Dziś stajemy przed pytaniem, czym ma być państwo w warunkach pluralizmu politycznego? To wcale nie jest nowe pytanie. Takie pytanie zadawał sobie w 1936 roku wybitny socjolog Florian Znaniecki. Pisał on wtedy:

„Państwo stara się rozwiązywać wszystkie problemy w myśl zasady „racji stanu", *wyrażającej pojęcie nadrzędności interesu* „ogólnego" *państwa jako całości względem interesów* „szczególnych" *wszystkich tych grup, traktowanych jako części wewnątrz tej całości.. Ponieważ interesy tych grup są bardzo różnorodne i często sprzeczne między sobą, więc w interesie ogólnym państwa jest takie ich zespolenie i zharmonizowanie, aby rozbieżności ich nie osłabiały go i rozbijały jego jedności. Może to być osiągnięte mniej lub więcej skutecznie na dwojakiej drodze: albo przez zupełnie niezależny od ludności, trwały, silny, rozumny rząd, który z wyżyn absolutnej suwerenności śledzi bacznie dążenia poszczególnych ugrupowań, stara się je zadawalać w miarę możności, łagodzi ich konflikty i zmusza do ustępstw wzajemnych; albo przez rząd wyłaniający się z samej ludności jako wyraz każdorazowej wypadkowej siły grupowej, przy której kształtowaniu czynnikiem regulującym samorzutną grę tych sił jest opinia publiczna, kierująca się w zasadzie interesem państwa, lepiej lub gorzej rozumianym, zależnie od poziomu ogólnej oświaty".*

Opowiadałbym się za tą drugą koncepcją. W abstrakcyjną *„absolutną suwerenność"* nie wierzę. Dotychczasowe „ogólnonarodowe" rządy narobiły już sporo złego. Jak sobie poradzi teraz pluralistyczny Sejm PRL z powołaniem nowego rządu — zobaczymy. Czy opozycja — też przecież niejednolita — zechce, i w jakim stopniu, uczestniczyć w pracy rządu? Czy tylko zachowa się w roli kontrolera? To też zobaczymy. Ale ta nieznana przyszłość rodzi pewne obawy.

3.

Już kilka razy słyszałem głośno wypowiedziane pytanie, czy rozwój polskiej politycznej rzeczywistości nie może w niedalekiej przyszłości ewoluować w kierunku „neototalitaryzmu"? Teoretycznie takiej możliwości nie da się wyeliminować. W prognozowaniu politycznej przyszłości Polski i taką ewentualność trzeba brać pod uwagę. Przede wszystkim jako ostrzeżenie, jako niebezpieczeństwo, którego trzeba za wszelką niemal cenę uniknąć. Niezależnie od tego, jakiego koloru miałby to być „neototalitaryzm".

Myślę, że dopuszczenie w świadomości społecznej takiej możliwości powinno zmuszać też do poszukiwania środków zapobiegawczych. Pierwszym z nich jest jawność. A jawność niesie z sobą społeczną kontrolę, a więc możliwość zapobiegania niebezpieczeństwu, przeciwdziałania. Drugim sposobem byłyby sojusze sił postępowych z różnych ugrupowań, które potrafiłyby na czas przeciwdziałać takiemu i innym zagrożeniom. W sojusze takie powinny przede wszystkim wchodzić siły postępowe PZPR, jako że partia też nie jest przecież jednolita.

4.

4 czerwca 1989 roku stanę więc w kabinie do głosowania nie bez rozterek i obaw o przyszłość Polski. Te obawy i te rozterki powinny podsunąć mi sposób dokonania możliwie mądrego wyboru.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Komu nagrodę „Odgłosów”?

KOMUNIKAT JURY

Jury nagrody tygodnika „Odgłosy”, obradujące 22 maja 1989 roku, pod przewodnictwem **Lucjusza Włodkowskiego**, w składzie: **Zofia Kędziora** — sekretarz oraz członkowie: **Andrzej Bartczak** — PWSSP, **Wanda Mirowska** — PWSFTViT, **Krystyna Nordyńska** — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, **Andrzej Reiter** — Wydział Kultury i Sztuki UMŁ, **Lucyna Skompska** — ZLP w tajnym głosowaniu przyznało nagrodę „Odgłosów” za upowszechnienie kultury w 1988 roku

ANDRZEJOWI MIKOŁAJCZYKOWI
— dyrektorowi Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.

To już piąty raz przyznaliśmy nagrodę „Odgłosów” za upowszechnienie kultury. Przypomnijmy naszych laureatów: **Antoni Szram, Sławomir Pietras, Tadeusz Michalski, Ryszard Stanisławski.** I teraz piąty laureat — **Andrzej Mikołajczyk.**

Jury upoważniło mnie abym — jak to zawsze było do tej pory — skomentował naszą pracę i podzielił się z Czytelnikami wnioskami z niej wypływającymi. Każdego bowiem roku jury staje przed podobnymi dylematami: kandydatów jest wielu — nagroda jedna.

W tym roku do nagrody „Odgłosów” za upowszechnienie kultury w 1988 roku zgłoszono 7 kandydatur. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami nie publikujemy nazwisk kontrkandydatów, aby nie uniemożliwiać im startu w następnym roku. Tym bardziej że postanowiliśmy zmodyfikować formułę nagrody. Będzie to nadal nagroda za upowszechnienie kultury dokonane **w konkretnym jednym roku**, ale sprowadzające się do **konkretnego** działania. Tak więc pragniemy w 1990 roku przyznać nagrodę za zorganizowanie w 1989 roku wystawy, przeglądu filmów, ale nie w ramach dotychczasowych imprez, wydanie książki o kulturze i tym podobnie.

Dotychczasowa formuła — zdaniem jury — była zbyt obszerna i sugerowała, że nagroda należy się niejako „za całokształt” działań w dziedzinie upowszechniania. Chcemy w przyszłości unikać takich nieporozumień i przyznawać nagrodę **za konkretne dokonanie w minionym roku.**

Wiązać się będą z tym również spore trudności. **Po pierwsze** — niezbędna jest dobra dokumentacja: wideo, fotograficzna, zgromadzenie wycinków prasowych, różnego rodzaju zapisów. Oczywiście każde dokonanie wymagać będzie innego rodzaju dokumentacji. **Po drugie** — trzeba o kandydaturze do nagrody myśleć już od dziś. Zgłoszenie w ostatniej chwili, czyli w styczniu 1990 roku, może być już chybione, bowiem wydarzenie miało miejsce w październiku 1989 r., i jest niepowtarzalne. Jeśli nie będzie dokładnej dokumentacji, to jury może taki wniosek odrzucić, jako niezgodny z regulaminem.

Redakcja „Odgłosów” — której też przysługuje prawo zgłaszania kandydatów — musi również dbać o sporządzanie rzetelnej dokumentacji różnych kulturalnych wydarzeń w ciągu roku.

Jury uważnie przeanalizowało regulamin i znacznie go uprościło. Regulamin nagrody „Odgłosów” za upowszechnienie kultury w 1989 roku opublikujemy w najbliższym czasie i będziemy powtarzali kilkakrotnie, aby wszyscy mogli się z nim zapoznać i zastanowić się nad kandydaturą do tej nagrody.

Jury zastanawiało się również — nie pierwszy już raz — nad możliwością podziału nagrody. Po dyskusji doszliśmy jednak — również nie pierwszy raz — do wniosku, że nagroda powinna być **jedna, niepodzielna.** To znaczy, że może ją otrzymać jedna osoba lub zespół, ale nie można nią uhonorować dwóch jednocześnie laureatów. Stawia to jury w trudnej sytuacji, gdyż wśród kandydujących wielu na nagrodę zasługuje. Jury musi dokonać jednak wyboru jednego laureata. Wszystkim pozostałym gratulujemy faktu, że byli kandydatami, że mają osiągnięcia, życzymy dalszej owocnej pracy i uzyskania nagrody „Odgłosów” już w zmienionej formule.

O terminie wręczenia nagrody powiadomimy osobno. Jury wyraziło zgodę, aby tym razem wyjątkowo dokonać wręczenia nagrody **w czerwcu 1989 roku.** Stanie się to prawdopodobnie w połowie czerwca.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POLSKA MAJ 1989

HALINA SUSKIEWICZ: — Życie to zbyt poważna sprawa, by pozostawić je zawodowym politykom...

Niech kobiety decydują o sprawach kobiet

Dwa razy w tygodniu w Klubie Nauczyciela przy ul. Piotrkowskiej **Halina Suskiewicz**, kandydatka na posła do Sejmu, czekała na wyborców, którym z chęcią poświęcała czas i objaśniała swój program. W Sejmie chce współpracować z ludźmi popierającymi między innymi: wolność wyboru macierzyństwa, pracę dla kobiet bez trzeciej zmiany, ochronę socjalną dla najbiedniejszych, ochronę środowiska naturalnego i wiele innych.

„Życie to zbyt poważna sprawa, by pozostawić je zawodowym politykom i etatowym działaczom. O życiu kobiet niech decydują kobiety!”

Halina Suskiewicz urodziła się w 1937 roku. Jest nauczycielką z dużym stażem. Szkołę i problemy wychowawcze zna „od podszewki”. Jest dyrektorem XVIII Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi. W środowisku nauczycielskim znana jest z nowatorskich form pracy z młodzieżą i współpracy z rodzicami, wychowała 14 finalistów i laureatów Ogólnopolskiej Olimpiady Astronomicznej. O człowieku mówi, że wart jest tyle, ile efekty jego pracy.

Według ostatnich badań 27,5 procent łódzkich dzieci cierpi na zaburzenia rozwoju fizycznego i psychicznego, wady postawy, choroby oczu, gardła, płuc i serca, cukrzycę i gruźlicę. To są skutki warunków, w jakich żyją, mieszkają i uczą się.

Jeśli **Halina Suskiewicz** zasiądzie w Sejmie PRL, to wraz z innymi posłami, mającymi podobne poglądy, będzie starała się, aby polepszyć warunki do nauki i pracy nauczycieli, aby wychowywać zdrowe społeczeństwo, którego najmłodsi członkowie zawsze będą mieć odpowiednią ilość miejsc w przedszkolach i niezbędną ilość odżywek.

„Takie będą losy Waszych dzieci,

5

ze str. 1

łona odbierała ich z przedszkola. Odprowadzał swoją utraconą rodzinę do przystanku autobusowego, kupował po drodze gumę do żucia, dawał żonie pieniądze na życie i żegnał się bezradny do następnego razu.

W czasie jednego ze spotkań młodszy chłopiec wyraził niedwuznaczną ochotę pozostania z ojcem. Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Chwycił dziecko w ramiona, uciekł i zabarykadował się w mieszkaniu. Rozpoczęła się wielka wojna. Po kwadransie kopania w drzwi, Janina H. odstąpiła od oblężenia, a kidnaper opuścił dom wraz ze swoją ofiarą i udał się pociągiem do Warszawy.

Po tygodniu wrócił. Maciuś był dobrze odżywiony, zadbany i rozpromieniony. Zwiedzał stolicę, moczył nogi w fontannie i jadł hot-dogi. Nie wyrażał jednak ochoty powrotu do matki.

Uczynni sąsiedzi powiadomili Janinę H. o powrocie zbiegów i ta przybyła do mieszkania męża w asyście trzech milicjantów. Antoni H. wpuścił przedstawicieli prawa i wyjaśnił im sytuację. Maciek z płaczem rzucił się ojcu na szyję i oświadczył, że nigdzie bez niego nie pójdzie. Funkcjonariusze odmówili ingerencji w tę sprawę. Nie było jeszcze orzeczenia sądu odnośnie do miejsca pobytu dziecka, chłopcu nie działa się krzywda, więc milicji nic do tego, a ojciec ma takie samo prawo do dzieci, jak

Tragiczne przypadki Antoniego H.

matka. Odeszli. Pani Janina udała się zatem do Komitetu Dzielnicowego PZPR i tam wypłakała swój ból. W komisariacie po chwili zabrzęczał telefon:

— Wicie, rozumicie, pomóżcie kobicie!

I komisariat oddelegował trzyosobową grupę specjalną. Maciek bawił się w piaskownicy i stamtąd grupa specjalna poleciła Janinie H. go zabrać, pomimo protestów pilnującej dziecka 70-letniej babci. Zadanie było w zasadzie wykonane, ale grupa specjalna miała ambicje. Nie mogła poprzestać na byle czym. Złożyła zatem nie zapowiedzianą wizytę Antoniemu H., który zdrzemnął się w poczuciu bezpieczeństwa we własnym domu.

Babcia wpuściła trzech panów do mieszkania i uderzeniem łokcia w brzuch została wrzucona do swojego pokoju. Antoniego H. zbudziło kopnięcie w wystającą spod kołdry nogę.

— Wstawaj, ubieraj się! — polecono mu, a następnie padło pytanie:

— Co masz w lodówce do jedzenia dla dziecka?

— Możesz przecież sprawdzić! — odparł Antoni H., przyjmując narzuconą mu formę wypowiedzi za kolejny przejaw demokratyzacji życia publicznego w kraju. Wyprowadzono go z błędu. Został bowiem ciosem w szczękę powalony na podłogę, a funkcjonariusz rozdeptał mu dłoń, tak jak się gasi niedopałek papierosa.

Inny pan milicjant ugodził Antoniego H. w oko, rozcinając mu powiekę i łuk brwiowy jednocześnie. Delikwenta przewieziono do komisariatu, tam polecono mu opuścić spodnie i położyć się na dwóch krzesłach. Antoni H. nie miał dolnej bielizny, więc skóra na jego pośladkach popękała pod ciosami pałki. Uderzenia w okolice nerek pięściami nie pozostawiają śladów, więc do Instytutu Medycyny Sądowej poszedł z takimi obrażeniami, na jakie było go stać. Sporządzoną obdukcję wraz z opisem wydarzeń przesłał do Prokuratury i do Komendy Wojewódzkiej.

2.

Od kilku miesięcy nachodził Antoniego H. niejaki Fryderyk P., taksówkarz, znany w swoim środowisku jako wydrwigrosz, spekulant i właściciel dwóch samochodów marki „Audi 100”, nadających się jedynie na złom. Ten człowiek uparł się, by dokonać z Antonim H. wymiany jednego ze swych samochodów na działkę z murowanym domem, będącą własnością Antoniego H. i jego matki.

Dom, według wyceny rzeczoznawcy, miał wartość 4,5 miliona złotych, samochód, według wyceny Fryderyka P. — 2,5 miliona (diesel), pozostawała więc kwestia dopłaty dwóch milionów zł, którego to dylematu chciał taksówkarz za wszelką cenę uniknąć. Doczekał wreszcie dnia, kiedy Antoni H. poczuł się zagrożony finansowo, a przez to skłonny do ustępstw. Działalność artystyczna przynosiła skąpiutkie dochody, zawodowo od kilku miesięcy Antoni H. nie pracował, a wisiała nad nim już jedna grzywna i narastały zaległości alimentacyjne. Nie było czasu na rozważania. Decyzja zapadła. Dom przepisano notarialnie na nieletnie dziecko Fryderyka P., a Antoni zasiadł za sterem sześcioletniego, sprawiającego solidne wrażenie pojazdu.

Po przejechaniu kilkuset kilometrów od „Audi” odpadły dwa teleskopy, a trzy świece żarowe okazały się nieczynne. Sprężanie w cylindrach było znacznie poniżej normy. Dopiero teraz naoczni świadkowie donieśli nowemu właścicielowi, że w przeddzień transakcji Fryderyk P. przerzucił całe zawieszenie ze sprzedawanego samochodu do tego, który zostawił sobie. Wymontował radio, antenę, hak holowniczy, drobne części z deski rozdzielczej, pasy bezpieczeństwa i nawet wkręty mocujące tapicerkę. Antoni H. zamiast zarabiać, zaczął dokładać do samochodu. Postanowił rozwiązać umowę z Fryderykiem P., oddać mu auto, a za działkę wziąć żywą gotówkę. Kontrahent przystał na takie rozwiązanie, ale nie dysponował pieniędzmi, więc stan rzeczy pozostał bez zmiany.

Pewnego lipcowego wieczoru, po godzinie 23.00, Antoni H. wracał z zakrapianej kolacji do domu. Jeden z kolegów, Kazik Z., odwiózł go do połowy drogi, a tam Antoni H. złapał taksówkę. Po drodze posprzeczał się z kierowcą o cenę kursu, ponieważ wsiadł przed zmianą taryfy na nocną, a wysiadł po 23.00 i nie chciał płacić podwyższonej stawki za cały kurs. Na wszelki wypadek zapisał sobie numer boczny taksówki.

Zaczynał właśnie padać deszcz, w „Audi” zaś, stojącym na parkingu, nie zamykała się jedna z szyb. W trosce o wnętrze swojego cacka, Antoni H. postanowił nakryć je plandeką. Wydobył ją z piwnicy i ruszył w kierunku parkingu. Idącego widział jeden z sąsiadów. Zaobserwował również, choć z dosyć dużej odległości, dalszy przebieg wydarzeń. Otóż ledwie Antoni H. zbliżył się do pojazdu, podjechało do niego pogotowie milicyjne. Wysiadł z niego funkcjonariusz i zatrzymał Antoniego H. pod zarzutem prowadzenia pojazdu w stanie wskazującym na spożycie alkoholu.

— Niech szanowny pan sprawdzi, przecież silnik jest zimny — próbował oponować zatrzymany.

— Nie będę się brudził twoim silnikiem — padła zdecydowana odpowiedź.

Antoni H. nie miał przy sobie dowodu rejestracyjnego (bo i po co?), w zdenerwowaniu nie mógł go znaleźć również w domu, żeby więc udokumentować swoje prawa do samochodu, a ściślej: do nakrywania go plandeką, okazał anulowaną już ustnie umowę kupna-sprzedaży. A na tej umowie, żeby oddalić termin płatności podatku, umieszczono datę z grudnia 1986 roku. Milicjant wykrył przestępstwo. Skierował sprawę do Wydziału Przestępstw Gospodarczych i wystosował wniosek do Kolegium do spraw Wykroczeń o ukaranie za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym.

Resztę nocy spędził Antoni H. w areszcie z przerwą na wycieczkę do Izby Wytrzeźwień, gdzie pobrano mu krew do analizy na zawartość alkoholu. W kilka dni później wezwano go do komisariatu i zastępca komendanta zaproponował układ. Jeżeli Antoni H. wycofa skargę z Prokuratury, to być może da się coś zrobić, żeby Kolegium uwierzyło w jego wersję wydarzeń. Ale on chciał uczciwego targu: prawo jazdy na stół, a on pisze oświadczenie, że jego skarga jest nieaktualna. Na takie rozwiązanie nie przystał jednak zastępca komendanta i wkrótce Prokuratura wezwała Antoniego H. na przesłuchanie.

— Ma pan szczęście, że napisano tu „bierny opór”, bo za czynny odpowiadałby pan z artykułu 234 KK, a to już byłby kompletny klops! — powiedział życzliwy prokurator. I Antoni H. docenił to swoje szczęście. Napisał oświadczenie, że zajście wyglądało wprawdzie tak jak je przedstawił w zażaleniu, ale nie domaga się już ukarania winnych i prosi o umorzenie postępowania.

— Teraz funkcjonariusze będą panu na pewno życzliwsi — obiecał prokurator.

Nie byli. Trwało dochodzenie w sprawie prowadzenia w stanie nietrzeźwym. Zeznawał już świadek, który widział zajście na parkingu; gospodarz domu stwierdził, że samochód przez cały dzień, aż do późnych godzin wieczornych nie był ruszany z miejsca; brakowało zeznań Kazika Z.

— Adresu taksówkarza i tak pan nie dostanie — oświadczył prowadzący śledztwo. — Zastrzegliśmy to sobie w Zrzeszeniu. Doprowadź pan tego Kazika i to najpóźniej jutro, bo idę na urlop, a chciałbym zamknąć tę sprawę.

Kazik przebywał na wczasach w Teofilowie nad Pilicą. Najszybciej można było dotrzeć do niego rdzewiejącym na parkingu „Audi”, więc Antoni H. podjął męską decyzję. W pobliskiej kawiarni dogadał się z grupką młodych ludzi, a oni wyszukali mu Mirka, który posiadał prawo jazdy i uzdolnienia rajdowca. Za niewielką opłatą zgodził się on zawieźć Antoniego H. do Teofilowa i z powrotem.

Kazika nie zastali w ośrodku wczasowym, ale pozostawili pod wycieraczką jego „malucha” kartkę z rozpaczliwym wezwaniem do przyjazdu. Samochód w czasie podróży spisał się przyzwoicie. Ale zabrakło mu paliwa kilkaset metrów od domu.

3.

Antoni H. oczekiwał na dalszy rozwój wypadków. Pod wieczór odwiedził go znajomy, zwany Księciem Poetów. Przyniósł ze sobą butelkę wódki i suszyli ją w spokoju ducha, do wtóru smętnych wynurzeń Antoniego H. Krótko przed północą pogawędkę przerwał dzwonek telefonu. To Kazik Z. informował, że jest już w mieście i zgłosi się do komisariatu celem złożenia wyjaśnień. Radość była ogromna.

— Kaziuchna kochany, zaraz do ciebie jedziemy z wódeczką! — zawołał Antoni H. i nie czekając na protest kolegi, odłożył słuchawkę. Wzięli się z Księciem Poetów pod ramiona i poszli do zaprzyjaźnionej meliny. Nabyli tam dwie butelki wódki i ruszyli w stronę przystanku, żeby nocnym autobusem dostać się do Kazika. Po drodze, prostując się czujnie, minęli patrol MO, zaczajony w służbowej „Nysie” pod drzewkiem. Pan Antoni nie przeczuł, że to jego znajomi czuwają, by spać mógł ktoś.

Przechodząc obok porzuconego „Audi”, jego właściciel zauważył, że pali się jedno ze świateł pozycyjnych. Dzieje się tak, kiedy kierunkowskaz jest pozostawiony we włączonej pozycji. Miejsce na wiadukcie było dobrze oświetlone latarniami, więc panu Antoniemu zrobiło się żal akumulatora i postanowił wyłączyć światło. Zaledwie jednak otworzył drzwi, usłyszał sygnał milicyjnego radiowozu.

— Oho, jadą po nas! — zażartował sobie w złą godzinę.

— Ja daję nogę, bo nie mam dokumentów — oświadczył Książę Poetów i tuląc do piersi butelki z żytnią, poprzez barierkę wiaduktu dał nura w noc.

Antoni H. zgasił światło, zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę przystanku autobusowego. Uszedł może dwadzieścia metów, gdy nyska zatrzymała się, zajeżdżając mu drogę. Wysypało się z niej trzech funkcjonariuszy. Czekali na niego, bo choć był odwrócony tyłem w ciemnościach, zawołali go po nazwisku.

— Wyjmuj wszystko z kieszeni! — polecił funkcjonariusz, a Antoni H. posłusznie wyłożył na podłogę nyski klucze, zapalniczkę, papierosy i zwitek banknotów.

— Ile masz tych pieniędzy? — spytał kapral.

— Dokładnie nie wiem, policzę.

— Dawaj, ja policzę! — funkcjonariusz podniósł nad głowę podane mu pieniądze i zawołał:

— Widzicie, chciał mnie przekupić!

— O, bracie, teraz to już się nie wywiniesz! — powiedział z ubolewaniem drugi milicjant. — Prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, bez dokumentów, niezatrzymanie się do kontroli, próba ucieczki i próba wręczenia łapówki. Czarno widzę. Odechce ci się chyba pisać skargi.

Następnego dnia rano Antoni H. był przesłuchiwany przez prokuratora. Sporządzono nakaz aresztowania w obawie przed utrudnianiem śledztwa, ukrywaniem się podejrzanego i „matactwem”. Z miną tyleż niewesołą co osłupiałą, pojechał Antoni H. do Aresztu Śledczego. Tam ogolono mu głowę, sprawdzono, czy nie jest chory wenerycznie i osadzono go w celi dla grypsujących, bo sprawiał przyzwoite wrażenie.

Siedział tam sobie jak u Pana Boga za piecem, uczył się z dobrym skutkiem grypsery i wysłuchiwał opowieści o tym, jak jego współwięzień swoją niewierną narzeczoną zaciukał nogą od stołu. Grywał też w szachy, w salonowca i słuchał betoniary, która to nazwa oznacza głośnik radiowęzła. Pisał odwołania: do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do Ministerstwa Sprawiedliwości, Prokuratury Generalnej i wszystkich innych organów władzy, które mogłyby zainteresować się jego przypadkiem. Ale Organa milczały, napisał więc do odpowiednich Władz list następującej treści:

„Uprzejmie informuję, że w dniu dzisiejszym, o godzinie 9.37, zmienił mi się światopogląd społeczno-polityczny. Uznałem, że przyszło mi pozostawać w kraju rządzącym się bezprawiem i kacykostwem. Za to, że ośmieliłem się napisać skargę na przedstawicieli aparatu ucisku, wtrącono mnie do więzienia. Prędzej czy później opuszczę je jednak i powiadomię wtedy środki masowego przekazu — w kraju i za granicą — o tym, co mnie spotkało”.

W dwa dni później, jako szczególnie niebezpiecznego, przeniesiono Antoniego H. na oddział specjalny Aresztu Śledczego. Miał tam doborowe towarzystwo: były milicjant oskarżony o łapówkarstwo i przemytnik, pozostający również pod zarzutem szpiegostwa. Po sąsiedzku ludzie wielkich interesów i luminarze Sztuki, a wśród nich nawet jeden z dyrektorów Teatru Wielkiego w Łodzi. „Tu jest sympatycznie” — pomyślał Antoni H. i przygotował się psychicznie na spędzenie dłuższego czasu w tak komfortowych warunkach.

4.

Kazik nie zawiódł. Następnego dnia po przyjeździe poszedł do komisariatu. Pochwalono mu się tam ostatnim sukcesem na polu tropienia kryminalistów. Złożył zeznanie odnośnie do sprawy Antoniego H., a następnie uruchomił wszystkie dostępne mu sprężyny, żeby wyciągnąć kolegę z tarapatów. Postawił w stan pogotowia dwa pokrewne stowarzyszenia artystyczne, w których zrzeszony był również Antoni H. i zebrał potrzebną liczbę podpisów na poręczeniu społecznym. Było to pismo zapewniające Prokuraturę, że w wypadku zwolnienia Antoniego H. z aresztu, nie będzie on gmatwał złośliwie śledztwa, nie ucieknie donikąd i stawi się na każde żądanie aparatu sprawiedliwości.

To poskutkowało. Po miesiącu pobytu w areszcie Antoni H. zabłysnął swą ogoloną czaszką na ulicach miasta. Nie wiedział jeszcze, jak to się stało, że wypuszczono go tak ni stąd ni zowąd, ale nie bardzo przejmował się tym problemem. Myślał raczej, jak długo da się żyć z zapomogi udzielonej mu przez Zakład Karny. Zamknął się w domu na głucho i tylko z rzadka przyjmował wizyty znajomych. Czuł, że każde wyjście na ulicę może być pretekstem do ponownego aresztowania go i próbował tego uniknąć. Był bliski klinicznych objawów manii prześladowczej, ale bał się iść nawet do psychiatry. Liczył tylko siwe włosy, które zaczęły pojawiać mu się na skroniach...

CDN.

Obozów było więcej

Tysiące listów z nowymi informacjami napłynęły do osób zajmujących się społecznie losami Polaków, którzy we wrześniu 1939 roku znaleźli się we wschodniej Polsce, przyłączonej do ZSRR. Rodziny piszą o swoich krewnych, znajomi — o znajomych, o przypadkowo spotkanych towarzyszach niewoli, o sąsiadach i przyjaciołach. Wspominają o aresztowaniach, o pobycie w obozach jenieckich i obozach pracy, o deportacjach w głąb olbrzymiego kraju. Wiele listów zawiera nazwiska osób zaginionych bez wieści. Z korespondencji wyłania się coraz pełniejszy obraz strat polskich, poniesionych na Wschodzie. Jest to obraz tragiczny.

Obozy przejściowe. Wrzesień — październik 1939.

W artykule zajmiemy się wyłącznie losami kadry zawodowej i rezerwowej Wojska Polskiego, Policji i Korpusu Ochrony Pogranicza, choć straty w tej grupie stanowią ułamek ogólnej liczby ofiar wśród Polaków. Są jednak łatwiejsze do oszacowania, zważywszy na przedwojenną ewidencję, na mniejsze rozproszenie i liczebność tych jeńców, niż np. późniejszych deportowanych. Nie bez znaczenia był również częsty wśród oficerów nawyk sporządzania notatek, pisania listów, spisywania — jeszcze po latach — wspomnień, prowadzenia przez wielu z nich poszukiwań na własną rękę. Pamiątki po zamordowanych i zaginionych przechowywały też pieczołowicie ich rodziny, ujawniając je często dopiero obecnie, po długich latach wymuszonego milczenia.

Przechodzac zatem ad rem: do niewoli Armii Czerwonej dostało się we wrześniu 1939 roku ponad 230 tys. oficerów i żołnierzy polskich. Wskutek masowych aresztowań, jak również w następstwie dobrowolnego zgłaszania się niektórych wojskowych do władz radzieckich (co było m.in. efektem „dyrektywy ogólnej" marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego o niestawianiu Armii Czerwonej oporu, jak też niejasności, czy jest ona wrogiem czy sojusznikiem) liczba ta wzrosła w ciągu kilku miesięcy do 250 tys. ludzi w polskich mundurach. Byli oni kierowani do tymczasowych obozów tzw. wyjściowych, a potem — poprzez małe obozy przejściowe — zdecydowana większość wyselekcjonowanej już wstępnie kadry trafiła do trzech najbardziej znanych obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie.

Stosunkowo mało znany jest okres początkowy, pierwszych tygodni i miesięcy niewoli. Wiadomo, iż władze radzieckie wypuściły w tym czasie na wolność część szeregowców, pozostawiając natomiast podoficerów, oficerów i funkcjonariuszy policji, aby popędzić ich dalej, na kolejne etapy niewolniczej wędrówki. Zgrupowania jeńców trzymane były często w szczerym polu, w najzupełniej prymitywnych warunkach. Przykładem **obóz w miejscowości Dolina na przedgórzu Karpat** który funkcjonował przez prawie 2 tygodnie. Nie było tam żadnych ogrodzeń, w dzień pilnowali konwojenci, w nocy podjeżdżały samochody oświetlając cały teren reflektorami. Bardziej znanym obozem przejściowym była **Szepietówka na Wołyniu**, na wschód od dawnej granicy polsko-radzieckiej. Ogółem doliczono się aż 138 **małych obozów przejściowych,** w których przebywali Polacy.

Wcześniej czy później zdecydowana większość kadry trafiła do obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, które zaczęły się zapełniać już pod koniec września 1939 roku. Początkowy okres funkcjonowania tych obozów jest trudny do ilościowego rozpoznania, z uwagi m.in. na fakt, że prawo do wysyłki listów przyznane zostało jeńcom dopiero na Boże Narodzenie 1939 roku.

Pierwsze zwolnienia i wywózki. Październik — — grudzień 1939 r.

Świadectwo z października 1939 roku mówi o prawie 15 tys. jeńców **w Starobielsku,** kocz ących pod gołym niebem, w mundurach pozbawionych dystynkcji, aby ukryć swe prawdziwe szarże. Po pewnym czasie władze obozu udostępniły im barak po przebywających wcześniej **w Starobielsku** zakonnikach. Miał on być przeznaczony dla oficerów wyższych stopni, zajęty jednak został po prostu przez grupę (2—3 tys,) osób starszych wiekiem, dobranych przypadkowo, bez żadnej selekcji. To samo świadectwo podaje, iż pod koniec października 1939 roku ludzie z baraku wywiezieni zostali w nieznanym kierunku. Być może przeniesiono ich do innych obozów. Możliwe też, że było to preludium do późniejszych, tragicznych wydarzeń.

Jedynym dużym obozem, przygotowanym od strony technicznej na przyjęcie znacznej liczby jeńców, był obóz **w Kozielsku,** przy linii kolejowej Smoleńsk — Tuła. W początkowym okresie przebywało w nim około 5000 jeńców, w okresie likwidacji — już tylko 4500. Rachunki są dość zwodnicze, gdyż przywożono tu również jeńców z innych obozów, przede wszystkim **z Ostaszkowa,** na przesłuchania. Wyjaśnia to fakt, dlaczego te same nazwiska znajdują się w ewidencji dwóch, a nawet trzech obozów. Z pierwszych miesięcy funkcjonowania **Kozielska** pochodzi też wiadomość, iż wyselekcjonowano kilkuset młodych mężczyzn, nadających się do ciężkiej pracy (przypuszczalnie niższych szarż), wywożąc ich następnie w nieznanym kierunku.

Z nowych informacji, zamieszczonych w jednym z listów wynika, że chodzi tu być może o obozy pracy **na południu Ukrainy: Marganiec, Krzywy Róg i Rudnik. W Rudniku** przebywać mieli w większości Polacy (ok. 2—3 tys.), zatrudnieni w kopalni manganu. Istnieje relacja, że 24 grudnia 1939 roku odmówili oni przystąpienia do pracy. Według tego samego źródła, władze nie represjonowały zbuntowanych, uznając ich racje, że dla Polaków jest to wielkie święto. Nie wiadomo, jaki był dalszy los przebywających w obozach **w Krzywym Rogu.**

Największy liczebnie obóz jeńców polskich założono w **Ostaszkowie,** na wyspie jeziora Seliger. Trafiło tutaj około 2 tys. wyższych stopniem oficerów, wszyscy wzięci do niewoli żołnierze KOP, żandarmeria, pracownicy sądownictwa, policjanci, a także kilkudziesięciu księży. Ogółem w pewnym okresie przebywało w **Ostaszkowie 13—17 tys. osób. Skład był** jednak dość płynny, gdyż oficerów wywożono na badania śledcze do **Kozielska,** regularnie dokonywano też wymiany jeńców z Rzeszą. Chodzi tu o jeńców-Polaków (nie o osoby pochodzenia niemieckiego, o czym za chwilę) zamieszkujących tereny utworzonej przez Niemców Generalnej Guberni. Byli oni wymieniani za jeńców, wziętych przez faszystów na „kresach".

Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków. Zima 1939/1940.

W ostatnich miesiącach 1939 roku skład trzech największych obozów uległ stabilizacji. Wtedy też doszło do pierwszych, niewątpliwych już zbrodni na Polakach — kapelanach wszystkich wyznań. Zostali oni wywiezieni (w liczbie około dwustu) w Wigilię Bożego Narodzenia. **W Kozielsku** ocalało tylko trzech kapelanów, m.in. ksiądz-major Jan Ziółkowski, który siedział akurat w obozowym karcerze.

Zima 1939/1940 była dość sroga, zwłaszcza dla nie przywykłych Polaków. **W Kozielsku** temperatury dochodziły do minus 47 stopni, **w Starobielsku** — do minus 31 stopni w styczniu. Mrozy, a także — jak można przypuszczać — epidemia czerwonki spowodowały liczne ofiary, oceniane na średnio po 150 osób w każdym z trzech obozów.

W Ostaszkowie doszło wtedy do masowego mordu na Polakach, którzy ukończyli 50 rok życia. Polecono im zgłosić się do władz obozu, obiecując zwolnienie i powrót do kraju. Zamiast do Polski, trafili pod lód jeziora Białego, jednej z odnóg jeziora Seliger. Nie jest znana liczba ofiar. Prawdopodobnie ta właśnie tragedia wywołała późniejsze plotki o więźniach **Ostaszkowa,** zatopionych wraz z barkami na Morzu Białym.

U schyłku zimy rozpoczęły się przygotowania do uwolnienia jeńców pochodzenia niemieckiego, co stanowiło obowiązek strony radzieckiej na mocy traktatu z Rzeszą. Przy tej okazji ogrodzono i uporządkowano teren obozu **w Starobielsku,** gromadząc poza ogrodzeniem oficerów, mających wkrótce powrócić do Polski. Grupa ta liczyła kilkadziesiąt osób. Podobną liczbę jeńców zwolniono też **z Kozielska i Ostaszkowa.**

Zdarzały się także ucieczki jeńców, m.in. z nie pilnowanej łaźni **w Starobielsku** i z pracy na pobliskiej stacji przeładunkowej drewna.

Wszystko wskazuje na to, iż w tym czasie była już przesądzona decyzja o egzekucji wszystkich pozostałych w obozach oficerów i funkcjonariuszy Państwa Polskiego. Pewne informacje zdają się wskazywać na to, że w marcu rozpatrywano jeszcze wariant przekazania dalszej części jeńców w ręce niemieckie. Odmowa przejęcia internowanych oficerów przesądziła prawdopodobnie o likwidacji obozów, z którą poczekano do wiosny, gdy możliwe będzie przygotowanie zbiorowych grobów...

Nieubłaganie zbliżał się finał. Trzeba w tym miejscu powiedzieć, że nie był on zupełnie przez jeńców polskich spodziewany. Panował wśród nich nastrój zgoła pogodny, optymistyczny, zwłaszcza **w Kozielsku i Starobielsku.** Strażnicy odnosili się do oficerów poprawnie, jedzenie było w zasadzie wystarczające. Spodziewano się, że nastąpi przekazanie jeńców aliantom, a w najgorszym przypadku Niemcom, czego zresztą bardzo się obawiano. Do ostatniej chwili Polacy byli przekonani, że ich los jest przedmiotem stałej troski Rządu RP, że toczą się na ten temat rozmowy dyplomatyczne. Były to — jak wiemy dzisiaj — nadzieje całkowicie nieuzasadnione. Podzielał je nawet profesor **Stanisław Świaniewicz,** jedyny ocalały na stacji **Gniezdowo,** 3 km od miejsca straceń **w Katyniu.** W książce „W cieniu Katynia" pisze on dosłownie tak:

„Przyznam się, że w owym momencie, w blasku uroczego, wiosennego dnia, myśl o egzekucji nie przyszła mi do głowy".

Likwidacja obozów. Kwiecień — maj 1940.

Z **Kozielska** pierwszy transport jeńców odszedł 3 **kwietnia 1940 roku, z Ostaszkowa — 4 kwietnia, ze Starobielska — 5 kwietnia.** Ostatnie transporty ze **Starobielska i Kozielska** odjechały 12 maja, **z Ostaszkowa** — w 4 dni później. Podróżowano w wagonach typu „stołypinowskiego", bez okien. Oficerowie łączeni byli w grupy od 30 do ponad 300 ludzi, pod „dowództwem" wyznaczonych wcześniej Polaków. Przed „ekspedycją" dokonano masowych szczepień przeciwko durowi brzusznemu i cholerze, jeńcy zaopatrzeni zostali w zwiększone porcje żywnościowe, niektóre transporty żegnane były przez orkiestrę...

Dojechali, ci **z Kozielska** (4,5 **tys. osób**) — do Katynia; **dokąd zaś dojechali ci z Ostaszkowa,** w liczbie 6,5 tys. jeńców, **oraz ci ze Starobielska,** których liczbę ocenia się na 7,5 **tys. ludzi — nie wiadomo.** Przypuszcza się tylko, że obóz starobielski znalazł swe groby w **Dergaczach na przedmieściu Charkowa,** gdzie teraz znajduje się lotnisko; **transporty z Ostaszkowa** dotarły najprawdopodobniej do miasta **Bologoje,** na północny wschód od Ostaszkowa.

Spośród ogółem 90 transportów, siedem skierowanych zostało na inną trasę, wiodącą do małego obozu **Pawliszczew-Bor** w pobliżu **Kaługi.** Ocalały w ten sposób 2 transporty **z Kozielska,** tyle samo **ze Starobielska oraz** trzy — **z Ostaszkowa.** W sumie daje to liczbę 448 uratowanych od zagłady, których przeniesiono następnie **do Griazowca pod Wołogdą.** Dołączyło do nich prawie tysiąc oficerów polskich z Litwy. W Griazowcu doczekali się wszyscy wizyty generała Władysława Andersa, niedawno uwolnionego z celi na Łubiance. Stało się to 21 września 1941 roku, w trzy miesiące po rozpoczęciu niemieckiej inwazji na Rosję. Do dziś nie wiadomo, jakimi kierowano się kryteriami, wyłączając 448 „griazowczan" od egzekucji.

W 1957 roku nastąpiło wydarzenie, które rzuca pewne światło na wypadki z kwietnia i maja 1940 roku, chociaż — z drugiej strony — nie może być przyjmowane bezkrytycznie. Tygodnik zachodnioniemiecki „7 Tage" opublikował wtedy fotokopię i przekład dokumentu, który przyniósł — podobno — do redakcji pewien Polak, zatrudniony w czasie wojny w organizacji Todta. Dokument, wystawiony z datą **10 czerwca 1940 roku,** podpisany był przez szefa NKWD w Mińsku **Tartakowa** i skierowany — jako ściśle tajny — do generałów **Zarubina i Rajchmana** w Moskwie. Tartakow informował w nim o likwidacji obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, wymieniając niejakiego **Burianowa** jako delegata centrali NKWD, odpowiedzialnego za całą akcję. Nie wiadomo, czy dokument był oryginalny. Tygodnik „7 Tage" przestał potem wychodzić, tworzący go zespół rozproszył się, nie udało się odnaleźć doręczyciela. Skądinąd wiadomo jednak, że przynajmniej jeden podany w dokumencie szczegół, dotyczący nazwy jednostki osłaniającej rozstrzeliwanie jeńców ze **Starobielska,** znalazł potem częściowe potwierdzenie.

Epilogi

Obóz **w Ostaszkowie** funkcjonował aż do 1956 roku. W latach 1944—52 zsyłano tam m.in. aresztowanych AK-owców. Obóz w Starobielsku również szybko się znowu zaludnił.

Obóz w Ostaszkowie funkcjonował aż do połowy lat 50. W latach 1944—52 zsyłano tam m.in. aresztowanych akowców. Obóz w Starobielsku również szybko się znowu zaludnił. Stało się to w czerwcu 1940, gdy przybyły transporty z południowych kresów Rzeczypospolitej, okolic Tarnopola i Czortkowa. We wrześniu 1940 w Starobielsku więzionych było kilkanaście tysięcy osób, w tym kilkaset kobiet, w większości nauczycielek i urzędniczek. Do końca grudnia 1940 zapadały wyroki, wydawane przez tzw. trójki NKWD. I znów ze Starobielska wyruszyły transporty — w rejon Archangielska, ze skazanymi na ciężkie roboty w obozach pracy. Trzecią z kolei „falę", która przybyła do Starobielska 25 lipca 1941 roku, tworzyli podoficerowie, w liczbie ponad 2 tysięcy, którzy — wzięci do niewoli pod Lwowem, — budowali dla Rosjan drogi i lotniska. Dopiero u nich zjawili się wysłannicy generała Andersa.

Nieliczne listy wspominają też o innych obozach, przeznaczonych w zasadzie dla obywateli ZSRR, gdzie także znalazły się grupki Polaków, w tym oficerów. Wymienia się więc m.in. obozy **w Orle,** na wyspie jeziora **Onega,** nawet na obrzeżu Moskwy.

Wspominając o losach tych wszystkich ludzi, trzeba mieć na uwadze, że do liczb przytoczonych w artykule należy podchodzić z dozą ostrożności, bowiem opierają się one na przybliżonych szacunkach. Istnieje też dobrze umotywowana wersja, zgodnie z którą liczba 15—18,5 tys. zamordowanych oficerów i funkcjonariuszy jest zaniżona, gdyż nie uwzględnia liczby powołanych rezerwistów. Wedle tej wersji, liczba ofiar sięgnęła 20—25 tysięcy.

Jedno jest pewne: zginęła elita intelektualna Polski, oficerowie, naukowcy, inżynierowie, nauczyciele, działacze społeczni, lekarze. Przykładowo, tylko **w Starobielsku** uwięziono więcej niż 20 profesorów wyższych uczelni, około 400 lekarzy, kilkuset prawników i tyle samo inżynierów, około 100 nauczycieli, 600 lotników, kilkudziesięciu literatów i dziennikarzy. Ludzi tych zabrakło potem w powojennej Polsce. Gdyby nie ich bolesna utrata, historia narodu potoczyłaby się zapewne inaczej.

P.S.

Artykuł napisany został przy wydatnej pomocy dr. **Zygmunta Zdrojewskiego** i **Zygmunta Gaula,** współpracujących z **Jędrzejem Tucholskim** (autorem „Cichociemnych") w przygotowaniu publikacji o losach Polaków na Wschodzie.

Na podstawie opracowanych przez nich informacji do druku podał:

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

ze str. 4

jakich posłów dla nich wybierzecie!"

Coraz trudniej prowadzić dom. Już dość niepokoju o przyszłość dzieci, niepewności jutra, braku mieszkań, galopującej inflacji — z tym chce walczyć **Halina Suskiewicz.**

Chce, aby nie powstawały w Polsce osiedla — sypialnie, takie jak Retkinia w Łodzi. Będzie czyniła starania, aby w już istniejących poprawić infrastrukturę handlową i usługową. Ludzie w swoim miejscu zamieszkania muszą mieć warunki do godziwego życia! To nie tylko pieniądze, choć o ich sprawiedliwy podział w społeczeństwie będzie zabiegać **Halina Suskiewicz.**

„Halina Suskiewicz jest z Wami i Waszymi dziećmi. Wy bądźcie z nią!"

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Opozycyjne ugrupowania polityczne

Polska Partia Socjalistyczna.

Polska Partia Socjalistyczna powstała — czy raczej została reaktywowana — w listopadzie 1987 roku. Na Zjeździe Założycielskim (15—22.XI.1987) uchwalono podstawowe dokumenty, wyłoniono 7-osobowe Prezydium Rady Naczelnej i 9-osobowy Centralny Komitet Wykonawczy. PPS działa poza systemem PRL.

PPS powstała z inicjatywy środowiska Grup Politycznych „Robotnik" Warszawy, Szczecina („Robotnik Pomorza Zachodniego") i Wrocławia. 14 lutego 1988 w Radzie Naczelnej PPS nastąpił rozłam. Przez kilka miesięcy działały obok siebie dwie PPS: „starzy", czyli dotychczasowy nurt partii i „młodzi" — nurt radykalny, który w grudniu 1988 określił się jako PPS-RD (Rewolucja Demokratyczna). Pierwszą można umiejscowić w ramach socjaldemokracji, grupa PPS—RD stoi na gruncie radykalnych, rewolucyjnych przemian.

W Łodzi środowisko, z którego wyrosła PPS, formowało się już w 1980 roku. W czasie internowań zaczęła krystalizować się myśl utworzenia partii. W tym czasie w Łodzi działało kilka grup, które oparły się na tradycjach PPS. W październiku 1988 przedstawiciele środowiska przedsierpniowej opozycji, część działaczy „Solidarności" i środowiska NZS powołali łódzką strukturę PPS. Powstał OKR — Okręgowy Komitet Robotniczy (obecnie Okręgowy Komitet PPS w Łodzi) 11 listopada 1988 roku ukazał się pierwszy numer łódzkiego pisma „Robotnik"

Na Kongresie PPS (15—16.IV.1989) uchwalono podstawowe dokumenty partii: statut, program, uchwały: w sprawie stosunku do wyborów, stosunku do PPS na obczyźnie, w sprawie propagandy i działań antysemickich w Polsce. Wybrano władze partii. Przewodniczącym został **Jan Józef Lipski** a do władz centralnych weszli także przedstawiciele organizacji łódzkiej — trzech do Rady Naczelnej, dwóch do Centralnego Sądu Partyjnego i jeden do Centralnej Komisji Rewizyjnej. Środowisko łódzkie wzięło aktywny udział w Kongresie — m. in. delegaci łódzkiej PPS przedstawili projekt uchwały w sprawie kierunku przemian gospodarczych w Polsce.

W programie PPS czytamy:

„PPS nie jest związana z żadnym określonym systemem światopoglądowym. Systemy polityczne, budowane na doktrynach światopoglądowych, jak komunizm, faszyzm, teokracje, zawsze prowadziły do nietolerancji i totalitaryzmu".

Jako naczelny cel partii Kongres uznał niepodległą, demokratyczną i sprawiedliwą społecznie Rzeczpospolitą Polską.

— „Za niepodległy uznajemy kraj, którego wewnętrzny ustrój i polityka zewnętrzna są kształtowane przez społeczeństwo w demokratyczny sposób.

— Demokrację przyjmuje PPS jako system, w którym władza wszelkiego stopnia wynika z woli społeczeństwa i jest stanowiona przez system parlamentarny. PPS opowiada się za rządami większości przy zachowaniu praw mniejszości, w tym prawa do jawnej, nieskrępowanej opozycji i swobodnej rywalizacji idei.

— Sprawiedliwość społeczna oznacza równość szans i takie stosunki społeczne, aby każdy miał zagwarantowane wszechstronne możliwości rozwoju".

Dla osiągnięcia tych celów PPS proponuje: trójpodział władz, demokratyczny system powoływania parlamentu i samorządu terytorialnego w pięcioprzymiotnikowych wyborach, pełną niezawisłość sądów, system gospodarczy oparty na różnorodnych formach własności, społecznie kontrolowane: służbę zdrowia, opiekę społeczną, powszechną oświatę i ochronę środowiska, swobodny rozwój kultury i nauki wolny od cenzury, tolerancję światopoglądową i religijną, pokojowe rozwiązywanie wszelkich konfliktów.

Oparcie działań PPS na legalności, jawności, demokracji wewnętrznej, odrzuceniu przemocy, tolerancji i otwartości światopoglądowej oraz samorządności, współpracy i aktywności społecznej konstytuuje PPS jako partię ewolucji i tym odróżnia ten nurt od radykalnej PPS-RD.

PPS uruchomiła punkt konsultacyjny w Łodzi.

MAREK JUŚKIEWICZ

Kandydaci „Solidarności" na senatorów i posłów na spotkaniu z wyborcami.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Przeciwdziałaniem niekorzystnym dla Łodzi procesom zająłbym się w Sejmie, gdybym został wybrany.

Łódź gwałtownie się starzeje

Łódź wśród innych wielkich miast w Polsce wyróżnia się szczególną cechą — począwszy od 1985 roku zaludnienie miasta zaczęło się zmniejszać. Wprawdzie w roku 1988 odnotowaliśmy pewien wzrost liczby ludności, ale był on wyłącznie rezultatem rozszerzenia granic miasta. Od 1985 roku notujemy w Łodzi większą liczbę zgonów niż urodzeń. Stąd przyrost naturalny jest od pięciu lat ujemny.

W Polsce jest czterdzieści jeden dużych miast, których zaludnienie wynosi 100 tys. lub więcej mieszkańców. Wśród tych miast największe natężenie zgonów (liczba zgonów na 1000 ludności) występuje w Chorzowie, a drugie miejsce zajmuje Łódź. Niekorzystna pozycja Łodzi w tym zestawieniu jest w znacznej mierze związana ze „starością demograficzną" miasta. Liczba osób w wieku 60 i więcej lat sięga tu 160 tys., a więc co piąty mieszkaniec — to osoba w starszym wieku. Pod tym względem zajmujemy czołowe miejsce wśród wielkich miast. Naturalnym rezultatem wysokiego stopnia zaawansowania procesu starzenia się ludności Łodzi jest wysoka liczba zgonów.

Szczegółowe badania wykazały, że stan zdrowia mieszkańców Łodzi i województwa jest gorszy niż w wielu innych regionach kraju. Wymownym tego wyrazem jest bardzo wysoka umieralność niemowląt. Ostatnio tylko dwa miasta — Wodzisław Śląski i Bytom — charakteryzują się wyższym poziomem tego współczynnika. Z drugiej strony warto zauważyć, że w kilku wielkich miastach umieralność niemowląt jest o połowę niższa niż w Łodzi. Sądzę, że dwa czynniki istotnie wpływają na ten smutny fakt. Pierwszy wiąże się ze skutkami niekorzystnej sytuacji ekologicznej Łodzi (podajmy dla przykładu, że emisja pyłów i gazów na 1 km kwadratowy wynosi w Łodzi 404 t, a w Katowicach — 160 t). Drugim czynnikiem jest wysoka aktywność zawodowa młodych kobiet, będących w wieku największej płodności. Zwróćmy przy tym uwagę, że w Łodzi znaczna część tych kobiet pracuje w zakładach związanych z przemysłem lekkim, który tylko z nazwy jest „lekki". Trudne warunki pracy nie pozostają bez wpływu na biologiczną kondycję rodzących się dzieci. Odbijają się również negatywnie na zdrowiu kobiet. Podajmy dla ilustracji, że tylko w dwu województwach (katowickie i jeleniogórskie) przeciętne trwanie życia kobiet jest niższe niż w miastach województwa łódzkiego. Przytoczone fakty określają zadania służby zdrowia w zakresie intensyfikacji opieki nad ciężarnymi kobietami i małymi dziećmi.

Przejdźmy do drugiego z elementów przyrostu naturalnego ludności jakim są urodzenia. Wśród wielkich miast Łódź wraz z Warszawą wyróżnia się najniższym natężeniem urodzeń. Niska skłonność kobiet łódzkich do rodzenia dzieci wiąże się niewątpliwie z ich wysoką aktywnością zawodową. Nie bez znaczenia są również trudne, gorsze niż w innych wielkich miastach, warunki mieszkaniowe. Nic nie wskazuje na to, by w najbliższej przyszłości uległy one istotnej poprawie. W Łodzi buduje się mniej mieszkań niż w innych miastach. Sytuację pogarsza fakt, że coraz większa liczba starych budynków podlegać będzie rozbiórce. Z tego powodu kobiety łódzkie nie kwapią się do rodzenia. W ciągu całego okresu płodności (15—49 lat) rodzą one średnio mniej niż dwoje dzieci (dokładnie 1,5), co w przyszłości nie może zapewnić zastąpienia pokolenia rodziców przez dzieci.

Efektem wysokiej liczby zgonów i niskiej urodzeń jest ujemny przyrost naturalny. Niewielki napływ migracyjny nie rekompensuje tego ubytku. Łódź jest dla migrantów mało atrakcyjnym miastem ze względu na trudne warunki mieszkaniowe i niskie płace. Ten ostatni fakt łączy się ze zmniejszeniem liczby osób dojeżdżających do pracy w Łodzi. Stabilizację czy nawet spadek zaludnienia można by uznać nawet za zjawisko korzystne (mniej ludności — mniejsze potrzeby), gdyby nie demograficzne i społeczne skutki tego zjawiska.

W pierwszym rzędzie wymienić należy postępujący proces starzenia się ludności Łodzi. Ludzie starzy, których udział w Łodzi jest większy niż w innych miastach, wyróżniają się szczególną strukturą demograficzną i społeczną. Łódź jest miastem najbardziej sfeminizowanym wśród czterdziestu jeden wielkich miast. Na 100 mężczyzn przypada tu 118 kobiet. Wśród ludzi starych przewaga kobiet jest znacznie większa: na 100 mężczyzn przypada ich 171. Większość z nich to wdowy. Tak więc problem ludzi starych w Łodzi, to przede wszystkim problem samotnych kobiet. Szczególną grupę stanowią osoby bardzo stare, które przekroczyły osiemdziesiąty rok życia. Jest ich 20 tys. Ta grupa osób starych wymaga zainteresowania i opieki ze strony odpowiednich służb społecznych.

Osobny problem stanowią warunki mieszkaniowe osób w starszym wieku oraz poziom wynikający z wysokości rent i emerytur. Jestem zdania, że zmiana systemu emerytalnego winna iść w tym kierunku, by wcześniej przyznana emerytura nie różniła się wysokością od uzyskiwanej na danym stanowisku pracy dziś. Zdecydowana poprawa warunków bytowych osób w starszym wieku — to ważny problem społeczny, szczególnie nabrzmiały w mieście. Ludziom w starszym wieku należy zapewnić różnorodne i atrakcyjne możliwości spędzania wolnego czasu, w tym lepsze warunki dla ujawnienia i realizacji aktywności na polu społecznym.

Inną grupą społeczną wymagającą szczególnej opieki są „rodziny niepełne". Łódź wyróżnia się bardzo wysoką liczbą rozwodów, a rezultatem tego jest fakt, że co dziesiąta rodzina w mieście to matka samotnie wychowująca dzieci. Wysoka aktywność zawodowa młodych łodzianek (pracujących często w systemie zmianowym) oraz znaczna liczba rodzin niepełnych, to argumenty za radykalnym zwiększeniem liczby miejsc w żłobkach i przedszkolach oraz szczególnych form opieki społecznej.

WŁADYSŁAW WELFE

Foto: Grzegorz Gałasiński

— Jestem romantykiem i realistą jednocześnie.

Wybić się na normalność

Rozmowa z doc. ZDZISŁAWEM PROCHOWSKIM, członkiem Komisji Makroregionu Środkowego kandydatem na posła z Okręgu Wyborczego nr 60, z mandatu bezpartyjnych nr 234.

— Przed dwoma laty rozmawialiśmy na temat sytuacji gospodarczej i społecznej w środku Polski i zapis tej rozmowy ukazał się w „Odgłosach" pod tytułem „Depresja w środku Polski". Czy coś się w tej sprawie zmieniło?

— Termin „depresja w środku Polski" przyjął się i stał się stereotypem. A to znaczy, że problem dotarł do świadomości wielu ludzi. W wyniku tego — ale to nie przyszło wcale łatwo — powstał makroregion środkowy. Makroregion ten wyłączono z warszawskiego, bo to był oczywisty nonsens. Ale ma on jeszcze sporo mankamentów. Jest to bowiem twór centralistyczny, który ma spełnić cele bilansowo-finansowe, planistyczno-koordynacyjne widziane z punktu odniesienia centrum. A mnie chodziło o to, aby powstała federacja środkowych województw, żeby porozumiały się ze sobą rady narodowe tych województw, zaczęły racjonalnie współpracować.

— Czy to już jest niemożliwe?

— Możliwe i konieczne. To się musi stać. W tym działaniu odgórnym województwa uświadamiają sobie wzajemne związki i korzyści z nich płynące. To musi doprowadzić do działania oddolnego, do powstania federacji województw.

— I to wszystko?

— Nie. Zmiany są różnorodne. Ale też i pogorszyło się. Na przykład w kolejnictwie nadal pozostajemy w zaklętym trójkącie trzech K: Kutno — Koluszki — Karsznice. Są to stacje przesiadkowe dla łodzian. Łódzką stację dla pociągów ekspresowych mamy teraz aż w Warszawie. Nadal w PKP nie rozumieją, że Łódź stanowi naturalne centrum komunikacyjne. Zrozumieli to natomiast budowniczowie autostrad. Nie obyło się to bez walki i to bardzo ostrej. Nawet profesor Adolf Ciborowski był przekonany, że centrum musi być w Warszawie. Ale pomogli nam eksperci ONZ do spraw komunikacji, którzy uznali nasze racje. I tak autostrada Wschód — Zachód została obniżona do poziomu naszej aglomeracji i spotka się z autostradą Północ — Południe w Strykowie. To, że obie te autostrady spotkają się w pobliżu Łodzi, a więc w naturalnym centrum komunikacyjnym, będzie miało wpływ na inne sprawy komunikacyjne.

— Ale nie zmieni sytuacji komunikacji wewnętrznej w Łodzi.

— Oczywiście, że nie. Wszystko, co można byłoby zrobić dla wewnętrznej komunikacji w Łodzi, to jest to tylko poprawianie zła. Jedynym rozwiązaniem jest budowa metra. I tu możemy odnotować postęp: są już prace studialne i wstępne prace projektowe.

— Zagrożenia dla Łodzi pozostają nadal aktualne?

— W Polsce jest 7 obszarów szczególnego zagrożenia. Są to obszary, na których występują dysproporcje i konflikty w ich funkcjonowaniu.

— Dysproporcje zdarzają się wszędzie.

— Ale w tych 7 obszarach doszły one już do takiego nasilenia, że obniżają rezultaty produkcji i przyczyniają się do obniżania się poziomu życia ich mieszkańców. Są to aglomeracje: katowicka, krakowska, łódzka i gdańska. Jest to również obszar legnicko-głogowski, Sudety i „ściana wschodnia" Białostocczyzny. Problemów tych obszarów nie rozwiąże się ich własnymi siłami. Do tego potrzeba skoncentrowanego wysiłku kraju.

— W czym upatruje pan najważniejszy problem Łodzi?

— Myślę, że najważniejsze nie tylko dla Łodzi — ale dla Łodzi przede wszystkim — to rekonstrukcja i modernizacja przemysłu lekkiego.

— Niektórzy uważają, że to przemysł stosowny dla trzeciego świata i nie ma sobie czym zawracać głowy.

— I z tymi poglądami wyrządzili wiele szkody. Kto z producentów wyrobów przemysłu lekkiego znajduje się w pierwszej dziesiątce? Ano właśnie: Japonia, Francja, RFN, Wielka Brytania i USA. Są tam Chiny i Korea. W USA przemysł lekki po przemyśle samochodowym wytwarza największy dochód narodowy. Tak, że to wcale nie jest przemysł dla biednych.

A co przemawia za tym, aby u nas go rozwijać? Przede wszystkim to, że posiadamy znakomitych fachowców i doskonałe zaplecze naukowe. Trzeba unowocześnić park maszynowy przemysłu lekkiego — to prawda. Jeśli tego nie zrobimy, to trzeba będzie już w niedługim czasie wydawać po 6 miliardów dolarów rocznie na import tkanin i odzieży. Czy nas na to stać? Poza tym przemysł ten — wbrew niektórym opiniom — ma ogromne możliwości eksportowe. Kariery na elektronice na razie nie zrobimy bo inni są w tej dziedzinie znacznie lepsi od nas.

Trzeba też wiedzieć, że przemysł lekki, nawet w tym stanie w jakim jest, uzyskuje rentowność półtora raza większą od średniej dla całego przemysłu. To znaczy, że przemysł ten finansuje inne dziedziny gospodarki. I to trzeba koniecznie zmienić. Trzeba znaleźć pieniądze na rozwój przemysłu lekkiego, na jego modernizację. Jest to przemysł, który potrzebuje mało energii elektrycznej, jest stosunkowo nieszkodliwy dla środowiska, może szybko reagować na potrzeby rynku.

— A co to konkretnie oznacza dla Łodzi?

— W Łodzi już przez trzeci kolejny rok spada liczba mieszkańców. Mamy ujemny przyrost naturalny. Rośnie liczba ludności w wieku poprodukcyjnym. Nie zatrzymamy skutków tych procesów, jeśli nie dokonamy modernizacji i rekonstrukcji przemysłu. Łódź na przykład, wśród 40 dużych miast znajduje się na ostatnim miejscu pod względem wielkości usług. Są tu ogromne potrzeby. Modernizacja i rekonstrukcja przemysłu miasta dla ludzi również i dla usług. Można będzie zatem rozwijać inne dziedziny gospodarki, które dziś cierpią na brak rąk do pracy.

— Może przemysł lekki jest mniej szkodliwy dla otoczenia od innych, ale w Łodzi zamienił rzeki w ścieki, a ludziom wcale nie ułatwia życia. Mamy w Łodzi najwyższą liczbę umierających niemowląt. Przyczyny spadku przyrostu naturalnego też upatrywałabym w trudnych warunkach życia.

— Zgoda. W Polsce jest 27 rejonów ekologicznego zagrożenia i Łódź jest jednym z tych rejonów. To prawda, że łódzkie rzeki są ściekami, że zatruwamy również rzeki kilku innych województw. Dlatego niezbędna jest Grupowa Oczyszczalnia Ścieków, której budowa ślimaczy się niezwykle. Ktoś musi o te sprawy dbać. Myślę, że to powinna być sprawa łódzkich posłów w nowym Sejmie. Nie jest to bowiem sprawa partykularna, tylko łódzka. Jest to sprawa dużej połaci Polski, przez którą płyną z Łodzi zatrute wody.

Ale proszę mi wierzyć, że jednak przyszłość Łodzi związana jest z przemysłem lekkim. Ot, choćby Interfashion. Kilku znajomych cudzoziemców dziwiło się, dlaczego u nas nikt wcześniej nie wpadł na ten — tak naturalny — pomysł. Dziwili się też, dlaczego jest to filia targów w Poznaniu, a nie samodzielna impreza handlu zagranicznego? Ano, dlatego, że u nas monopole są bardzo silne i do tej pory nie udało się złamać targowego monopolu Poznania. Cokolwiek by się jednak mówiło — targi dla Łodzi mają ogromne miastotwórcze znaczenie. Wiąże się to z rozwojem sieci gastronomicznej, musi być więcej hoteli, lokali rozrywkowych.

— Ale mieszkań od tego nie przybędzie, bo to, co miasto zarobi na handlu zagranicznym, to w mieście nie zostanie, tylko odpłynie do stolicy.

— A tu nie ma żadnej koncepcji.

— Nie tylko w tej jednej dziedzinie. Z budownictwem mieszkań wiąże się problem ich ogrzania. W tej dziedzinie też nie ma żadnej koncepcji. Propozycja, aby na przykład dla Łodzi ciągnąć ciepło z... Bełchatowa jest nieporozumieniem. W końcu to jest źródło ciepła, które wygaśnie za 25 lat. Cóż to zatem za koncepcja?

— Jakie jest wyjście? Rozbudowa elektrociepłowni?

— Tak. Za trzy lata potrzeba będzie znacznie więcej ciepła. Narodził się więc pomysł rozbudowy EC IV i połączenia ich wszystkich. Ale to i tak nie pokryje zapotrzebowania. Trzeba budować EC V.

— Jest to zatem złe rozwiązanie.

— Jest ono dopasowane do możliwości. Ale trzeba je uzupełnić o program oszczędzania ciepła w domach i przemyśle. Jest to możliwe. Tak postępuje się w krajach bogatszych od nas. Analizy wykazują, że oszczędzanie ciepła bardziej się opłaca od budowy nowych jego źródeł. U nas się o tym mówi, ale nic się nie robi. Trzeba zacząć oszczędzać ciepło choćby już w nowo budowanych domach. To jest nie tylko możliwe, to jest konieczne.

— Potrzeb nam nie brakuje. Woda też się niedługo może skończyć.

— Tak. Potrzebna jest druga nitka z Pilicy. Ale tego znów własnymi pieniędzmi nie sfinansujemy, potrzebne dotacje z Warszawy. A tych nie ma.

Ale w tej dziedzinie obraz jest bardziej optymistyczny. Myśli się bowiem o wykorzystaniu wody ze studni głębinowych. Nie jest to program alternatywny, ale uzupełniający. Przez budowę zbiorników wodnych w Jeziorsku i w Sulejowie stworzono już potencjał wodny, który stwarza możliwość czerpania z niego przez najbliższe 150—200 lat. To już jest coś. Potrzeba oczywiście rurociągów, ale to inne zagadnienie. Łódź powinna dzięki tym trzem możliwościom: Sulejów, Jeziorsko i studnie głębinowe mieć taki system, który w razie awarii czy zatrucia jednego ze źródeł ma nieprzerwany dopływ wody.

— W swoim rozumowaniu prezentuje pan racjonalny, konstruktywny — jak się to zwykło zwać — system działania. Jeśli coś pan krytykuje, to podsuwa sposoby wyjścia ze złej sytuacji. Ale to wszystko teoria, bo przecież w praktyce nie udaje się jakoś tych problemów rozwiązać. Czy pana to nie drażni, nie denerwuje, czy — wreszcie — nie załamuje?

— Zacznę może od tego, że zostałem tak wychowany, że zaniechanie jakiegokolwiek możliwego działania uznawane było za grzech. Grzech zaniedbania. Całe życie jestem bezpartyjny, ale nie bezczynny. Byłem żołnierzem AK w świętokrzyskim zgrupowaniu „Ponurego", byłem żołnierzem 2 Dywizji Piechoty AK, 2 Pułku Piechoty Ziemi Sandomierskiej. Jako jeden z najmłodszych otrzymałem Krzyż Walecznych. Potem musiałem przez 2 lata ukrywać się, a przez rok siedziałem w więzieniu. Nie odpowiada mi postawa kibica czy recenzenta. Zawsze szukam dla siebie obszaru dla działania. Myślę, że można o mnie powiedzieć, że jestem jednocześnie wielkim romantykiem i wielkim realistą. Romantyzm nakazuje mi tworzyć wizje, a realizm z uporem je realizować. Zatem nie ma między tymi cechami sprzeczności. One się wzajemnie uzupełniają. Przy tym realizm wyrabia we mnie przekonanie, że jeśli coś się raz nie uda, a jest słuszne, to trzeba próbować dalej. Walczyć, a nie ustępować.

— Czy takie myślenie i taka postawa skłoniły pana do zajęcia się problemami gospodarki?

— Nie da się odizolować gospodarki od polityki i odwrotnie, ale racje polityczne nie mogą przeważać nad racjami gospodarczymi. Już sporo zrobiliśmy, aby wyzwolić gospodarkę z nacisku nadmiernych racji politycznych. Są jednak obawy, że mogą znów zwyciężyć racje polityczne, które wezmą prymat nad gospodarką. To jest poważne niebezpieczeństwo. Uznaję zasadność wszelkich reform politycznych, ich potrzebę i cieszę się z nich. Jednak przyszłość Polski widzę w rozwiązaniu spraw gospodarczych, w doprowadzeniu do tego, aby gospodarka rządziła się własnymi prawami, a nie rządziły nią racje polityczne.

Nie chciałbym, aby to zabrzmiało patetycznie, ale mnie chodzi o Polskę. Mamy tworzyć wspólny dom europejski. Z czym Polska wejdzie do tego domu? I jako kto? Uboga krewna, przez wszystkich pogardzana? Nie wolno do tego dopuścić. I każdy powinien wnieść swoją cząstkę, aby tak się nie stało.

— Co więc zrobić, aby tak się nie stało?

— Jestem specjalistą od spraw polityki gospodarczej, ekonomiki inwestycji, od spraw budownictwa. Są to obszary działalności gospodarczej niezwykle istotne dla przyszłości kraju. I mamy w tych dziedzinach sporo dobrych doświadczeń. Ale i złych. Zniszczyliśmy politykę gospodarczą przez wadliwe stosowanie instrumentów gospodarczych. Jeśli na przykład decydujemy się na wprowadzenie samodzielności gospodarczej przedsiębiorstw, to nie może to prowadzić do wolnej amerykanki na rynku, to nie może prowadzić do tego, że już nie liczy się interes społeczny, interes kraju. Trzeba różnymi instrumentami posługiwać się sprawnie i we właściwy sposób. Takim instrumentem jest na przykład polityka podatkowa. Przy pomocy takiego instrumentu można wpływać na przedsiębiorstwa w sposób korzystny, sprzyjający ich rozwojowi i można przeciwnie — działać na nie hamująco. Do tego dopuścić nie można.

— Czego pan się przede wszystkim obawia?

— Rosnącej inflacji. Wtedy bowiem kończy się gospodarka, a zaczyna się żywioł, który może wszystko zniszczyć. Trzeba zatem chronić gospodarkę przeciwdziałać inflacji, stosować właściwe instrumenty, aby korzystnie, choć pośrednio wpływać na rynek.

— Poznając pana racje rozumiem już, dlaczego zdecydował się pan walczyć o mandat posła do Sejmu PRL. Czy sądzi pan, że uda się nam jeszcze dożyć normalnych czasów?

— Wierzę w to. Wierzę, że mimo wszystko chęć do życia w normalnych warunkach okaże się silniejsza niż frustracja i zniechęcenie. Adolf Nowaczyński powiedział kiedyś, że należy strzec się ludzi o mózgach jak zaciśnięta pięść. Wierzę, że nie tacy ludzie będą decydować o naszej przyszłości. W historii naszej już nie raz tak było, że w stanach krańcowego zagrożenia budziła się zdolność do poświęceń. A to w naszym przypadku oznaczać będzie wyzwolenie energii społecznej, tak bardzo dziś potrzebnej. Stworzona została szansa, że o normalność, o którą pani pyta, wreszcie będziemy mogli zacząć się starać. Z tej szansy nie możemy nie skorzystać. I dlatego podjąłem decyzję, żeby kandydować do Sejmu.

— Szczerze życzę panu zwycięstwa w wyborach!

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Czy chłopi interesują się wielką polityką, czy tylko sprawami własnego gospodarstwa?

Demokracja pod gruszą

RYSZARD BINKOWSKI

Trzynastego maja po południu w **Lutomiersku** było sennie, zielono, jak to na pograniczu. Co jakiś czas z woj. łódzkiego wjeżdżał na teren Sieradzkiego czerwony autobus z napisem „Z" i słychać było głosy solistów opuszczających gospodę. A w oflagowanym Gminnym Ośrodku Kultury próbowano nagłośnienia, aby dobrze było słychać, co mówi „Solidarność". Posterunek MO wyglądał jak wymarły.

Nauczyciel Stanisław Nowacki, którego po 13 grudnia 1981 roku internowano, przeszedł na emeryturę, zajął się malowaniem. Jego obrazy są w cenie, a emeryt cały wolny czas poświęca odradzającej się „Solidarności", toteż i tego popołudnia w Lutomiersku go nie było. Wobec tego i wasz reporter pojechał do odległego Szydłowa.

W sali OSP w **Szydłowie** siedziało kilkadziesiąt osób. Na stole prezydialnym stała duża plansza z napisem Komitet Obywatelski „Solidarność" woj. sieradzkiego. A za stołem siedział Stanisław Nowacki, delegat Komitetu na gminy Lutomiersk i Wodzierady, w towarzystwie kandydatów „Solidarności" do Sejmu i Senatu, z wyjątkiem Henryka Michalaka i prof. Tadeusza Zielińskiego z Krakowa, którzy byli nieobecni. Poza tym w spotkaniu uczestniczył brzuchaty i wąsaty szef gminnej „Solidarności Wiejskiej". Jan Kacprzak, rolnik na 28 ..a, oraz doradca sieradzkiej „Solidarności", prawnik Andrzej Ruszkowski.

Kandydat na posła, Stanisław Cieśla, jest elegancki, ciemnowłosy. Pochodzenie chłopskie, wykształcenie wyższe prawnicze, kurator Sądu Rejonowego w Sieradzu, zgłoszony przez KJK w Zduńskiej Woli. W latach 1980—81 doradca „Solidarności" ziemi sieradzkiej.

Drugi z kandydatów do Sejmu Stanisław Strózik jest także elegancki, trochę łysawy i bardzo elokwentny, cytujący wieszczów i uczonych, w tym po łacinie, chociaż jest zwykłym rolnikiem z Molerska, ale za to z wyższym wykształceniem rolniczym. Po 13 grudnia internowany za działalność w NSZZ RJ „Solidarności". Wdowiec, ojciec pięciorga dzieci.

Z kolei kandydat do Senatu, Andrzej Tomaszewicz, jest mężczyzną przysadzistym, w dwurzędowej marynarce i mocno brodaty. Historyk, były nauczyciel LO w Sieradzu, obecnie pracownik Muzeum Okręgowego w Sieradzu gdyż pozbawiono go prawa wykonywania zawodu nauczycielskiego. Najpierw niemal na rok internowany w Łowiczu i Kwidzynie, potem zaś aresztowany i skazany na rok w zawieszeniu na trzy lata.

Czemu w Szydłowie niepełna sala? Bo spotkanie miało się odbyć o godz. 14.00 ale na kilku afiszach komuś się pomyliło i nie wiadomo czemu wyszło że początek o godz. 9.00 Poza tym w „Dzienniku Łódzkim" na liście kandydatów pominięto nazwisko Strózika, Cieślę zaś umieszczono pod innym numerem mandatu. Podobno błąd popełnił dziennikarz terenowy, ale oni nie są tego pewni. Mają wątpliwości, czy nie była to celowa dezinformacja.

Siwowłosy mężczyzna w okularach, rolnik Sokołowski, mówi, że w Polsce nie jest jeszcze tak źle, bośmy się w ostatnich latach dorobili burżuazji, po czym dodaje, że w 1939 roku szedł na wschód, ale w porę się cofnął, bo mógłby źle skończyć. W zamian wywieziono go do Niemiec, gdzie strasznie ucierpiał. W Polsce powiedziano mu, że odszkodowanie może otrzymać w RFN, a z RFN odpowiedziano, że te odszkodowania wziął już rząd polski, więc komu wierzyć?

Jan Kacprzyk stwierdza ze złością, że nadal nie ma równości sektorów. Jak rozpadły się kółka rolnicze i „Solidarność Wiejska", zaczęto tworzyć zespoły, a on jako indywidualny musi czekać na kombajn 10 lat. Na siłę utworzono i podtrzymywano za ciężkie miliony spółdzielnię w Zofiówce i dobrze, że część jej zdewastowanej ziemi wykupili chłopi.

Niewielkiego wzrostu człowiek o nazwisku Wiaderek oświadcza, że dla niego może rządzić w Polsce kto chce, byle było dobrze. I pyta, czy „Solidarności" chodzi o zmianę czy ulepszanie ustroju?

Andrzej Tomaszewicz odpowiada, że chodzi o całkowite odejście od skompromitowanego systemu stalinowskiego.

Chłopi wyrażają troskę o naszą gospodarkę, o zaciągnięte długi i czy „Solidarność" z tym wszystkim sobie poradzi. Kandydaci wyjaśniają, że nieobecni nie mają racji. Gdyby „Solidarność" uzyskała 30 proc. w Sejmie i 90 proc. w Senacie, to nie będzie dążyć do przejęcia władzy ale musi wydzierać to, co społeczeństwu zostało zabrane. „Solidarność" nie zaciągała długów, ale musi w jakimś stopniu ponosić za nie odpowiedzialność, bo nikt nam nie sprawi prezentów. Można jedynie liczyć na szczególne potraktowanie, np. poprzez prolongatę zadłużenia przez USA.

Chłop potrafi liczyć, toteż pyta, czy płacić I i II ratę zawyżonego podatku. Stanisław Strózik stwierdza, że komitety protestacyjne muszą powiadomić naczelnika, że trwają przy akcji protestacyjnej, a wówczas mogą spokojnie odkładać ponaglenia podatkowe i nie grożą im żadne sankcje. I tak trzymać, dopóki „Solidarność" nie dogada się w tej sprawie z rządem. A jak chodzi o spłatę zadłużenia, to ten ciężar trzeba rozłożyć równomiernie, nie głównie na chłopów, którzy za wszystko drogo płacą, a tanio sprzedają państwu.

Jedziemy do Lutomiersk a. Jan Kacprzak mówi, że chłop był przez tyle lat poniżony, okłamywany, zobojętniał do tego stopnia, że nie zależy mu, czy go będzie oszukiwała jakaś partia czy „Solidarność" Stanisław Nowacki jest lepszej myśli, wylicza nawet procentowo, kto najmie miejsce na sali.

Rozmowa przed kolejnym spotkaniem z wyborcami odbywa się u rzemieślnika z branży dziewiarskiej, Hipolita Mojsy, który jest podobny do Jerzego Kosińskiego. Pan Hipolit Mojsa został niedawno okradziony na 60 milionów, o czym donosił tygodnik „Nad Wartą". Ma młodą żonę i jest sponsorem „Solidarności". Przez wiele lat szykanowany, doczekał się tego, że nawiedza go naczelnik Ryszard Domagalski i prosi o wspomożenie. Bo młodzież gminy Lutomiersk walczy na sportowo o puchary ufundowane przez naczelnika i I sekretarza.

Zaczyna kropić deszcz. Przed budynkiem GOK w **Lutomiersku** umundurowani strażacy z orderami. Przez głośniki płyną słowa pieśni i wierszy patriotycznych, co usiłuje przekrzyczeć jakiś zawiany młodzian. Na scenie biało-czerwone goździki i bzy w glinianych dzbanach, wyżej ważne daty historyczne. Do ekipy kandydatów dołącza p. Górski, demokratycznie wybrany sołtys Lutomierska. Na sali część miejsc nie zajętych. Rację miał Jan Kacprzak.

Spotkanie prowadzi Andrzej Ruszkowski. Andrzej Tomaszewicz mówi, że trzeba zmieniać system, który się przeżył. Należy dokonać zmian w Konstytucji. Chodzi o przewodnią rolę PZPR, sprawę dwustronnych stosunków z ZSRR, z którym należy żyć w przyjaźni, ale na zasadach partnerstwa, zagwarantować nienaruszalność własności prywatnej i odpolitycznić samorząd terytorialny. Zmianie musi ulec funkcjonowanie cenzury i środków masowego przekazu.

Stanisław Cieśla oświadcza, że władza ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza muszą być od siebie niezależne, a policja i armia — apolityczne, ponadpartyjne. „Solidarność" domaga się reformy sądownictwa i więziennictwa, zniesienia kary śmierci i nomenklatury. Polska albo będzie trzeźwa, albo jej nie będzie.

Stanisław Cieśla wskazywał na brak mieszkań, na zniesienie ekonomicznego przymusu pracy matek, bo np. miasto Łódź ma przyrost naturalny poniżej zera, gdyż kobiety ciężko harują. A skoro płacimy podatki na złe szkoły państwowe, to może lepiej płacić za dobre szkoły prywatne, prowadzone m.in. przez zakony.

Stanisław Strózik stwierdził, że zarzucił okresowo pracę we własnym gospodarstwie, aby móc poświęcić się działalności społecznej. Rolnik staje przed pytaniem „być albo nie być", w handlu zagranicznym zeszliśmy na psy, a przecież ziemia nasza jest zasobna, gdyby trzeba, to wyżywi dodatkowo 20 mln ludzi, trzeba ją jednak dobrze zagospodarować, docenić każde gospodarstwo, duże czy małe, zmienić ustawę o spółdzielczości i funduszu emerytalnym.

Były duże brawa, ale do dyskusji nikt się nie kwapił, więc Stanisław Nowacki się zdenerwował i wygłosił kilka słów gorzkich. Spodziewał się pełnej sali, ludzi stojących na korytarzu, a wygląda na to, że ludzie się boją, jakby czołgi wjeżdżały do Lutomierska...

W tym momencie wdarł się przez drzwi jakiś zawiany i wrzasnął: — Dobrze mówi! Niech żyje!" — Później próbowali się wdzierać inni pijani, ale strażacy elegancko wyrzucali ich na ulicę.

Stanisław Nowacki kontynuował z zimną krwią, że obojętnością wyborów się nie wygra. Można leżeć pod gruszą, na piwko i margarynę wystarczy, ale gdy „Solidarność" wygra, znajdą się sami kombatanci.

Ponieważ dyskutantów nadal nie było, Andrzej Ruszkowski poinformował, jak należy głosować. Wtedy jeden z chłopów zapytał, czy płacić podatek czy nie. Nie płacić!

A co z kulturą na wsi? Bo jeśli w domu kultury mieści się biblioteka, poczta, ZBoWiD, SKR, to z czego ma korzystać młodzież?

Stanisławowi Cieśli zarzucono, że martwi się o kobiety w mieście, a tym na wsi żyje się ciężej. Posypała się cała litania pobożnych życzeń pod adresem „Solidarności". Że gdy rolnictwo upada, rosną ceny maszyn rolniczych, a kredyty oprocentowuje się do 50 proc. Że wysokie ceny artykułów przemysłowych to nie tylko przerośnięta administracja, pasożytujące w zakładach pracy organizacje, ale i różne narzuty. Czemu wywozi się nasze produkty za granicę, a potem przywozi pod płaszczykiem importu, i to po odpowiednio wysokiej cenie? Dlaczego w Lutomiersku nie można kupić beczki, cementu, węgla? Czy sfrustrowane społeczeństwo będzie wreszcie rzetelnie informowane o posunięciach rządu i kto zagospodaruje tysiące leżących odłogiem hektarów ziemi. Kandydaci dwoili się i troili, aby wyjaśnić, że „Solidarność" ma program dotyczący tych problemów i czeka na możliwość wprowadzenia go w życie.

Następnie ktoś zapytał, co z tą fundacją rolniczą. Stanisław Strózik odpowiedział, że z tych 10 mln dolarów korzystają wsie, gdzie zaawansowane są społecznie budowane wodociągi. Papież oferował fundację rolniczą w wysokości 2 miliardów dolarów, które mogły wzrosnąć do 5 miliardów, lecz rząd to odrzucił, obawiając się katolicyzacji wsi. Natomiast ksiądz Edward, administrator kościoła Salezjanów w Lutomiersku, dodał, że z tej pierwszej fundacji skorzystała salezjańska szkoła zawodowa, zakupując nowoczesne maszyny rolnicze i kształci fachowców do ich naprawy i obsługi.

Wreszcie pewien strażak zapytał, kiedy z krajobrazu zniknie ta rzeka, jakiej nie ma na świecie, czyli łódzki kanał ściekowy, zwany Nerem lub lutomierskim Nilem, bo na razie to ginie nad nią krajobraz. „Solidarność", podobnie jak rząd, ekologię stawia na miejscu priorytetowym.

Było więc i pewne zainteresowanie, chociaż głównie problemami własnego podwórka. A jak chodzi o zobojętnienie, to przez lata ludzie przywykli do uciążliwości i przestali się już upominać o przyłączenie Lutomierska do Łodzi. Zapomnieli, czego domagali się tak usilnie w roku 1980.

Foto: Grzegorz Galasiński

POLSKA MAJ 1989

W Klubie Dziennikarza w Łodzi.

Smutnych spotkań czar...

Dziennikarzy za wielu do Klubu nie przyszło. Niestety. Pewnie mieli na głowie inne sprawy nadzwyczajnej wagi. Mogą tylko żałować, bo „prezydium" za stołem odmeldowało się w komplecie. Prezydium w nietypowym dość składzie, bowiem zasiedli obok siebie kandydaci na posłów z różnych okręgów wyborczych, kandydaci „bez szans", „z ludu", czyli ci nie popierani przez nikogo. No, to może lekka przesada, powiedzmy raczej — nie popierani przez organizacje polityczne, co w dotychczasowej naszej praktyce wyborczej faktycznie oznaczało kompletne fiasko i raczej brak realnego spojrzenia kandydata na rzeczywistość. Ale już nie oznacza, co dla wielu wciąż jeszcze jest trudne do ogarnięcia...

Spotkanie prowadził wiecznie młody radiowiec **Józek Wojcieszczyk**, a za zielonym stołem zasiedli: docenci **Andrzej Lisiecki** i **Zdzisław Prochowski**, profesor **Władysław Welfe**, doktor **Zbigniew Węgrzyn**, komendant (hufca) **Grzegorz Wiśniewski**, inżynier **Andrzej Pakulski**, prezes doktor **Janusz Baranowski**. Było miło, wręcz rodzinnie (zasługa Józka Wojcieszczyka ..), podano słone paluszki, kawę, napoje chłodzące. Fundowali dziennikarze, to znaczy precyzyjniej — SD PRL.

Najpierw, za poradą prowadzącego spotkanie, panowie przećwiczyli stały fragment gry, czyli — jak to ładnie określają koledzy po piórze — zaprezentowali swoje sylwetki i programy. Sylwetki — podobne (tylko komendant hufca był w mundurze...), życiorysy mniej, programy — konstruktywne bardzo. Tak przynajmniej wynikało z przydługich momentami kandydackich monologów.

Szmer zainteresowania wywołała niekonwencjonalna wypowiedź docenta informatyka z Instytutu Techniki Cieplnej, który wyraźnie stwierdził, iż nie jest abstynentem i bardzo liczy na głosy kobiet, które „piją rozsądniej od mężczyzn"... Doktor prezes z „Westy" nie chwalił się, iż będzie budował motele obok kąpieliska „Fala", przyznał natomiast, iż jest za swobodą w podejmowaniu działalności gospodarczej, ale nie za cenę sprzedaży nas i naszej siły roboczej. Ani za dolary, ani za ruble — dodał jeszcze. Najmłodszy w tym doborowym towarzystwie — 34-letni inżynier włókiennik, rzutki i przedsiębiorczy (miał na sali jako jedyny swojego człowieka, który rozdawał ulotki ze zdjęciem kandydata), nie chciał w telegraficznym skrócie wymieniać wszystkich interesujących go spraw, bo — jak sprytnie zauważył — znów się radiowcom taśma skończy...

Następnie rozpoczęła się druga odsłona spektaklu, nazwana przez prowadzącego — etapem zadawania pytań. I tu dziennikarska brać nietęgo wypadła. Pytania, godne miana nudnych wykładów, przytłoczyła co prawda wypowiedź dziewczyny od „telewizorów", która chciała koniecznie wiedzieć jak panowie w prezydium oceniają telewizyjny przekaz przedwyborczych zmagań. Zmartwiła się, gdy wyrazili pogląd, iż gorzej niż w radio.

Niżej podpisany usiłował nakłonić panów za stołem do ujawnienia, jakimi to niekowencjonalnymi metodami zdobywają głosy swych wyborców, ale znów zaczęły się wykłady. O jednym **Andrzeju Pakulskim** dowiedziałem się, że odwiedza różne zakłady pracy, faktycznie agituje w widzewskiej dzielnicy gdzie może. A robi to tak sugestywnie, że bodajże w „Ariadnie" zafascynowane zapewne jego osobowością kobiety od razu chciały coś sobie poskreślać na wręczonych im ulotkach...

„Kultura przede wszystkim" — tak Andrzej Mleczko podpisał kiedyś swój rysunek, na którym ścigani przez wilki jeźdźcy wymieniają uprzejmości... I dziś też docent **Zdzisław Prochowski** pochwalił się, że profesor **Cezary Józefiak** bardzo dobrze się o nim wyraża, ale i on nie pozostaje mu dłużny... Nie miał kto wymieniać duserów z doktorem prezesem **Januszem Baranowskim**, który przyznał, że choć się reklamuje na spotkaniach i festynach — nie ma jeszcze nawet wydrukowanych plakatów i ulotek. Pewnie też dlatego prosi przy każdym spotkaniu — co i w Klubie uczynił — wszystkich katolików, by na niego i jego program głosowali. A za powodzenie kampanii pozwolił sobie pan prezes dać na mszę...

I to byłoby na tyle. Kable zwinięto, lampy wyłączono, miałem wrażenie, że znów ktoś „odbębnił" jakąś pańszczyznę. Może kogoś skrzywdzę — przepraszam — ale chyba obie strony.

A najwięcej szans daję Andrzejowi Pakulskiemu...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

RAFAŁ ORLEWSKI

Zapis w deszczu

Zapisać by cię w deszczu
Kiściem wierzby płaczącej
Gdyś nie była jeszcze
A we mnie rósł
Wschód słońca

Zapisać nutą zieloną
W niemodnej zadumie
Że w oczach płacz utoną
A wierzba
Płakać nie umie

Zapisać w obcych spojrzeniach
Gdy mnie dotknęłaś przypadkiem
Nie wiedząc
Czyja to ziemia
Na której pęd nasz zakwitł

A może deszczem ponętną
Wpisać w gwiazd pamięć
Odszukać ciała tętno
Jak tylko padać
Przestanie

Półka z książkami

KOCHANEK

W 1984 r. książka **Marguerite Duras** otrzymała Nagrodę Goncourtów. To najlepsza rekomendacja na światowym rynku czytelniczym. Od razu też została przełożona na liczne języki, a teraz ukazała się w Polsce. **„Kochanek"** jest opowieścią starej kobiety o jej wielkiej młodzieńczej miłości. Rzecz dzieje się w Indochinach, narratorka ma 15 lat i przeżywa gwałtowny romans z bogatym Chińczykiem. A więc egzotyka, zderzenie dwóch różnych kultur, dwóch klas społecznych, dwóch filozofii determinujących życie bohaterów.

Przekład **Lody Kałuskiej.**

Marguerite Duras: „Kochanek". WL 1989. Str. 88. Cena 450 zł.

ŻYDOPTAK

Tym którzy lubią krótkie formy prozatorskie, ta książka sprawi niespodziankę. Mówię o „Żydoptaku" zbiorze opowiadań o tematyce żydowskiej **Bernarda Malamuda**, amerykańskiego pisarza, jednego z mistrzów krótkiej prozy. W 18 opowiadaniach Malamud namalował ostry obraz życia Żydów w USA używając do tego kolorów zdecydowanych, rysując sylwetki wyraziście, ale z sympatią i pełną nostalgią. Znakomita to lektura. Polecam.

Przekład zbiorowy.

Bernard Malamud: Żydoptak. WL 1988. Str. 288. Cena 680 zł.

NOC POŚLUBNA

Wybór opowiadań z bogatego dorobku węgierskiego pisarza **Dezsö Kosztolanyi'ego** dostarcza sporo satysfakcji czytelnikowi przede wszystkim ze względu na bogactwo nurtu psychologicznego nawet jeśli treść opisywanych zdarzeń jest banalna lub błaha. Jest jeszcze coś ponadto, co tę prozę ubarwia: to delikatny humor, przewrotny dowcip i kapitalne pointy.

Zachęcam czytelników do lektury opowiadań Kosztolanyi'ego, bowiem jest to proza piękna i mądra.

Przekład **Magdaleny Schweinitz-Kulisiewicz i Tomasza Kulisiewicza.**

Dezsö Kosztolanyi: „Noc poślubna". WL 1989. Str. 332. Cena 790 zł.

Oprac. E.IW.

Nie tylko sztuka gadania

Gościliśmy niedawno francuski THEATR de l'ALAUDA. Przyjechał na zaproszenie teatru studenckiego **„PSTRĄG".** Zainteresowała mnie sytuacja teatru francuskiego w porównaniu z tym, co mówi się na temat zmian i przewartościowań w teatrze polskim.

Na podstawie obejrzanych przedstawień i rozmowy z szefem teatru **Jean-Louis Roqueplanem** można wnosić że teatr francuski z pewnością nie przeżywa kryzysu w takim pojęciu jak dzieje się to u nas choć jego sytuacja jest również niełatwa. Boryka się też z licznymi problemami, nieustannie zabiegając o widza i... pieniądze.

Podobnie jak u nas teatr we Francji nie może się sam utrzymać. Sceny w całości subwencjonowane przez państwo to w pierwszym rzędzie teatr „Komedii Francuskiej" i te, które wypracowały sobie ustaloną pozycję i renomę. Pozostałe muszą same zabiegać o swój byt.

THEATR de l'ALAUDA jest dość znanym we Francji. To teatr profesjonalny zaliczany do grup regionalnych częściowo tylko opłacany przez Ministerstwo Kultury. Działa przy pomocy Komitetu Rozwoju miasta le PUY i Rady Pomocy Regionalnej Owernii. Na stałe reprezentowany jest przez czterech aktorów — dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Pozostali angażowani są do konkretnych przedstawień — w zależności od potrzeb; więc gdy nie grają w tym teatrze, poszukują pracy w innych.

Jean Louis Roqueplan ukończył paryską szkołę teatralną **Jacquesa Lecoqa.** Od pięciu lat kieruje swoją trupą. Zanim ją założył i związał się z regionem z którego pochodzi pracował w Paryżu i wszędzie, gdzie można było. Angażowany był na sezon bądź do jednego przedstawienia — jak większość francuskich aktorów. O pracy na etacie niewielu może tylko marzyć.

Charakterystyczne jest również to, że aktorzy zaangażowani do określonego spektaklu wykonują większość prac związanych z jego wystawieniem. Nikogo tu zatem nie dziwi widok aktorów ustawiających dekoracje, przykręcających śruby, komponujących poszczególne elementy i w międzyczasie próbujących grać, ćwiczyć muzykę. Zaangażowanie aktora ma o wiele szerszy zasięg niż to się u nas przyjęło.

Ariane Mnouchkine, która stworzyła w Paryżu znakomity „le Théatr du Soleil" powiedziała że ich aktorzy obok swojego zawodu muszą znać się na innych potrzebnych w teatrze zawodach: elektryka, krawca, cieśli, murarza. Wyznają zasadę łączenia pracy manualnej z intelektualną. Poprzez lata poszukiwań wytężonej pracy, dzięki talentom i kompletnemu zaangażowaniu wypracowali swój styl, wysoki poziom artystyczny, stworzyli nowe idee w sztuce, i teraz mogą liczyć na widza i sukcesy. Natomiast trupy teatralne o nieco niższych lotach muszą same poszukiwać widza i z reguły są teatrami wędrownymi. Sami w macierzystym miejscu dają kilka przedstawień w roku. A poza tym wędrują od miasta do miasta po całym regionie, wyjeżdżają do innych miast Europy czy poza jej granice. Jeżeli trzeba — przeobrażają się w teatr uliczny, grają w konwencji commedii dell'arte. Starają się maksymalnie zbliżyć do widza. Są też animatorami większych imprez kulturalnych. Na przykład THEATR de l'ALAUDA uczestniczy we wrześniowym festiwalu sztuk renesansowych w le PUY. W tym czasie miasto i region przenosi się w epokę renesansu. Na ulicy w bankach, w sklepach ludzie ubrani są w stroje renesansowe spożywają potrawy w stylu epoki nawet jeżdżą konno. A teatry z Francji Włoch, Hiszpanii Anglii starają się przybliżyć obrazy z życia ludzi tamtych czasów. Znakomitą naturalną scenerię stanowią szesnastowieczne mury malowniczego miasta le PUY. Oprócz zabytkowej architektury miasto wyróżnia się dwoma wulkanicznymi głazami — na szczycie jednego zbudowano kościół, na drugim góruje gigantyczna statua Matki Boskiej.

Do Łodzi THEATR de l'ALAUDA przywiózł właśnie dwie sztuki pisarzy renesansowych. **„Miłość i głód"** — historię żartobliwą według **Ruzzante'a** i przygody **„Picrocholе'a i Coquecigruesa"** na podstawie znanej powieści **Franciszka Rabelais.** W tych przedstawieniach jeden aktor gra dwie, trzy postaci. Dokonuje trudnej sztuki przeistaczania się z jednej postaci w drugą. Często kreuje diametralnie różne osobowości. Do tego potrzebna jest niezwykła koncentracja, dyspozycyjność i gotowość przeobrażania się z postaci nieszczęśliwej w szczęśliwą, z obiboka i biedaka w tancerza i wesołka. Zmiana zewnętrzna i wewnętrzna w jednym przedstawieniu wymaga od aktora daru improwizacji. J. L. Roqueplan mówi że tę trudną umiejętność wyniósł ze szkoły Jacquesa Lecoqa. W sztuce Rabelais mężczyźni grają też role kobiece, jak w antycznym teatrze greckim. Dla rozweselenia widza stosują przeróżne triki gagi sztuki i sztuczki, bo widz musi wyjść zadowolony.

Gaby Cherwalier jest aktorem, rysownikiem projektuje dekoracje. J. L. Roqueplan pisze także teksty sztuk o mniejszej obsadzie. W Łodzi oglądaliśmy go w autorskim przedstawieniu zatytułowanym **„Marqua Mau"** w duecie z Herwé Marcillantem. Ukazali problem wieśniaków w górach, w terenie wyzolowanym w Owernii. Młode kobiety opuściły wieś a mężczyźni, którzy zostali uprawiają małe poletka i przeżywają swoją samotność wyznaczaną porami roku...

Już bodaj na tych przykładach widać, jak rozległymi umiejętnościami musza się wykazać aktorzy. W każdym razie nie mogą uprawiać tylko sztuki gadania.

DANUTA KONIECZNA-MALATYŃSKA

W Klubie Nauczyciela

Z Polihymnią spotykam się w różnych miejscach a więc niekiedy i w Klubie Nauczyciela przy ul. Piotrkowskiej. Rozbrzmiewa tam muzyka różnorodna. W tym roku słuchałem np. chóru ZNP w programie kolędowym, całkiem niezłej grupy **„Street Blues"**, natomiast ostatnio — recitalu sopranistki z Katowic, **Miry Mosler.**

Klubowe wieczory operowe zainicjował **Waldemar Pawłowski** — ostatni uczeń w klasie śpiewu **Ady Sari** w Warszawie obecnie popularyzator sztuki wokalnej. Cotygodniowe imprezy odbywały się początkowo pod egidą Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Włoskiej, teraz firmuje je Towarzystwo Przyjaciół Teatru Wielkiego. Realizowane są równolegle 4 cykle: spotkania z ludźmi sztuki w formie „wywiadów na żywo", recitale znanych artystów wspomagających fundusz Ady Sari (ten fundusz i konkurs to także inicjatywy W. Pawłowskiego) demonstracje ciekawych nagrań płytowych i programów wideo z dziedziny muzycznej oraz prezentacje młodych talentów śpiewaczych. W ramach tego ostatniego cyklu zaproszona została właśnie wspomniana wokalistka. Przyjechała wraz z akompaniatorem, **Markiem Wysockim.**

Zaplanowany niezwykle ambitnie program recitalu kazał spodziewać się wielkiej koloratury o rozległej skali i silnej ekspresji. Pierwszą część występu obejmowała m.in. dwie arie **Królowej Nocy z „Czarodziejskiego fletu" Mozarta,** cavatinę **Rozyny z „Cyrulika Sewilskiego" Rossiniego** oraz nie mniej słynne przeboje **Verdiowskie: arię Violetty z I aktu opery „Traviata"** i arię **Gildy z II aktu „Rigoletta".** Jednak już właściwie po pierwszym numerze pomyślałem, że mierzyć siły na zamiary jest wprawdzie ideą piękną, lecz w sferze artystycznej niekoniecznie przynoszącą upragnione rezultaty. Możliwości głosowe i umiejętności techniczne śpiewaczki okazały się bowiem niewystarczające, by stworzyć interesujące, a choćby nawet tylko poprawne interpretacje. Głos z zauważalnym przydźwiękiem; z wysiłkiem, nie zawsze czysto brane górne tony, niewyrównana barwa i dynamika w poszczególnych rejestrach oraz zbyt mała precyzja w koloraturach — oto główne, wcale niebłahe **„grzeszki".** Korzystniej wypadła jedynie **aria Mimi z „Cyganerii" Pucciniego** — bardziej liryczna i technicznie łatwiejsza.

W drugiej części recitalu Mira Mosler zaśpiewała kilka popularnych piosenek **Gershwina,** lecz i one nie przypadły mi za bardzo do gustu. W pewnym momencie już nawet z niejaką zazdrością zacząłem patrzeć na grupkę starszych słuchaczy, wyraźnie śpiewem ukontentowanych i zapalczywie bijących brawo. Ci przynajmniej mieli z występu frajdę.

Mnie natomiast zainteresowało jeszcze tylko dynamiczne, zagrażające wręcz sfatygowanemu pianinu wykonanie przez Marka Wysockiego opracowanych przez niego fragmentów z **„Błękitnej rapsodii"** Gershwina. Po koncercie podziwiałem zaś piękne, barwne fotogramy składające się na otwartą właśnie wystawę **„Arena di Verona — największy teatr operowy świata".** Cóż, tam dopiero są głosy...

JANUSZ JANYST

PESTKI DYNI

Niezwykły pomnik ustawiono na jednym z placów hiszpańskiego miasta Balon. Pomnik wątroby! Ten jedyny w swoim rodzaju monument ma być hołdem złożonym temu ludzkiemu organowi, który jest — jak powiedział dziennikarzom w momencie odsłonięcia burmistrz miasta, a jednocześnie lekarz — wyjątkowo narażony na wszelkiego rodzaju niszczące działania przez alkohol i tłuszcze, a mimo to nie skarży się, lecz cierpi w szlachetnej dumie.

Ludzie od niepamiętnych czasów stawiają pomniki bogom i innym ludziom. Bogom — ze strachu bądź z miłości; częściej ze strachu. Ludziom — z podziwu dla ich zasług, z szacunku dla ich dzieł, z konieczności bądź też ze strachu... Czasami pomnikami bywają przedmioty: samolot, czołg, but traperski w jakimś miasteczku, w którymś z krajów Ameryki Łacińskiej; albo zwierzęta jak konie, krowy, psy...

Są te pomniki różne: ładne, brzydkie, wspaniałe, groźne, liryczne, obrzydliwe, zrobione z humorem albo zupełnie bez polotu. Różne, bardzo różne — jak ludzkie gusta. Są nieodłącznym elementem pejzażu wielkich metropolii i małych miasteczek. Kiedy rumak historii zaczyna szczególnie gwałtownie wierzgać — jedne pomniki rozpadają się w gruzy, a powstają na ich miejsce inne; równie ładne albo równie brzydkie — bo bez pomników nie sposób się obejść. Taką ma już człowiek naturę.

Pomysł z wątrobą podoba mi się. Rzeczywiście, jest to niemiłosiernie katowany i eksploatowany organ. Ale przecież nie jedyny.

Weźmy takie oczy na przykład: — ileż one muszą się naoglądać brzydoty, szmiry, brudu, kiczu, ileż najróżniejszych paskudztw? Warto by im też wystawić pomnik. Albo uszy — ileż się nasłuchać muszą kłamstw, obmowy, fałszywych deklaracji, obłudnych zapewnień? Też warte są pomnika, jak owa wątroba. Albo ten nieszczęsny język! Ileż on różnych głupot musi nieraz wymielić, ile bezsensownych słów, pochlebstw, kłamstw, krzywdzących opinii, szkodliwych plotek...? Też wystawić by mu należało pomnik, chyba może największy z możliwych. A dłonie? Prawica i lewica? Nie zasługują na monument? Ileż nie chcianych uścisków, fałszywych gestów przyjaźni musi znieść jedna? Ileż „brudnych" pieniędzy, łapówek musiała dać i wziąć druga? A dupa? Ileż niespodziewanych, niesłusznych kopniaków naruszyło jej „godność osobistą", na iluż niewygodnych stołkach musiała ona siedzieć? Ileż razy sadzano ją na fotelach, do których zupełnie nie pasowała? Dupie też pomnik! Spiżowy. A nogi? Ileż wydeptały one urzędowych korytarzy, ile nastały się pod drzwiami gabinetów i zwykłych, urzędniczych pokoi, w kolejkach? Biedne nogi szarych ludzi! Uhonorować je pomnikiem też należy. Z marmuru!

Nie znam nazwiska artysty, który pomnik wątroby wyrzeźbił, ale można o nim mówić, że znalazł zrozumienie i przychylną „atmosferę twórczą". Nie zawsze tak bywa. W „Przekroju" znalazłem kiedyś taką notatkę: „Gary S. Rappaport, dentysta amerykański wystawił przed swym gabinetem oryginalny pomnik, przedstawiający wysoki na 1,20 m ząb trzonowy w towarzystwie trzech 3-metrowych... szczoteczek. Ten dentalny monument ze stali i betonu był wynikiem własnej siły twórczej dentysty. Urząd miasta nie uznał jednak pomnika za dzieło sztuki, a tylko za chybioną bezpłatną reklamę lekarza i polecił gigantyczny ząb usunąć".

Różne rzeczy i różne sprawy wpływają na los pomników. Jeden z największych artystów naszego wieku, rzeźbiarz Ossip Zadkine, Rosjanin z pochodzenia — urodził się w Smoleńsku, na Białorusi — a Francuz z racji miejsca, w którym mieszkał i tworzył przez większą część swego życia, czyli w Paryżu, wykonał w latach 1953—54 wielką kompozycję zatytułowaną „Człowiek z wydartym sercem". Jest to najsławniejsza bodaj jego rzeźba i reprodukuje się ją w każdej historii sztuki współczesnej. Stoi przed wejściem do portu w Rotterdamie; upamiętniać ma zniszczenie tego miasta przez Niemców. A miała stać w innym mieście... W Warszawie. I dla niej to właśnie została wykonana. Ówczesne władze uznały ją jednak za nazbyt formalistyczną i nowoczesną i daru artysty nie przyjęły...

Jest takie łacińskie przysłowie: Sapienti sat — mądremu wystarczy. A głupiemu?

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

MÓJ GŁOS W BURZLIWEJ DYSKUSJI

Rys. Sławomir Łuczyński

KALENDARZ X ŁÓDZKICH SPOTKAŃ BALETOWYCH

31.V., godz. 19.00. Tanztheater Der Komischen Oper Berlin (NRD). **1.VI., godz. 19.00. Teatr Wielki w Warszawie.** Wieczór baletowy: „NASZ NIŻYŃSKI". **2.VI., godz. 19.00. Ballet Nacional de Cuba: „Dionaea"** — H. Villa-Lobos, G. Herrera; „EN LA NOCHE" — F. Chopin, J. Robbins; „SUITE GENERIS" — J.F. Haendel, J. Haydn, A. Méndez; „DIDO ABANDONADA" — G. Angiolini, A. Alonso. **3.VI., godz. 19.00. Ballet Nacional de Cuba:** „HAMLET" — collage, I. Tenorio; „MAJISIMO" — J. Massenet, J. Garcia; „LA DIVA" — collage, A. Méndez. **4.VI., godz. 19.00. Ballet Nacional de Cuba: „EL RETO"** — P. Vangellis. H Riveros; „STEP-TEXT" — J.S. Bach, W. Forsythe; **„ELECTRA BARRIGO"** — J.M. Blanco, G. Herrera. **5.VI., godz. 19.00 Teatr Wielki im. St. Moniuszki w Poznaniu: „DOM BERNARDY ALBA"** — collage, M. Różalski; „QUASIMODO" — A. Honegger, M. Różalski. **6.VI., godz. 19.00. Teatr Wielki im. St. Moniuszki w Poznaniu** (program jak wyżej).

X Łódzkim Spotkaniom Baletowym towarzyszą wystawy: **Tomasza Sobczaka** — Art Studio — IX indywidualna wystawa malarstwa oraz **Ryszarda Kaja — Prace teatralne.**

ZADOWOLENIE Z ŻYCIA

Socjologowie Uniwersytetu Warszawskiego przeprowadzili badania, z których wynika, iż zadowolenie z życia jest tym większe, im wyższe jest tzw. uczestnictwo w kulturze, czyli stały kontakt z książką, teatrem, filmem, muzyką i plastyką. Sondaż wykazał, że polega on aż u 90 proc. ankietowanych na korzystaniu z telewizji, u 80 proc. na korzystaniu z radia, u 75 proc. — z gazet, 60 proc. — z książek i kina, 40 proc. — muzyki rozrywkowej, 30 proc. — teatru, poniżej 30 proc. — muzeów, 20 proc. — wystaw, 10 proc. — muzyki poważnej. W ostatnich 15 latach teatr stracił połowę widowni, a kino traci ją od 20 lat. To zjawisko występuje nie tylko w naszym kraju.

KSIĄŻKA DOBREM LUKSUSOWYM?

„Na jednego mieszkańca Polski przypada dzisiaj mniej niż 5 egzemplarzy książek rocznie (poza podręcznikami), przy 30—40 egzemplarzach w innych krajach, w tym socjalistycznych — pisze **Wit Jaworski w „Kulturze" nr 20.** — (Wydaje się, iż jesteśmy już za Albanią — jeżeli mielibyśmy już brać pod uwagę punkt odniesienia ulubiony przez prasę w naszych statystykach kultury). Prawdopodobnie nie czyta książek — z różnych zresztą przyczyn - około 40 proc. obywateli. Rodzina polska wydaje na kulturę i sport 2 razy mniej niż na wódkę.

W roku 1988 produkcja książek spadła w porównaniu z rokiem poprzednim o 7 procent, czyli o kilkanaście milionów egzemplarzy. Cena książki wzrosła w ostatnim kwartale 1988 roku o 200 procent, a w tym roku przewidywane są dalsze podwyżki. W tym też roku do dyspozycji ministra kultury i sztuki na cele wydawnicze przeznaczono o 15 tysięcy ton papieru mniej — co będzie przyczyną spadku produkcji książek o 16 procent. Polska jest zarazem znaczącym eksporterem papieru i celulozy.

Konsekwentnie, od kilku lat wykreślamy więc to, co zgodnie było uznawane za zdobycz, osiągnięcie polityki kulturalnej socjalistycznego państwa: dostęp do dóbr kultury..."

W innym miejscu na łamach „Kultury" czytamy: „Maluczko a doczekamy czasów, kiedy książka stanie się dobrem luksusowym. Nie będzie to zjawisko nieznane w historii Europy, wszak posiadanie inkunabułów było już kiedyś poważną miarą bogactwa i prestiżu..."

MIŁOŚĆ DO CESARZA

Okazuje się, że „miłość" polskich czytelników do „Ostatniego cesarza Chin" rośnie z każdym miesiącem. Ledwo rozszedł się ubiegłoroczny bestseller Wydawnictwa Łódzkiego o cesarzu Pu Yi, a już na rok bieżący Wydawnictwo „Iskry" zapowiada wydanie tej samej książki w nakładzie 100 tys. egzemplarzy, tyle że pod innym tytułem („Obywatel cesarz") i w innym tłumaczeniu...

Ten przykład zdaje się potwierdzać, że nie uwolniliśmy się od skłonności do przesady. Także w miłości. Albo... rozsądku. Choć

X ŁÓDZKIE SPOTKANIA BALETOWE

Wskrzeszenie legendy

Uroczystą uwerturą do jubileuszowych **X Łódzkich Spotkań Baletowych** była premiera widowiska zatytułowanego „Nižyński in memoriam", przygotowanego przez gospodarzy festiwalu – tancerzy łódzkiego **Baletu Teatru Wielkiego**. Ów wstęp do czekających nas innych tanecznych spektakli łącznie z międzynarodowymi gościnnymi występami był niewątpliwie atrakcją samą w sobie a idea sugerowana przez tytuł baletowego wieczoru zrealizowana została konsekwentnie.

Bo oto zestawiono w programie trzy układy, trzy dzieła choreograficzne, przy rodzeniu których pierwszoplanową rolę miał **Wacław Niżyński** – Polak z pochodzenia Rosjanin z wykształcenia, a obywatel Paryża z artystycznego działania. Związany europejską karierą ze słynnymi „Baletami rosyjskimi" Diagilewa, za swój niezwykły kunszt wykonawczy okrzyknięty „bogiem tańca" do dziś jest legendą eksplodującego nowatorstwem europejskiego baletu początków XX wieku. Niżyński w swojej – krótkiej niestety – lecz błyskotliwej karierze przerwanej postępującą chorobą umysłową święcił triumfy w paryskiej awangardzie pierwszych dziesiątków lat naszego wieku najpierw w układach baletowych rysowanych wyobraźnią wielkiego choreografa rodem z Petersburga – **Michaiła Fokina**, aby później samemu zainteresować się tworzeniem ruchowej wizji muzyki. W Fokinowskiej prapremierze baletowej do suity **Rimskiego-Korsakowa „Szeherezada"** Niżyński oklaskiwany był jako Maur. Do urzekającej muzyki **„Popołudnia Fauna" Debussy'ego** sam skonstruował gorszący ówczesnych baletowy obraz a **„Świętem Wiosny" Strawińskiego** we własnej choreografii wywołał w Paryżu 1913 roku skandal artystyczny bulwersując widownię niekonwencjonalną choreografią, zrywającą z kanonami tańca klasycznego – jak określano – pełną barbarzyńskiej, pierwotnej siły witalnej.

Wszystkie trzy wspomniane przed chwilą balety znalazły się w programie łódzkiej premiery w sobotę 20 maja. Tak pomyślany repertuar przypieczętował niejako patronat postaci Niżyńskiego nad tegorocznym wydaniem łódzkiego tanecznego maratonu. Zainteresowanie Niżyńskim łączy się bowiem z intencją święcenia przypadającej w bieżącym roku setnej rocznicy urodzin wybitnego naszego rodaka.

Stąd też z całym pietyzmem zrekonstruowano Fokinowską wersję baletu „Szeherezada" i pracę choreograficzną Niżyńskiego „Popołudnie Fauna". Wierności przekazu układu Fokina strzegła w łódzkiej kopii baletu Rimskiego-Korsakowa **Liliana Kowalska**, zaś w „Popołudniu Fauna" Debussy'ego nad dokładnością pomysłu Niżyńskiego czuwał **Artur Żymełka**.

Oba te utwory odtworzone przez łódzkich tancerzy niosły odmienne doznania. Układ choreograficzny „Szeherezady" nie ostał się próbie czasu i nie wywołuje już takiego, jak przed kilkudziesięciu laty entuzjazmu. Autentyczna scenografia **Leona Baksta** opracowana przez **Xymenę Zaniewską-Chwedczuk** i **Mariusza Chwedczuka**, oszałamiająco kolorowa nie zadziwia i nie szokuje jak niegdyś. Dzisiejszy nawrót do pewnej ascezy baletowych spektakli sprawia, że tło barwnych plam imitujące pełen przepychu namiot sułtański zaciera w odbiorze plastyczność ruchu na scenie. Niemniej poprzez udane kreacje **Ewy Wycichowskiej** jako Szeherezady, **Romana Komassy** – sułtana, **Luizy Żymełki** w roli Zobeidy, **Sławomira Woźniaka** – Maura, **Jarosława Biernackiego** – Zemana i **Władysława Janickiego** – Eunucha oraz rzetelnie wykonane sceny zbiorowe, „Szeherezada" w łódzkiej inscenizacji daje satysfakcję.

Mnie osobiście przypadł do gustu obrazek „Popołudnie Fauna". Dźwiękowe malarstwo Debussy'ego, poparte obrazkami jakby żywcem zdjętymi z ornamentyki starogreckich waz, jest nadal w swojej wymowie świeże i frapujące. Tak mógłby zaprojektować układ sceniczny choreograf współczesny. Inna rzecz, że podczas sobotniej premiery interpretacja **Jarosława Sołowianowicza** – jako Fauna, **Edyty Wasłowskiej** – Nimfy, jak też sześciu pozostałych balerin, przysłużyła się dobremu przyjęciu utworu.

Kulminacyjnym wydarzeniem premierowego wieczoru było na pewno **„Święto Wiosny"** – balet **Igora Strawińskiego** w świetnym układzie choreograficznym **Ewy Wycichowskiej**. Jej umiejętność dramatyzowania akcji poprzez operowanie grupami tancerzy, pomysłowość ruchowych elementów plastyczność następujących po sobie wydarzeń akcji konsekwentne zarysowanie charakteru postaci: **Czesława Bilskiego** – jako Najstarszego, Ofiarowanej – tańczyła ją **Anna Gruszka** i Adorowanego – w interpretacji niezawodnego **Romana Komassy** – to niezaprzeczalne walory fascynującej choreografii Ewy Wycichowskiej.

Osobne miejsce należy się w mojej relacji muzyce, przygotowanej i poprowadzonej przez wielce utalentowanego 27-letniego dyrygenta brazylijskiego o latynosko długim nazwisku Jose **Maria Florencio Junior**. Artysta po studiach w swoim rodzinnym kraju i w Stanach Zjednoczonych, trafił przed czterema laty do Polski, aby poddać się szlifowi mistrzowskiej ręki **Henryka Czyża**.

Mimo iż zestaw trzech utworów repertuaru niesie z sobą niewyobrażalne niekiedy trudności wykonawcze, przemyślana koncepcja dyrygenta, wypracowanie szczegółów partii orkiestrowej, dyscyplina realizacji każe na pewno wszystkim obecnym na premierze zapamiętać nazwisko brazylijskiego artysty. Jestem przekonana, że zaznaczy on swoją karierę pasmem zdecydowanych sukcesów.

Nawiasem mówiąc nigdy dotąd nie słyszałam tak precyzyjnie grającej grupy instrumentów dętych, mimo całego skomplikowania partytury. Zwłaszcza w „Święcie Wiosny". Z kolei niedokładności intonacyjne solowej partii skrzypiec prowadzącej temat Szeherezady w suicie Rimskiego-Korsakowa przypisuję jakiejś monstrualnej tremie wykonującego ją muzyka. Zresztą grupa skrzypiec była najbardziej wątła dźwiękowo. Na pewno tak zwane kolejne „ogrania" repertuaru spektaklu „Nižyński in memoriam" przydadzą większego blasku orkiestrowej warstwie widowiska. Sprawdzenie czego, serdecznie państwu, na koniec mojej relacji polecam.

MARIA HOFFMANN

„Wacław Niżyński — in memoriam" Teatr Wielki w Łodzi, sobota, 20 maja 1989 r.

Festiwal młodych muzyków

Stowarzyszenie Polskiej Młodzieży Muzycznej, czyli krajowa sekcja Międzynarodowej Federacji **„Jeunesses Musicales"** organizuje od 20 lat imprezy i festiwale muzyczne w różnych miastach. Mimo że przewodniczący stowarzyszenia będący pomysłodawcą wielu tego rodzaju przedsięwzięć – **Jarosław Stępowski** jest łodzianinem dopiero w tym roku po raz pierwszy zdecydowano się urządzić na lokalnym gruncie **Festiwal Młodych Artystów** związanych z „Jeunesses Musicales". Festiwal ów przygotowany z pomocą Wydziału Kultury i Sztuki, ŁDK i ŁTM a kierowany artystycznie przez **Jerzego Goryszewskiego**, odbył się w Łodzi w dniach od 18 do 21 maja.

Od razu trzeba stwierdzić, że termin nie został najszczęśliwiej wybrany. Doszło bowiem do nałożenia się prezentacji na koncerty abonamentowe filharmoników, na zawierające również występy muzyczne – Dni Kultury Włoskiej oraz rozpoczęte akurat X Spotkania Baletowe. Zważając, iż studiująca młodzież muzyczna weszła zarazem w okres egzaminów łatwo zrozumieć że frekwencja na festiwalu nie mogła być imponująca.

I nie była. Pewnie fakt ten zdemobilizował z kolei niektórych artystów że wymienie chociażby orkiestrę symfoniczną miejscowej Akademii Muzycznej pod dyr. **Zdzisława Szostaka** która na inauguracyjnym koncercie w sali Liceum Muzycznego wypadła słabo. Najgorzej – w zawierającym niejedną pomyłkę w solówkach i nie zrównoważonym w tutti **Ravelowskim „Bolerze"** oraz **„Kaprysie włoskim" Czajkowskiego**. Ratowały sytuację solistki: dynamicznie interpretująca fortepianowy **Koncert a-moll Schumanna Monika Rosca** i dysponująca przyjemnym, acz niezbyt silnym sopranem – **Małgorzata Zygmaniak** (arie z **„Fausta"** i **„Madame Butterfly"**).

Następny wieczór w Akademii Muzycznej zawierał kilka odmiennych propozycji. Duet **Piotr Sobczak** – wiolonczela i **Piotr Morawicz** – fortepian muzykalnie wykonał **„Chants d'Espagne"** wrocławskiego pianisty i kompozytora – **Mirosława Gąsieńca**. Wiele blasku nadał on sparafrazowanym przez siebie kompozycjom **Liszta** i **Lieblinga** a także własnej **Etiudzie i Mazurkowi**. W Łódzkim Domu Kultury przedstawił potem trochę nazbyt dla nas, Europejczyków, monotonną muzykę hinduską, trzyosobowy zespół **„Shanti Path"** z Wrocławia.

Kolejnego dnia śpiewało w AM z akompaniamentem **Krystyny Hussar-Moczulskiej** dwoje wokalistów. Sopranistka **Anna Dzionek** zaprezentowała cykl **7 Pieśni hiszpańskich de Falli**. Jej interesujący pod względem barwy głos nie został jednak nasycony odpowiednią ekspresją w pieśniach szybkich (np. w **„Polo"**). **Tadeusz Jedraś** odtworzył m.in. arie **Mozarta** i **Czajkowskiego**. Temu nośnemu barytonowi przydałaby się pełniejsza regularniejsza wibracja. Znakomici soliści wzięli natomiast udział w wieczornym koncercie w klasztorze w Łagiewnikach. Wirtuozeria partii sopranowej w motecie **Vivaldiego** zaimponowała, licznie tym razem zgromadzonym słuchaczom, **Grażyna Flicińska-Panfil**, pięknym dźwiękiem i perfekcją techniczną w **Koncercie gitarowym D-dur** tego samego twórcy popisała się **Maria Esterth Guzman Blanco z Hiszpanii**. Akompaniująca na dobrym poziomie poznańska orkiestra kameralna **„Musica Viva"** pod dyr. **Mirosława Trzeciaka** miała też w repertuarze **Suitę Purcella** i **Mozartowskie Divertimento B-dur**.

Monograficzny charakter posiadał niedzielny koncert finałowy w sali kinowej ŁDK. Uświetnił setną rocznicę śmierci **Giovanniego Bottesiniego** (na afiszu i w programie – błąd w nazwisku), nazywanego niekiedy Paganinim kontrabasu. W **I Koncercie fis-moll** włoskiego twórcy podobał się czeski kontrabasista **Miloslav Gajdos**, w **II Koncercie h-moll** wiele niedociągnięć intonacyjnych i dźwiękowych ujawnił łodzianin **Dariusz Cegliński**. Towarzyszył on też uzdolnionej wiolinistce z Katowic, **Beacie Warykiewicz**, w **Grand duo concertante** na skrzypce, kontrabas i orkiestrę. Realizująca akompaniament łódzka orkiestra kameralna **„Pro Musica"**, kierowana batutą **Zbigniewa Friemana**, nie miała – niestety – również swego najlepszego dnia. Zakończenie festiwalu specjalnie więc nie olśniło.

JANUSZ JANYST

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

z drugiej strony rozsądku „Iskrom" nie brakuje, skoro na rok bieżący sygnalizują wydanie powieści **Aleksandra Sołżenicyna „Jeden dzień Iwana Denisowicza"** „Psie serce" **Michaiła Bułhakowa**, **„Cudowną melinę" Kazimierza Orłosia** – polskiego pisarza, który przez wiele lat był nieobecny na naszym rynku, **„Sublokatorkę" Hanny Krall**, tom opowiadań **Marka Nowakowskiego „Portret artysty z czasów dojrzewania"**, zaś wśród wznowień **Wiktora Woroszylskiego „Kto zabił Puszkina"** i **„Sennik współczesny" Tadeusza Konwickiego**.

ODKRYWANIE SZAŁAMOWA

Miesięcznik **„Teatr"** opublikował nieznany dramat **Warłama Szałamowa – „Anna Iwanowna"**. Wieloletni więzień stalinowskich łagrów znany głównie jako autor kilku niewielkich tomików poetyckich dopiero teraz ukazuje swą pisarską wielkość. Prasa literacka drukuje jego wstrząsające opowiadania kołymskie. Przygotowywany jest również zbiór poezji obejmujący wybór wierszy z **„Kołymskich zeszytów"**. Wyjdzie także wybór jego opowiadań. Odkrywa się jeszcze jedna karta jego twórczości: w archiwach odnaleziono rękopis kilku sztuk z których, niestety, tylko jedna – „Anna Iwanowna" – została ukończona. Jest to napisany w początkach lat sześćdziesiątych dramat o Kołymie, tematycznie bardzo bliski opowiadaniom kołymskim.

TŁUŚCIOCHY W MODZIE?

„Tłuste jest piękne« – tak brzmi dewiza francuskiej choreografki, **Maguy Marin**, lat 37. Maguy wciela ją w życie w swym nowym widowisku baletowym **„Groosland"**, które ostatnio miało światową prapremierę w Amsterdamie. By wystąpić w tej groteskowej parodii panujących ideałów piękności, prezentowanych przy akompaniamencie Koncertów Brandenburskich Bacha, dwudziestu członków holenderskiego Baletu Narodowego musiało przybrać sztuczne rubensowskie kształty za pomocą gumy piankowej. Niektórym tancerzom z trudem przyszło wytrwanie w tym opakowaniu do końca trzydziestominutowego spektaklu. Tancerz **Ted Brandsen** powiedział: „Po czymś takim człowiek jest ugotowany, jakby wyszedł z sauny". („Stern")

KSIĘŻNA WALII NASTĘPCZYNIĄ

Jeden z najbardziej cenionych aktorów teatru i filmu (polskiego pochodzenia) Sir **John Gielgud**, który obchodził 85 rocznicę urodzin, przekazał swe dotychczasowe funkcje przewodniczącego londyńskiej Royal Academy Of Dramatic Art **księżnej Walii Dianie**. Małżonka angielskiego następcy tronu wystąpiła po raz pierwszy jako nowy przewodniczący tej prestiżowej instytucji uczestnicząc w pokazie filmu **„Światła wielkiego miasta"** z okazji 100 rocznicy urodzin **Charlie Chaplina**.

Galeria pisarzy

JAN CZARNY

Ze swych oponentów
Czynił jatkę,
Odwiedzając często...
„Honoratkę"!

ROMAN GORZELSKI

Rys. Sławomir Arabski

Kronika

TRZY DNI TRWAŁO TEGOROCZNE STUDENCKIE ŚWIĘTO WIOSNY – „JUVENALIA 89", zorganizowane przez słuchaczy UŁ przy udziale ich kolegów z AM. Barwny tłum żaków przemaszerował uliczkami osiedla akademickiego, odbyły się rozgrywki sportowe, występy zespołów muzycznych, wokalnych, kabaretowych, dyskoteki. Wystąpiły też holenderski zespół rockowy i zespół bluesowy z USA.

CHÓRY AKADEMICKIE Uniwersytetu im. Justusa Liebiga Giessen (RFN) i Instytutu Chemiczno-Technologicznego w Iwanowie goszczące w Uniwersytecie Łódzkim dały 24 maja publiczny koncert w kościele św. Mateusza.

WE WRZEŚNIU BR., w pięćdziesiątą rocznicę wybuchu II wojny światowej, na Cmentarzu Komunalnym na Dołach zostanie odsłonięty pomnik ku czci pomordowanych w obozach koncentracyjnych. Inicjatorem budowy jest Oddział Łódzki Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem. Autorem projektu pomnika jest artysta plastyk **Janusz Tusiński**, zaś prac rzeźbiarskich — **Antoni Biłas**.

I MIĘDZYNARODOWY SALON PLAKATU FILMOWEGO — to kolejna ważna impreza międzynarodowa, jaka zrodziła się w naszym mieście. Dzięki — oczywiście! — **Antoniemu Szramowi**, dyr. Muzeum Kinematografii. Na konkurs nadesłano 570 prac, zaś na wystawę, otwartą w galerii ŁDK, zakwalifikowano 245 plakatów. Jury obradujące pod przewodnictwem szwajcarskiego grafika **Wernera Jekera** przyznało trzy nagrody. I nagrodę otrzymał **Uwe Loesch** z RFN, II — **Stasys Eidrigevicius** zamieszkały w Polsce natomiast III — **Roman Cieślewicz** mieszkający w Paryżu. Przyznano także trzy wyróżnienia, które otrzymali Polacy — **Waldemar Świerzy** i **Mieczysław Wasilewski** oraz **Howard Brown** z Wielkiej Brytanii.

W KLUBIE STUDENCKIM „BALBINA" czynna jest wystawa rysunku satyrycznego **Dariusza Pietrzaka**, studenta UŁ, którego prace zamieszczaliśmy na naszych łamach. Ten utalentowany młody artysta dał się poznać także czytelnikom „Karuzeli" i „Szpilek".

NARODOWA RADA KULTURY dokonała oceny funkcjonowania Funduszu Rozwoju Kultury. Członkowie Zespołu Finansowania podtrzymują stanowisko o potrzebie podniesienia odpisu na kulturę z podatku od płac do 15 proc. Trudną sytuację może złagodzić 20 proc. zwolnienie z podatku dochodowego teatrów, oper, filharmonii itp. Środki te prawdopodobnie zostaną do dyspozycji tych instytucji.

VIII BIENNALE SZTUKI DLA DZIECI odbyło się w Poznaniu w dniach od 22 do 26 maja. Ta impreza objęła prezentację wszystkich dziedzin twórczości, zaś nowością było wprowadzenie do programu imprez filmowych i przedstawień. Również zagranicznych. Internationale Jugendbibliothek z Monachium przygotowała wystawę najpiękniejszych książek świata z roku 1988.

Z OKAZJI DNIA DZIAŁACZA KULTURY, 30 maja br. odbyło się w Muzeum Historii Miasta Łodzi uroczyste spotkanie władz miasta z działaczami kultury. Najbardziej zasłużonym wręczono odznaczenia, wyróżnienia i nagrody.

W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI otwarto wystawę i manifestację artystyczną pod nazwą „Łódź" Organizatorzy tej interesującej prezentacji zapowiedzieli, że biorą w niej udział: „Obrazy, telewizory, kamery, flesze, projektory, rzutniki, wideo, lasery, lustra, kobiety, druki, magnetofony saksofony, klawesyny, syntetyzery, gitary, perkusje, skrzypce, światła, księżyce, wino, cuda, ekrany, osoby..."

WE WROCŁAWIU rozpoczął się XXVIII Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych, w którym biorą udział m.in. Teatr Wybrzeże z Gdańska, Teatr Śląski z Katowic, Teatr Ludowy z Krakowa, Teatry Powszechny i STUDIO z Warszawy i Teatr im. St. Jaracza z Łodzi, który 2 marca przedstawi „Obywatela Pekosiewicza" T. Słobodzianka. Gospodarzy reprezentuje Teatr Współczesny. Festiwalowi towarzyszą liczne imprezy — wystawy i sesja teatrologiczna, spektakle plenerowe, pokazy Teatru TV (zarejestrowane na wideo).

2 CZERWCA BR. w Dużej Sali Teatru Nowego w Łodzi odbędzie się premiera **„Dożywocia" Aleksandra Fredry**, w reżyserii **Ludwika Benoit**, ze scenografią **Iwony Zaborowskiej** i w opracowaniu muzycznym **Teresy Stokowskiej-Gajdy**. W rolach głównych: **Katarzyna Węglicka, Ludwik Benoit, Michał Kret, Janusz Kubicki, Bogusław Mach, Andrzej Musiał, Mariusz Pilawski, Dariusz Wiktorowicz** oraz **Bronisław Wrocławski** w roli Łatki.

W OGÓLNOPOLSKIM PRZEGLĄDZIE TEATRÓW LALEK, jaki odbył się w dniach 12—20 maja br. w Białymstoku, łódzkie środowisko reprezentował Państwowy Teatr Lalek „Pinokio".

W HALLU KINA ŁDK czynna jest interesująca wystawa fotogramów pochodzących ze zbiorów ambasady francuskiej, pt. **„Moda ulicy paryskiej"**. Autorami zdjęć są: **Francoise Boissy i Patric Bouvolet**.

Byli legendą — wspomnienia z najbliższej przeszłości (1)

Ballada o „Jędrusiu"

RYSZARD BINKOWSKI

Ulica Piękna w Pabianicach także zachowała swój peryferyjny urok. Jest stara i brzydka A na odcinku między Orlą i Stanisława Moniuszki czas także jakby się zatrzymał Okaleczone drzewa szlifowany do połysku bruk szczerbate chodniki pokruszone krawężniki a w rynsztokach barwne mydliny wylewane wiadrem wprost z bramy.

Na tle starej zabudowy wyróżnia się solidny parterowy domek z pomalowaną na zielono bramą i furtką. W obejściu widoczne ślady gospodarskiej ręki kogoś skrzętnego i zapobiegliwego ze wsi Pięknie utrzymany ogródek z betonowymi alejkami, krawężnikami, skwerkami i klombem, kwiaty, agresty, przycięta stara grusza, w głębi zaś czyste komórki i garaże.

I cisza. Z sąsiedniej ulicy 7 Listopada dobiega śmiech dzieci hasających na placu zabaw „Jacek i Agatka", czasem zaś można dosłyszeć słowa modlitwy spod kapliczki z Chrystusem na krzyżu, oddzielonej od chodnika fantazyjnie giętą kolorową barierką. Jak na wsi...

Ale nie ma tutaj nic z pejzażu tej wsi, w której urodził się człowiek mieszkający w domku pod numerem 11 na ulicy Pięknej. Cóż go więc zatrzymało? Może przyjazna ręka, którą mu podano po latach życiowej gehenny? Z pewnością była to dobra kobieta, co stała się jego wierną towarzyszką życia, dziś już białowłosa, o ciepłych niebieskich oczach, której na imię Aleksandra.

Stanisław Wiącek jest ostatnim żyjącym żołnierzem oddziału legendarnego „Jędrusia". Ostatnim, który brał udział w pierwszej akcji, gdy oddział przyjął tę nazwę. Potem inne grupy podszywały się pod „Jędrusiów", lecz z legendą tych pierwszych nie miały nic wspólnego.

Stanisław Wiącek ma 75 lat i doczekał w Polsce Ludowej łącznie trzech wyroków śmierci i 27 lat więzienia, a w ostateczności — kary śmierci przez rozstrzelanie. Aby jednak zrozumieć, jak to się stało, że przetrwał 65 dni w celi śmierci i do dziś żyje, trzeba sięgnąć w głąb najnowszej historii, do czasów pogardy i dni bratobójstwa, do lat naszej tragedii narodowej, nad którą niczym sęp krążył zły duch ojca narodów — Józefa Stalina.

Hen, daleko, tam, gdzie dziabeł mówi dobranoc, w byłym powiecie sandomierskim leżała wieś Trzcianka powstała z parcelacji majątku ziemskiego Tylko 13 numerów ale za to gospodarze całą gębą zamożni Wiąckowie mieli 30 morgów sześciu synów i siódmą córkę Rodzice nie osiągnęli żadnego wykształcenia, lecz dążyli do tego, aby zdobyły je dzieci I wszystkie, cała siódemka, pokończyły szkoły ponadpodstawowe, w tym i wyższe, a syn Jan, ksiądz kanonik, uzyskał tytuł doktora. Tak naprawdę to powinien on zostać architektem, bo na jakiej parafii osiadł, żył biednie jak mysz kościelna, a wszystkie pieniądze przeznaczał na remont, przebudowę lub budowę kościołów. Natomiast syn Stanisław ukończył cztery klasy gimnazjum w Mielcu, po czym uczył się w szkole rolniczej w Bojanowie Poznańskim

Ojciec wychowywał dzieci w miłości do Boga i Ojczyzny, w dyscyplinie i w szacunku do pracy. W gospodarstwie były siodła i konie, bo mężczyźni to ułani, kawalerzyści.

Stanisław Wiącek to twardy mężczyzna, lecz z upływem lat łatwo się wzrusza, czego zresztą nie lubi. Przeciera grzbietem dłoni zaczerwienione wciąż żywe niebieskie oczy. Cerę ma miejscami przekrwioną, włosy rzadziutkie, siwe, dolną wargę rozbitą pośrodku i zabliźnioną.

— Kiedy tylko powiała biało-czerwona, ruszyliśmy na pomoc Ojczyźnie — powiada i wyciąga coś z rodzinnych pamiątek.

Stary pożółkły list brata Franciszka, który przeprasza matkę, że bez wiedzy rodziców zaciągnął się do wojska. Bił się w 1919 r. z Ukraińcami. Napisał małą karteczkę z informacją, że idzie na Lwów Zrobił to wieczorem, a na marginesie ktoś dopisał, że przed wysłaniem kartki zginął. Z nowszych rodzimych pamiątek znajduje się w zbiorach list kardynała Stefana Wyszyńskiego, który po śmierci brata Jana, księdza kanonika, wyraził ubolewanie rodzinie i uznanie za działalność Jana na niwie kościelnej.

We wrześniu 1939 r. Stanisław Wiącek miał niebieską kartę mobilizacyjną, tzn przeznaczony był do późniejszej mobilizacji 7 września jadąc rowerem spotkał szwadron kawalerii, który za jego namową zatrzymał się w gospodarstwie Bienia To był brat tego samego Adama Bienia, którego potem sadzono i skazano z grupą gen Leopolda Okulickiego w Moskwie. Dowódca szwadronu poradził im, że skoro są kawalerzystami i chcą się bić, niech biorą swoje konie i jadą do Tarnobrzega

Staneli wraz z Bieniem o świcie nad Wisłą, jeszcze gwiazdy nie zbladły przed kolejnym upalnym pogodnym dniem czekając na prom, aż te piękna pogodę zburzyło bombardowanie niemieckich samolotów. Przebrawili się jednak do Tarnobrzega, aby usłyszeć w starostwie, że kawaleria poszła na Hrubieszów Jechali więc pod ostrzałem myśliwców i pod bombami, a w Hrubieszowie powiedziano im że koncentracja oddziałów odbywa się w Różyszczach nad Styrem Tam z kolei skierowano ich do Kiwerc. Zrozpaczeni, zmęczeni i spragnieni, jak ich konie, spotkali w tej wędrówce za wojskiem patrol z porucznikiem i dwoma wozami z żywnością. Wspólnie dotarli do lasów koło Kiwerc i Stanisław Wiącek nie nawojował się we wrześniu bo dowódca rozwiązał na placu swój pułk Od wschodu szła Armia Czerwona...

I tak kawalerzysta Stanisław Wiącek wrócił do zacisznej Trzcianki. Wieś na uboczu, z dala od dróg bitych, za sadem pasmo jezior, wysepka. To miało mieć później duże znaczenie. Na razie Niemcy rzadko pojawiali się w Trzciance, ale za to docierało do wsi konspiracyjne pismo „Odwet". Wiąckowie czytali, lecz początkowo nie mieli pojęcia, od kogo to pismo dostają.

Aliści późną jesienią 1940 r. zjawiło się u Wiącków dwóch mężczyzn. Kolegę Podsiadłego Stanisław Wiącek z miejsca rozpoznał, ale tego drugiego, brodatego, nie bardzo. A był to jego kolega z gimnazjum, Władysław Jasiński, organizator i naczelny „Odwetu". Była wsypa. Redakcję, papier i powielacz należało ulokować w bezpiecznym miejscu, a takim właśnie była Trzcianka.

W skład siedmioosobowej grupy wszedł Stanisław Wiącek i jego brat Józef. Uzbrojeni w pistolety, jeszcze z września, drukowali „Odwet" i kolportowali po okolicznych powiatach. Zapotrzebowanie na pismo było duże, fundusze czerpano ze składek, ilość i wysokość składek kwitowano pseudonimami. Zdarzały się wpadki, trzeba było opiekować się rodzinami, a więc i zdobywać pieniądze.

Wiosną 1941 r. w domu Wiącków, gdzie mieściła się redakcja „Odwetu", ustalono, że pieniądze leżą w leśniczówce, i to tak dużo, jak dużo sprzedaje się drzewa z upaństwowionych przez Niemców lasów radziwiłłowskich. No tak, ale w leśniczówce Szczeka urzęduje znajomy, pan Zych, jakże więc spojrzec mu w oczy. A poza tym człowiek wychowany w duchu religijnym, a tu trzeba iść i kraść. Trudno, cel uświęca środki.

Zdobyto znaczną ilość pieniędzy. Leśniczy Zych, którego córka była potem partyzancką łączniczką, poprosił o pokwitowanie. Jasiński po namyśle pokwitował pieniądze imieniem swego dwuletniego synka Jędrusia. Odtąd po każdej akcji pozostawiano wizytówkę z podpisem „Jędruś". Tak też stało się po wykonaniu wyroku śmierci na konfidencie Gaszyńskim. Akcja miała miejsce 24.10.1943 r. w Sandomierzu, podczas meczu piłkarskiego na stadionie koło koszar. Kibice uciekali w popłochu, lecz mimo tego zamętu i paniki „Jędrusie" położyli swoją wizytówkę na zwłokach konfidenta. Szalona odwaga, brawura i młodzieńcza fantazja...

Ano tak, bo przecież grupa rosła liczebnie i większość jej stanowili ludzie młodzi harcerze, gimnazjaliści. Szef okręgu krakowskiego AK pomógł im w zorganizowaniu tajnego nauczania, dzięki czemu wielu chłopców zdobyło małe matury. Uczyli się i walczyli przeprowadzając w sumie 72 akcje bojowe. Ale organizowali także akcje gospodarcze, dywersyjne. Toczyli lokalne bitwy i potyczki urządzali zasadzki na pociągi wiozące broń i amunicję na linie frontu. Jednej nocy potrafili zniszczyć 28 ksiąg w gminach z listami osób przeznaczonych na wywózkę oraz wszystkie kwity kontyngentowe.

12 marca 1943 r. „Jędrusie" rozbili więzienia w Mielcu, a 29 marca w Opatowie, uwalniając z nich 260 więźniów. Dowodził „Sowa" — Józef Wiącek, gdyż zginął Władysław Jasiński, a wraz z nim Antoni Toś, Józef Gorycki. Żandarmi zaskoczyli 6 „Jędrusiów" w Trzciance i tylko trzech się uratowało. Potem w Oświęcimiu zginęli Franciszek i Józef Kasakowie oraz Franciszek Motyka, a kilka lat temu zmarł Franciszek Stala. I tak jedynym żyjącym z pierwszej akcji „Jędrusiów" pozostał Stanisław Wiącek. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Po śmierci Władysława Jasińskiego (9.01.1943) dowódcą oddziału został brat Stanisława Wiącka — Józef, a Stanisław — używający pseudonimu „Imperator" — jego zastępcą. Początkowo „Jędrusie" działali jako jednostka samodzielna, współpracując z ZWZ, który przekształcił się w AK, oraz z BCh. Jesienią 1943 r. przeszli pod dowództwo Armii Krajowej, zachowując jednak dużą autonomię. Obowiązywała koleżeńskość i dyscyplina wewnętrzna, nie było drylu wojskowego.

W toku walk wiosną 1942 r. doszło do likwidacji centrali „Odwetu" w Wiśniówce koło Staszowa, ale potem pismo znów zaczęło się ukazywać w Sulisławicach. Tam też znajduje się wspólna mogiła 18 poległych „Jędrusiów". Żyjący ściągali zwłoki kolegów nocami i grzebali pod osłoną ciemności. Po wyzwoleniu, ale musiało upłynąć wiele, wiele lat, żyjący z własnych składek wystawili im pomnik. Dziś w Sulisławicach buduje się szkołę imienia „Jędrusiów".

Wróćmy jednak do historii. Znamienny jest tutaj fakt, że Stanisław Wiącek uzyskał w partyzantce stopień podporucznika. Do dziś jednak w oficjalnej książeczce wojskowej ma wpisany stopień kaprala. Pisał w tej sprawie do MON, lecz nie uzyskał odpowiedzi.

Za rozbicie więzień w Mielcu i Opatowie odznaczono go Virtuti Militari V klasy. W 1948 r. otrzymał z Londynu stosowną legitymację. Ale wtedy siedział w więzieniu. Odznaczono go w 1943 r., tymczasem Rada Państwa nadała mu odznaczenie po 22 latach, w 1965 r. — Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari.

— Musiało upłynąć wiele lat, aby uznano, że ja także mogę być członkiem ZBoWiD — mówi głosem drżącym, zapiekłym od żalu. — Myślę, że szacunek i wyrazy uznania należą się żołnierzom KBW, milicjantom, funkcjonariuszom UB, którzy w błocie i mrozie, skazani na śmierć i tortury, walczyli z bandami UPA. Ale czy odznaczenia zbowidowskie i prawa kombatanckie przysługują ubowcom, którzy torturowali i skazywali na śmierć polskich żołnierzy z AK, BCh, AL, z Ludowego Wojska Polskiego? Czy te same przywileje należą się ludziom ze służb więziennych, którzy gnoili w celach i karcerach tysiące niewinnych ludzi?

C.D.N.

Sen Wilka (7)

JERZY WAWRZAK

— Nie zmarzliście? Jak się udał obiad? Nie posprzeczałeś się z mecenasem?

— Wszystko było wspaniałe.

— Nie wiesz, Karolu, jak się cieszę, że się statkujesz, ojciec też, chociaż jemu rzekomo nie wypada o tym mówić. Kama to taka dobra i śliczna dziewczyna. Nie wyobrażam sobie jej w czarnej todze — roześmiała się — a ty?

— Ja tak, bo nie mam wyobraźni skażonej francuskimi romansami — pocałował ją jeszcze raz — nie budźcie mnie przypadkiem na kolację, muszę odespać tę zwariowaną noc.

W swoim pokoju szybko się rozebrał do naga, włożył ciepłą bieliznę, golf i okute metalowymi klamrami narciarskie buty z kwadratowymi noskami. Z pawlacza wyciągnął obszerny brezentowy plecak gruszkowatego kształtu i zaczął starannie go pakować. Gdy był gotów, poszedł do kuchni po Weronikę. Powiedział jej o co chodzi. Nie mogła zrozumieć, powtórzył.

— Niech Weronika nie płacze — pocałował ją w pomarszczony policzek i podniósł do ust jej spracowane, powykręcane artretyzmem dłonie, które go od niemowlęctwa hołubiły. — Niech Weronika się nie ślimaczy, tylko zamknie za mną okno i zrobi tu porządek... Kochana moja, przecież nie idę na wojnę, nie takie rzeczy przeżyłem.

— Dziecko moje, taka byłam szczęśliwa, że jesteś w domu, że się będziesz żenił, znów będziemy się z panią Matyldą zadręczać, czy żyjesz, czyś zdrowy...

Radłowski otworzył okno, wychylił się rzucając na dach plecak, a za nim kożuch. Skoczył tak by upaść na ręce i nogi, z obawą, że dach może się zarwać. Odetchnął z ulgą, teraz już wszystko było proste. Spojrzał jeszcze tylko krótko na bladą twarz Weroniki w ciemnym oknie, naciągnął na ramiona kożuch i z plecakiem w ręku lekko sforsował mur dzielący go od sąsiedniego podwórka. Znów uśmiechał się i mamrotał do siebie, kiedy wychodził z bramy w ulicę Nadrzeczną:

— Marznijcie, kundle, chciałbym widzieć wasze miny, jak się nad ranem wedrzecie do mieszkania... — Kruk wyfrunął... nie, nie,.., nie ma już kapitana Kruka, jest kapitan Wilk.

Do mieszkania Lodzi miał niecałe pół godziny marszu. Otworzył drzwi swoim kluczem. Zdjął kożuch, rozzuł ciężkie narciarki, nie zapalając światła; do tych prostych czynności wystarczył poblask ulicznej latarni. W mieszkaniu nie było za ciepło, więc w bieliźnie wsunął się pod kołdrę, nie zapominając schować rewolweru pod poduszką. Po nie przespanej nocy, mimo pewnego nerwowego napięcia, prawie natychmiast spadł na niego sen, jak czarna płachta.

Spał jednak czujnie, usłyszał klucz w zamku.

— Nie zapalaj światła — uprzedził dziewczynę, która go z łatwością odnalazła i przypadła do jego twarzy lodowatym policzkiem. Wyjaśnił jej co się stało i powstrzymał gestem, kiedy chciała zdjąć swoje królicze futerko. Na okiennym parapecie nagryzmolił kilka zdań do Grzeszczuka i kazał jej tę kartkę dyskretnie mu dostarczyć. Wrócił do łóżka, ale czuł, że już nie zaśnie. Założył ręce pod głowę i zastanawiał się nad okolicznościami, jakie musiały skłonić Kowala do wsadzenia go pod klucz. Wszystko wskazywało, że tym gończym psom nadano trop spoza Kamieńca. Nie czuł jednak pretensji do tych macherów z WiN. Tworzy się nowa organizacja, wprawdzie na starej, akowskiej bazie, ale nowa. W ludziach nie można za bardzo przebierać, nie ulegałki, często się bierze byle gówniarza albo durnia, mięczaka, zwykłego tchórza, który jak mu ubowiec pokaże nogę od krzesła, robi w portki ze strachu i sypie. Wpadki, ludzka rzecz, zdarzały się zawsze i teraz nie może być inaczej. Jeśli mógłby mieć pretensje, to tylko do siebie samego, że nie powiedział emisariuszowi z Warszawy: „nie". Obiecał, że się zastanowi, właściwie dał im do zrozumienia, że w potrzebie, ale takiej prawdziwej, mogą na niego liczyć. Innej reakcji w ogóle sobie nie wyobrażał, jest do cholery mężczyzną, i musi nosić spodnie z jakimś uzasadnieniem. No i z drugiej strony, jeśli tacy ludzie jak on odmówią, to kto w tym kraju powstrzyma czerwoną zarazę. Zbłaźnili się tylko propozycją awansu, jakby, skurkonosy, nie wiedzieli, że jest człowiekiem honoru i jeśli podejmie walkę, a właściwie już został niejako do tej walki zmuszony, to nie dla szlifów i odznaczeń; błyskotkami można zachęcać różnych półpanków i kmiecych synów, ale nie Karola Radłowskiego, chociaż, zawahał się w swoich sądach, trzeba uwzględnić psychologię podległego plebsu, dla takich szarża dowódcy ma nieraz duże znaczenie. Niech więc będzie major Wilk.

Wróciła Lodzia. Teraz zezwolił jej zapalić światło, upewniwszy się, że story są dokładnie zasunięte. Nie miała trudności z doręczeniem kartki. Teraz dopiero pokazała mu pakę z wiktuałami, którą przyniosła z „Europy". Poczuł wzruszenie, traktował ją dość obcesowo, bez żadnych złudzeń na trwałość ich związku, chociaż wymagał wyłączności, a mimo to Lodzia darzyła go nie tylko namiętnością, ale i czułością, która się w takich codziennych gestach jak ten często objawiała. Odkorkował butelkę wina, Lodzia rozłożyła jedzenie na talerzykach. Spojrzała na niego jak siedzi na łóżku w grubych kalesonach i mechatym podkoszulku piaskowego koloru. Roześmiała się i podchodząc do łóżka z miną głodnej kotki zaczęła się rozbierać. Karol pośpiesznie uczynił to samo, odsuwając się w głąb łóżka pod ścianę. Lodzia odrzuciła kołdrę na oparcie łóżka i położyła się na plecach, szeroko rozstawiając nogi ugięte w kolanach. Przymknęła oczy, lekko posapując przez rozchylone, wilgotne usta, w oczekiwaniu na pieszczotę.

— Karol, bierz mnie dzisiaj normalnie, jak mąż żonę, nie jak kurwę.

— Do samego rana — zaśmiał się, ale zaraz spoważniał — nie mów tak, nie jesteś moją płatną dziwką, bardzo cię lubię i szanuję... Musisz zrozumieć, że wojna, stała groźba śmierci, zrobiła ze mnie ogiera wyzbytego wyższych uczuć, ale co na to poradzę...

— Chodź prędzej — objęła go za szyję, Karol nieco się uniósł i pozwolił jej wślizgnąć się pod siebie. Oddawała mu się jak zawsze gwałtownie i z pełnym zaangażowaniem, ale nigdy z taką rozpaczliwą determinacją, która po kilku minutach i jego wciągnęła w szaleńcze bezopamiętanie. Kiedy podmywała się przy kuchni za parawanikiem, Karol przysiadł obok na zydelku z zapalonym papierosem.

— Powiedziałaś: jak mąż z żoną — jeszcze ciężko dyszał — w taki sposób zamęczysz mnie do rana — bierzmy się do jedzenia i chodźmy spać. Muszę wyjść o piątej.

— Nastawię budzik na czwartą — rozedmiała się — zgoda?

Pożegnali się prawie bez słów. Przez resztę nocy Karol spał jak suseł, pochrapując i na przemian prowadząc z kimś mamrotliwy dialog. Lodzia nie zdrzemnęła się ani na moment. Tuląc się do dużego, gorącego ciała Karola mogła się spokojnie wypłakać i pożegnać bez słów. Rano Karol przemył tylko twarz zimną wodą i wypalił papierosa do czarnej kawy. Ubrał się i w ostatnim momencie przypomniał sobie o kluczu.

— Nie będzie mi teraz potrzebny — powiedział z pewnym skrępowaniem.

— Nie — odsunęła jego rękę — wiesz, że nie jestem kurewką, która dorabia tylkiem do kelnerowania... Proszę, weź, może ci się kiedyś przyda, nikt o nas nie wie i może... zawsze mnie tu zastaniesz samą, a gdybym wyszła za mąż, też możesz na mnie liczyć.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że weźmiesz to — wysupłał z kondonierki przy spodniach złotą dwudziestodolarówkę i wcisnął w jej dłoń. Lodzia przez chwilę przyglądała się błyszczącemu krążkowi na otwartej dłoni, z twarzą bez wyrazu — weź, Lodziu, wiesz jakie są czasy, przyda ci się na czarną godzinę... No to, do cholery, weź zwyczajnie, na pamiątkę!

— Dobrze — uśmiechnęła się wreszcie — na pamiątkę zgoda. Nie żegnajmy się, Karol, dobrze?

— Masz rację, do widzenia — musnął ustami jej skroń i otworzył drzwi.

Na dworze jeszcze była noc, ale znał drogę. Przystanął w umówionej uliczce. Po pięciu minutach nadjechał samochód, dodge z brezentową budą. Grzeszczuk wychylił się z szoferki. Radłowski kiwnięciem ręki nakazał mu jazdę, wrzucił na skrzynię plecak i skoczył na burtę, błyskawicznie przerzucając się na drugą stronę. Na skrzyni ustawione były meble, jakaś zbieranina starych gratów. Odsunął orzechową szafę bez drzwi i jakby zabarykadował się przy szoferce. Przez nieduże okienko w kabinie zaczął obserwować puste i ciemne ulice, rzedniejący już mrok, cięty smugami reflektorów. Nagle w światłach pojawił się na poboczu willys i dwóch albo trzech mężczyzn w wojskowych mundurach; jeden z nich wyszedł na środek jezdni i dawał znaki latarką do zatrzymania. Radłowski wyjął parabellum i odbezpieczył, skulił się w swojej wnęce, gotów w każdej chwili wykonać szus do przodu, jeśli milicjanci zechcą przepatrzeć skrzynię. Nadstawiając czujnie uszu, wyłapywał fragmenty rozmowy, wydawało mu się, aż zesztywniał z wrażenia, że słyszy głos Kowala.

„To niemożliwe!... chyba te jechali po mnie. I o tej porze nasz dodge wydał się im podejrzany.... przechytrzyłem, to był błąd, trzeba było w dzień... To na pewno Kowal... Jeśli każesz odwalać graty, to się już nażyłeś, koniec z tobą, Bronku" — Radłowski był już całkiem opanowany, wierzył w skuteczność zaskoczenia i ich przewagę wspólnie z Grzeszczukiem, niezależnie od tego ilu tych patałachów ich zatrzymało. Rąbnęło go w głowę, gdy samochód gwałtownie ruszył do przodu, kucnął znów przy okienku: droga była pusta.

„No, to, Bronek, pomyślał, jeszcze ci tym razem śmierć nie była pisana, ale przy następnym spotkaniu któryś z nas zginie. I myślę, że to nie będę ja, major „Wilk".

Gdy wyjechali poza miasto zastukał w okienko. Grzeszczuk ostrożnie wyhamował tańczącego na gołoledzi dodge'a. Wysiadł z kabiny, żeby rozprostować nogi. Karol rzucił mu plecak i zeskoczył ze skrzyni. Był mocny wiatr, ślisko. Trzymając się burt doszli do szoferki, przytulnej i ciepłej. Karol zapalił papierosa, nie powiedział słowa.

— Miał pan broń, panie kapitanie? — nie wytrzymał wreszcie Grzeszczuk. Radłowski tylko błysnął mu przed oczami parabelką.

— A ty, Wydra?

— Miałem. Na wszelki wypadek — zaśmiał się głośno, z ulgą — na wszelki wypadek i ksiądz w spodniach nosi kutasa... Nic nie było panie kapitanie, w razie co, raz dwa by się zrobiło z nich nieboszczyków.

— A wiesz kogo mieliście zaszczyt poznać, sierżancie?... Samego szefa bezpieki, porucznika Kowala.

— Kapitana. Miał trzy gwiazdki, panie kapitanie.

— Panie majorze, Wydra.

— Przepraszam, panie majorze. Gratuluję awansu... dawno się panu należał, pan ma, za przeproszeniem, generalską głowę.

— Wydra! — warknął Radłowski — pilnujcie kółka, i dziób w ciup! Obudźcie mnie przed Radoszewicami — zamknął oczy i po kilku nieudanych próbach zapadł w sen Po godzinie jazdy Grzeszczuk dotknął jego ramienia. Natychmiast otworzył oczy, bystre, czujne.

— Przed nami Radoszewice, panie majorze, gdzie jedziemy?

— Tego się Wydra na pewno nie dowiecie, a teraz skręcicie przed lasem w prawo.

— Tak jest, panie majorze, im człowiek mniej wie tym lepiej, źle się wyraziłem, przepraszam.

— A ja żartowałem, sierżancie — klepnął go przyjaźnie w kolano.

(Na tym kończymy druk fragmentów powieści.)

— Gdzie jest właściciel?

— W gospodzie. Powiedz, żeby wracał natychmiast!

— Tu na niego lepi poczegam.

Z ósemki zrobiła się dwunastka. Wyła z uszczęśliwienia! Jałowe, skute chandrą południe zamieniło się w fiestę. Nawet Jacek zaczął histerycznie rechotać, co mu jednak szybko przeszło, gdyż odwróciwszy głowę, zobaczył na horyzoncie rowerzystę wiozącego na ramie kaprala. Kapral dawał chyba rowerzyście środki dopingowe, bowiem biedak naciskał z całej siły pedały i kolebał się z boku na bok jak Szozda na finiszowych metrach.

Dygocąc z rozdrażnienia i wściekłości Jacek patrzył na Gustawa i na brata, którzy wyszli leniwie z gospody. Szewc niósł trzy flaszki jakiegoś napitku, a Bernard torbę z bułkami. Jacek wrzasnął:

— Szybciej!

To samo wrzasnął kapral do rowerzysty:

— Szybciej, szybciej! Trza ich sprawdzić! B li w knajpie, może szarpnęli kielicha.

Szewc usiadł z tyłu, a Bernard za kierownicą. Przekręcił starter i dopiero wtedy zapytał:

— Co tu się dzieje?

— Idź do diabła! — wypalił z furią Wicher. — Facet chce kupić spodnie. Jedź!

— A tag, dag! — Gdakał żul zaparty rękami o przód samochodu. — Chcę gupić spodnie.

— Masz pieniądze?

— Mam.

— Pokaż!

— Do domu byśmy musieli podzgoczyć.

— No to podskoczymy do domu. Ja tam nieraz lubię zrobić po drodze mały interes. Gdzie mieszkasz?

— Tam! — Palec żula celował w kierunku przeciwnym. — Zawrócić by trzeba, gochany!

— Wsiadaj! — powiedział Bernard ku osłupieniu szewca i Jacka. — Albo nie! Przejdź na drugą stronę, bo tu nie wolno parkować, a z tyłu szpaki!

Szpaki nacierały z rozmachem. Widać już było spoconą, znękaną twarz rowerzysty i suchą wykrzywioną gniewem buzię ambitnego kaprala. Kapral był równie blisko śmierci, co i sławy, mogącej odmienić cały jego parszywy los. Zamierzał akurat wrzasnąć do żula i do zerupowanej na chodniku ferajny:

Trzymajta ich! Trzymajta!

Nie zdążył jednak dokończyć rozkazu. Uspokojony co do szlachetności zamiarów Bernarda wyrostek podreptał na przeciwległy chodnik, a Bernard przydusił akcelerator i odjechał wysprzęglając i wrzucając kolejno drugi i trzeci bieg. Czwartego nie wrzucił i Wicher zaperzył się z gniewu.

— Musisz się wlec?!

— Muszę. Nie wolno sprawiać wrażenia, że uciekamy.

— O mało nie dostałem przez was zawału!

— Za młody jesteś na takie sensacje.

— Oszczędź mi jednak dodatkowych wzruszeń.

— W porządku. Od tej pory będziesz miał spokój!

Wchłonęły ich lasy za Tuszynem. Minęli je i zatrzymali się na słonecznej łące, rozpostartej w kierunku jakiejś wsi o przycupniętych do ziemi chatach pod słomą. Za strumykiem pasły się krowy na łańcuchach, w drzewach świergoliły ptaki, a las pachniał odurzająco świeżym igliwiem.

— Przeliczymy chyba teraz pieniądze? — napierał szewc.

— Nie — powiedział stanowczo Bernard. — Przeliczymy po zmroku.

— Przecie tu pusto!

— Dosyć, Gustaw! Weźmiesz dolę, nie wyrucham wspólnika, ale przestań marudzić. Połóż się w cieniu i odpocznij!

Jacek zaczął ściągać koszulę i spodnie.

— Gorąco? — zapytał brat.

— Poopalam się trochę.

Bernard sprzeciwił się i temu.

— Opalenizna prowokuje pytania.

— Więc co mam robić?

— Położyć się pod drzewem i przespać.

— Nie chce mi się spać.

— To idź na spacer.

Zjedli po drugiej bułce z salcesonem i popili oranżadą. Cmili papierosy i czekali niecierpliwie na zmierzch. Niewykluczone, że był to najdłuższy dzień w ich życiu. Piątek! Szewc marzył, aby urżnąć się winem w ruderze na terenie ogródków działkowych, Bernard marzył o gorącej kolacji i kilku kieliszkach wychłodzonego poloneza, a Jacek marzył o łóżku, w którym mógłby pomarzyć o Gejszy.

Kiedy ściemniało, wrócili na tuszyńską szosę, a potem, u granicy województwa łódzkiego i piotrkowskiego, znowu wjechali w las. Z wąskiej wyboistej drogi skręcili w przecinkę. Wicher i szewc nie wiedzieli, że Bernard wybrał to miejsce już wcześniej i że kazał im kopać pięć metrów od szosy, na której nieznany kochanek, odłupawszy korę, wyżłobił ostrzem noża przeszyte strzałą serce. BOŻENIE-ZYGMUNT. Nie! o tym Wicher i szewc nie wiedzieli kopiąc na zmianę saperką Bernarda głęboki dół, w którym spoczął (na wieki, jak im się zdawało) pusty sakwojaż o złocistych okuciach, trzy pary gumowych rękawic, dwa rewolwery, dwa motocyklowe kaski, dwie pary ubłoconych spodni i dwie pary starych ubłoconych butów.

Udeptali ziemię, a jej nadmiar rozsypali po krzakach. Grób przykryli gałązkami i cisnęli nań garść zeszłorocznych szyszek. Bernard skierował latarkę na samochód.

— Wsiadamy.

— I liczymy! — Głos szewca drżał ze zdenerwowania.

— Dobra, możemy liczyć.

Trzykrotnie dokonali operacji liczenia. Doliczyli się pięciuset grubszych (banknoty pięciotysięczne) i cieńszych (banknoty dziesięciotysięczne) paczek, co dawało w sumie okrągłych pięćdziesiąt milionów. Każda paczka zawierała sto tysięcy.

Uczcili ten doniosły fakt chwilą milczenia, po czym zaczęły się targi. Znarkotyzowany widokiem pieniędzy szewc oddychał ciężko, gotów w każdej chwili podjąć działania zaczepne. Zwinął pięści; chłonął dym i przełykał ślinę. Kalkulował. Był zadowolony, że Parany poszły w piach, lecz tak czy owak miał przed sobą dwóch zdecydowanych na wszystko przeciwników. Nie trzeba było żadnych słów, aby wiedzieć, że sojusz został zerwany. Zagrała w szewcu chciwość i zagrały namiętności. To samo zresztą udzieliło się braciom.

Wolno i ponuro wypowiedział Gustaw swą wolę:

— Należy mnie się trzecia część. Należy mnie się siedemnaście milionów.

Przeczuwał kontrę i nie mylił się. Bernard położył mu na szyi swoją wielką, mocarną dłoń i powiedział miękko:

— Dziesięć.

Szewc nie pokazał tego, ale uspokoił się w duszy. Przewidywał niższy pułap, od którego musiałby windować wysokość swego udziału. Dobrym graczem okazał się Kopyto. Zamiast popuścić trochę w targach, odsunął na później sprawę pieniędzy i zapytał:

— A to niby czemu? Wykombinowałem motur, nie poszkapiłem na drodze, przeprowadziłem samochód przez to sakramynckie miasto.

— I chwała ci za to, Gustaw! — rzekł czule starszy brat. — Byłeś wspaniały, tyle tylko, że nie narażałeś się bezpośrednio, nie wyrywałeś pieniędzy ze szponów uzbrojonego konwoju i nie strzelałeś.

— Skąd ja niby wiem, że ty strzelałeś?

— Dowiesz się o tym jutro z radia, z gazet i z telewizji. Tak, tak, Gustaw! Strzelałem. Ostro! Nie tylko w nogi. Jacek też wywalił cały bęben. Zostawiliśmy na chodniku dwóch ciężko rannych facetów, których patroszą teraz w szpitalu. Specjalnie mówię ci o tym, żebyś rano nie był zdziwiony, bo będą o nas pytlować na każdym kroku, w każdym domu i w każdym sklepie. Wszędzie! Brałeś udział w polskim napadzie stulecia i musisz o tym raz na zawsze zapomnieć. Dziesięć, Gustaw!

— Piętnaście!

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

23

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Bernard podał mu worek z żaglowego płótna przyobleczony w osłonę bladego plastyku.

— Ładuj!

— Ile?

— Dwanaście, ale to jest ostatnie słowo!

— Twoje, nie moje — mruknął szewc układając w worku paczki. Nie miał powodów do narzekań, lecz instynkt podpowiadał, że trzeba się droczyć.

— Trzynaście.

— Po co się szarpać, Gustaw?

— Pobijeta mnie? — I sam sobie odpowiedział: w razie czego — pobiją! Zatłuką i wykopią drugi dół. Dwóm nie dam rady! Przerażało go milczenie Jacka i nieruchoma, groźna twarz ekonomisty. — Dobra! — zgodził się nagle.

Bracia milczeli.

— No, dobra, dobra!

Bracia w dalszym ciągu milczeli. Przebiegła między nimi jakaś iskra i Gustaw wyczuł to natychmiast.

— Ogłuchliśta, do pieruna?! Dwanaście!

W lesie błysnęło jakieś światło i Bernard zgasił latarkę. U dachu peugeota ćmiła lampka, ale i ona została zgaszona. Cisza naciekała do samochodu przez otwarte okna i drzwi. Huknął puszczyk. Chłodny, nocny wiatr targnął gałęziami drzew i poszybował w głuszę. Zapłonęły w ciemnościach czyjeś zielone ślepia — może był to kot, może żbik, dość, że wpatrywał się w samochód z dociekliwością szpicla. A później znowu huknął puszczyk i zwierzę odeszło. Las oddychał swoim tajemniczym nocnym życiem — szemrał i groził tak, jak szemrzą i grożą potępione dusze.

Szewc poczuł, że włosy stają mu dęba. Poczuł mrowie i strużkę potu na krzyżu, i powiedział gwałtownie.

— Jedenaście!

Bracia nie reagowali.

— Dziesięć! Niech będzie dziesięć!

Wtedy Bernard zapalił latarkę, najechał czołem na szewca i wlepiwszy w niego swoje mądre, ponure oczy, zapytał:

— Co się z tobą dzieje, do diabła?! Przestań wariować, ja nigdy nie zmieniam zdania. Miałeś wziąć dwanaście, bierz dwanaście!

— Nie robisz zgrywów?

— Nie.

— Samowity kizior z ciebie!

— Z ciebie też jest równy gość, Gustawie. Nigdy u nikogo innego nie będę reperował butów, ale pamiętaj: od tej pory nie znamy się już.

— Tak — przytaknął skwapliwie Gustaw sznurując worek i pakując go do torby. — Nie znamy się już. Koniec!

Bernard z trudem upchnął w worku trzydzieści osiem milionów i w żaden sposób nie zdołał wcisnąć go w swoją niewielką torbę. Zatem wziął wolne Montany i włożył worek w nogawkę. Wyprowadził wóz z przecinki i ruszył ku szosie sondując uspokojonego i radosnego Gustawa:

— Gdzie twoja żona?

— Na wsi.

— To ja cię teraz zawiozę do domu, a ty wskoczysz na motor i przenocujesz na działce, żeby wszystko było po staremu. Wino masz?

— Mam.

— Znakomicie! Ale nim się schlejesz, zakop szmal i nie tykaj go przez kilka miesięcy.

Gustaw kiwał posłusznie głową.

— Nie tknę.

— Wytrzymasz jakoś?

— Wytrzymam.

— I dobrze na tym wyjdziesz, zaufaj mi! Mogli rutynowo wynotować numery i serie.

Zadumał się, ale końcówka planu nie nastręczała już trudności. Dowody przestępstwa znikły — nikt ich nie znajdzie, włącznie z Jackiem i szewcem, gdyby zaświtała im przypadkiem w głowie taka myśl. Pozostało ukryć worek w ustępie: wyciągnąć ze ściany kafel-mydelniczkę i powiesić go na motylku kurka, który przez dwadzieścia trzy lata dźwigał cierpliwie naboje i broń. Jak to dobrze, że pozbył się broni! Jest czysty, absolutnie czysty! Wszyscy trzej są czyści! Ile to będzie baksów z tych trzydziestu ośmiu milionów? Dolar stał wówczas po tysiąc czterysta — tysiąc pięćset złotych, a więc miał około dwudziestu tysięcy papieru. W Polsce był to majątek, ale i w Meksyku przeżyje się za to ładnych parę lat. Z takim kapitałem śmiało można otworzyć bar albo pensjonat, albo pralnię, albo niewielki sklep z konfekcją...

Zahamował u naroża ulicy, przy której mieszkał Gustaw i Jacek. Uścisnął szewcowi dłoń i powiedział:

— Żegnaj! Lepiej, żeby nie widzieli nas razem.

Szewc burknął coś w odpowiedzi; zawahał się moment, jakby zamierzał wszcząć na nowo pertraktację, wysiadł jednak i zniknął na razie z ich życia.

2.

Dopiero w sobotę wieczorem Francis James Moliński miał zaszczyt odwiedzić Gejszę w jej luksusowym śródmiejskim mieszkaniu. Był zachwycony i wcale tego nie ukrywał.

— Nie sądziłem, że są w Polsce takie rezydencje.

— Jakie niby?

— Bogate i pańskie.

— Nie przesadzaj, kochany. Brakuje mi jeszcze wielu rzeczy.

— Na przykład?! — zapytał skwapliwie Szkot sygnalizując, że jest skłonny momentalnie uzupełnić te godne ubolewania braki, a potem, kiedy pójdzie już z dziewczyną do łóżka i wykorzysta ją należycie, oświadczy z miną poczciwą i słodką, że nie wziął akurat drobnych.

Gejsza nie próbowała go jednak naciągać. Z kuchni dolatywały Jamesa smakowite aromaty. Na stołach i półkach roiło się od butelek, a w ściennym barze, który otworzyła przed nim szeroko, było ich jeszcze więcej — pluton sławnej szkockiej piechoty stanąłby na rzęsach, a potem runął na pysk po wypiciu tych zapasów.

Lód przyniosło dziewczę w kryształowym pojemniku i widząc, że gość zdradza oznaki skrępowania i niepewności, zaproponowało mu drinka.

— Armagnac — wychrypiał James obserwując łakomie, lecz ukradkiem obfity, nie skrępowany stanikiem biust dziewczęcia. Sutki sterczały przez lekką, jedwabną, różową tym razem sukienkę i Szkot wysnuwał z tego optymistyczne prognozy. — Jeśli można, oczywiście?

— Można. — Podała mu butelkę. — Help yourself, nie krępuj się. Widzę, że masz dobry gust.

— Nie narzekam — odparł skromnie poddany Jej Królewskiej Mości. — Here's to you!

— Ja też wypiję.

— A little but not very much?

— Dlaczego? Dzisiaj będę towarzyszyć ci jak mężczyzna mężczyźnie.

Trącili się dużymi, pękatymi kieliszkami. W chwilę później Szkot wpadł w znakomity nastrój. Siedział obok Gejszy na wygodnej skórzanej kanapie i obejmował ją ramieniem. Mruczała cicho stereofoniczna wieża. Śpiewał z płyty kompaktowej Black, grał James Last, a potem wysłuchali „Czterech pór roku" Vivaldiego. Alkohol i muzyka rozluźniły poddanego Jej Królewskiej Mości do tego stopnia, że zaczął całować dziewczynę — namiętnie, żarłocznie, z pasją i z dziką radością, bowiem Gejsza oddawała mu pocałunki. Czuł w ustach i na dziąsłach jej gorący, zwinny język. Chłonął zapach młodego, zdrowego ciała, wtulał twarz w złociste miękkie włosy. Niebawem przestało mu to wystarczać i zdobył się na śmielszy gest odkrywając z szaloną satysfakcją, że dziewczyna jest bez majtek — cudownie wilgotna i gotowa. Wziął ją na ręce i zaniósł do pastelowej sypialni. Nie udawała. Pragnęła gwałtownie mężczyzny i kiedy powiedział rwącym się ze wzruszenia głosem:

— I want you!

Wyszeptała mu w ucho:

— I want you too, hurry up!

Śpieszył się więc. Skopał spodnie i ściągnął koszulę z takim rozmachem, że prysnęły guziki. Wszedł w nią, był jednak straszliwie podniecony — powstrzymywał się wszelkimi siłami; próbował myśleć o sprawach obojętnych: o kontraktach, o kafelkach i terakocie, o wstrętnym i nieufnym nochalu mamusi, której z całą pewnością Gejsza nie przypadnie do gustu, o młodszej siostrze, która była beznadziejnym przypadkiem erotomanki i co miesiąc zachodziła w ciążę, o wuju, który zaraził się w koloniach syfilisem i zmarł bezdzietnie w wieku czterdziestu lat. Czynił, krótko mówiąc, wszystko, aby nie zawieść kochanki i nie wyprzedzić jej w owym cudownym wyścigu, w owej pasjonującej pogoni za kwintesencją szczęścia, a Gejsza miała tego świadomość i nie ponaglała go, gdy przerywał, czekając na odpływ tłumionego, trzymanego w cuglach wezbrania.

Jest dobry — myślała. — Jest cholernie dobry! Jest znakomity! Pierwszy raz mu nie wyjdzie, ale drugi będzie dla nas obojga ogromnym przeżyciem.

— Nie przejmuj się! — Dotknęła mokrymi wargami policzka mężczyzny.

— Czym?

— Miłością. Idź!

Spotęgowana słowami rozkosz była tak wielka, że poszedł, a ona, czując w sobie wrzące, obfite nasienie, dogoniła go w ostatniej chwili i omdlała mu w ramionach ze skowytem.

C.D.N.

Na Bałuckim Rynku wcześnie rano

Pachnący szmal

Jest 12 maja 1989 roku. Za chwilę wzejdzie słońce. Na targowisku, po którym w dzień przechadzają się gołębie, za pół godziny gruby szmal zacznie przepływać z rąk do rąk.

Podjeżdża duży fiat. Kierowca leniwie się przeciąga, później na dach wykłada pęki goździków. Nadjeżdżają następne auta — polonezy, „maluchy", jest kilka syren i trabantów. Otwarte bagażniki i dachy samochodów zakwitają goździkami, gerberami, frezjami... Niektóre pojazdy pod warstwą asparagusa i innych przybraniowych zieloności wyglądają jak zamaskowane. Zjawiają się kupcy.

— *Róża po 250, ale ładna świeża. Po co ja to mówię, przecież pani sama widzi jaki ładny kwiat.*

Komu nie bardzo się śpieszy, z kupnem czeka na później. Za jakieś trzy godziny ceny może trochę spadną, ale na giełdzie kwiatów trzeba być od początku, bo może zdarzy się jakaś okazja.

Mężczyzna w niebieskim kapelusiku wkłada za samochodowe wycieraczki bilety i pobiera „placowe" — 500 złotych. Przy okazji dla celów sobie tylko wiadomych notuje ceny kwiatów. Kiedy kwiatami handlowano obok Hali Sportowej, zarząd giełdy na specjalnej tablicy wypisywał ceny, jakie powinny obowiązywać, zaś badylarze ustalali ceny „równowagi rynkowej". Tutaj ceny ustalają tylko sprzedający oraz popyt na towar.

— *Po ile goździk? Eee! Mrożony, to nie chcę.*

Dwóch mężczyzn z volvo i mercedesa na piotrkowskich numerach szybko przebiega giełdę. Jakoś nic nie mogą kupić. Ceny za wysokie. Decydują się pojechać do Warszawy.

— *Przyciśniemy i za dwie godziny będziemy na miejscu. Kupi się na tydzień, a Waldkowi i Kryście też trzeba wziąć.*

Kupujących przybywa, ilość sprzedających już się ustaliła — coś około 60 samochodów.

— *Po ile zielenina do kwiatów? Sześć i pół tysiąca? Trzy kilo wezmę za piętnaście i pięć rolek wstążek. Nie? No to nie, pójdę gdzie indziej.*

Na rynek wjeżdża biały fiat bis. Za kierownicą sympatyczna blondynka. Oprócz fotela kierowcy wszystkie miejsca w samochodzie zajęte przez frezje. Zanim potencjalni nabywcy zdążyli się zastanowić, ile wiązek kupić, bo przy cenie 200 złotych za sztukę 150 to bardzo mało, kwiaty zostały sprzedane:

— *Biorę wszystkie* — wysoki grubas w skórzanej kurtce otwiera saszetkę wypełnioną równiutko ułożonymi banknotami.

Sprzedający beztrosko gwarzą sobie, niby nie zwracając uwagi na kupujących. Odchodzą od swoich samochodów, kradzieży się nie boją choć kilka tygodni temu ukradziono tutaj portfel z trzystoma tysiącami złotych.

— *Jak pani idą te róże? Ja kiedyś miałam też na takich długich łodygach ale ludzie nie brali. A to przecież tak ładnie wygląda.*

Prócz kwiatów i wstążek do ozdabiania wiązanek czasem przy samochodzie pojawi się skrzynka z pomidorami lub sałatą. Kilka kobiet sprzedaje konwalie, których zrywanie w „naturze" jest zabronione. Tutaj są po 120—150 złotych, a w lesie za bukiecik trzeba płacić 5 tysięcy.

Jakiś młody chłopak kupuje goździki. Mówi, że nie potrzebuje rachunku, ale właściciel kwiatów radzi, aby zawsze brał rachunek, bo jak zaczepią „niebiescy", to można się wylegitymować, że nie sprzedaje się kradzionego. Tuż obok właścicielka gerber tłumaczy jakiemuś detaliście, że cena gerber nie spadnie, bo „ruscy" w eksporcie dobrze płacą i nikt nie będzie tracił na interesie.

Ktoś się zżyma, że 1000 złotych za anturium to zbyt dużo, ale zaraz jest uświadamiany, że „gówno drożeje, a kamieniami ziemi nawozić się nie da".

Samochody pozbawione kolorowego i pachnącego ładunku powoli opuszczają targowisko. Badylarze nie śpieszyli się ze sprzedażą. Najwytrwalsi z nich do domów odjadą około dziewiątej. Od dziesiątej pieniądze, które właściciele kwiaciarni zainwestowali w towar zaczną się zwracać, po południu będzie już duży zarobek.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

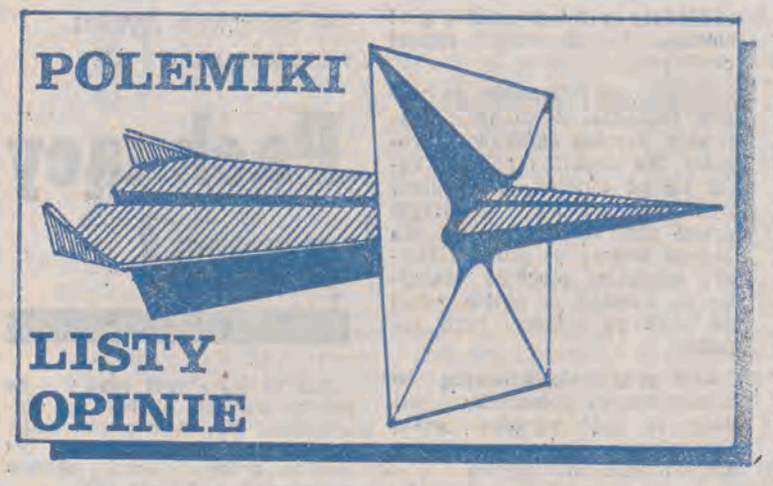

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

PEŁNIEJSZY ZARYS SPORÓW W (NIELEGALNEJ WÓWCZAS) „SOLIDARNOŚCI"

W nrze 16 (1620) „Odgłosów" zamieszczony został „Krótki zarys sporów w (nielegalnej) „Solidarności", będący relacją ze spotkania zorganizowanego przez uczelniane struktury NSZZ „Solidarność". Z żalem stwierdzam, że relacja ta, sporządzona przez obecnego incognito dziennikarza, ma szereg niedoskonałości. Nosiłem się początkowo z zamiarem napisania artykułu opartego ściśle o zapis magnetyczny spotkania. Zrezygnowałem z tej myśli, bo stenogram z 4-godzinnego spotkania nadaje się raczej na broszurę niż na publikację prasową. Ograniczę się więc do wskazania głównych ułomności relacji oraz do pozytywnego przedstawienia jednej kwestii.

Ułomności są następujące:

1. Marek Koprowski pominął część pytań, natomiast przytoczył fragmenty mojej na nie odpowiedzi. Stąd Czytelnik może czuć się zaskoczony:
   a) nagłymi zmianami tematu relacjonowanej odpowiedzi na poprzedzające ją, wybite tłustym drukiem pytanie,
   b) brakiem związku odpowiedzi z pytaniem — szczególnie rażącym w ostatniej „odpowiedzi", stanowiącej zbitkę dwóch odpowiedzi na dwa pytania, całkiem inne niż to, które wydrukowano.

2. Nie oddzielono w tekście, choć w wypowiedzi na spotkaniu czyniłem to wyraźnie, mojej relacji o wypowiedziach i ocenach dokonywanych przez innych (np. przez A. Celińskiego czy J. Kuronia) od moich ocen i wypowiedzi. W ten sposób Czytelnik mógłby odnieść m.in. wrażenie, że mam cokolwiek wspólnego z „doktryną o negatywnych postaciach symbolicznych" (moim zdaniem obłudną), która była jedną z podstaw polityki eliminacji i czystki stosowanej wobec niektórych wybranych i aktywnych działaczy Związku (np. M. Jurczyka, S. Jaworskiego, A. Rozpłochowskiego) przez tych działaczy lewicy laickiej, którzy prawem kaduka uznali się za właścicieli Związku i „trenerów-selekcjonerów" jego kadry. Najzabawniejsze — mówiłem na spotkaniu — było to, że o prawie do kierowania Związkiem i o ważności mandatów pochodzących z wyborów czuli się uprawnieni decydować ci, którzy sami nigdy takich mandatów nie mieli.

3. M. Koprowski pominął w swojej relacji szereg moich wypowiedzi mających bezpośredni związek z zadawanymi przez uczestników spotkania (i wydrukowanymi w waszym czasopiśmie) pytaniami. Szczególnie ucierpiała tu odpowiedź na pierwsze pytanie (o prace i osiągnięcia Grupy Roboczej Komisji Krajowej). Pozwolę sobie tu przypomnieć (w bardzo dużym skrócie) główne stwierdzenia wówczas wypowiedziane:

„Prehistorię" Grupy Roboczej Komisji Krajowej stanowiło „seminarium" zorganizowane przez J. Kuronia zimą 1984/1985 r. Obejmowało kilkadziesiąt osób, głównie członków Komisji Krajowej. Spotkania odbywały się raz na miesiąc i omawiano na nich sytuację w kraju i w Związku. Ich bezpośrednim wynikiem były oświadczenia w ważnych sprawach publicznych podpisywane nazwiskami przez 40—50 osób. Teksty i nazwiska sygnatariuszy były publikowane.

Spotkania były konspiracyjne — oświadczenia i nazwiska sygnatariuszy były jawne. A. Słowik, G. Palka i ja należeliśmy do grona uczestników i sygnatariuszy. „Seminarium", w przekonaniu wielu jego uczestników, stanowiło formę przygotowawczą do wznowienia (po włączeniu w jego skład członków niejawnej TKK) Komisji Krajowej Związku. We wrześniu 1986 roku J. Kuroń zgłosił koncepcję utworzenia „wielkiej rady" — tymczasowego jawnego kierownictwa Związku w oparciu właśnie o skład osobowy „seminarium", uzupełniony o członków TKK i „niektórych działaczy opozycji", zasłużonych dla „Solidarności". Koncepcja nie została zrealizowana.

Po powołaniu „małej rady" czyli TRS (Tymczasowa Rada „Solidarności" IX 1986 r.), „seminarium" zaczęło być przez J. Kuronia, H. Wujca i ich zwolenników przekształcone w spotkania rad regionalnych". Zwolennicy zachowania statutowej i programowej tożsamości NSZZ „Solidarność" byli stopniowo eliminowani ze spotkań. Nas przestano zapraszać w lutym 1987 r. Wiążemy to bezpośrednio z faktem przedstawienia przez nas projektów dwóch dokumentów:

1. wniosku do Trybunału Konstytucyjnego upominającego się (w przeciwieństwie do znanej inicjatywy grupy prawników z jesieni 1986 r.) nie tylko o pluralizm związkowy, ale także konkretnie o NSZZ „Solidarność".

2. listu do Papieża w związku ze spodziewaną III Pielgrzymką, kierowanego za pośrednictwem Prymasa i Episkopatu Polski.

Innym wątkiem „prehistorii" Grupy Roboczej były działania Andrzeja Słowika, w których my i inni działacze Związku go wspieraliśmy (także TKK). Zmierzały one do przeforsowania afiliacji NSZZ „Solidarność" w Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych i w Światowej Konfederacji Pracy. Fakt, że się to udało jest jego ogromnym (choć oczywiście nie wyłącznie jego) sukcesem osobistym. Andrzej Słowik naraził się tym działaniem wielu działaczom lewicy laickiej — podobnie jak działaniami blokującymi „przesterowanie" zagranicznej pomocy związkowej. Za wcześnie jeszcze mówić o wszystkich szczegółach i okolicznościach tych spraw i działań.

Ważnym momentem była rozmowa Andrzeja Słowika z Lechem Wałęsą w czerwcu 1986 roku, w której Andrzej przedstawił groźbę utraty związkowego image przez „Solidarność" wobec zagranicznych związków zawodowych oraz groźbę utraty wiarygodności w środowiskach pracowniczych. Lech przyjął plan Andrzeja, by powołać Ośrodek Badań Społeczno-Zawodowych i utworzyć „komisję związkową". Zlecił Andrzejowi realizację, obiecał fundusze, nakazał przedstawienie propozycji personalnych. Umówili się na „wrzesień — październik".

Z pomocą kolegów Andrzej Słowik wywiązał się z zadań — OBSZ został utworzony i w początkach października była już pierwsza ekspertyza i projekt stanowiska w kwestii płacy minimalnej.

Zdecydowanym impulsem dla uformowania się Grupy Roboczej był fakt powołania przez L. Wałęsę, pod silnym naciskiem J. Kuronia i Z. Bujaka tzw Tymczasowej Rady „Solidarności" (TRS) we wrześniu 1986 r. Określiła one sfery swego zainteresowania: ogólnie — porozumienie społeczne, szczegółowo: reforma gospodarcza, ekologia i patologie społeczne.

Lech Wałęsa zaniepokojony zarówno „jednobarwnością" polityczną składu TRS, jak i sposobu w jaki wymuszono na nim jej powołanie wystąpił z koncepcją szerszej rady „czterosegmentowej", w której TRS byłaby jednym segmentem („radą polityczną"). Pozostałe segmenty: „związkowy", „praworządności" i „gospodarczy" miały powstać w bliskim czasie. „Segment praworządności" powstał jako Komisja do spraw Interwencji i Obrony Praworządności pod przewodnictwem Z. Romaszewskiego (wywołało to niesłychane zdenerwowanie w kręgach opozycji kierowanej przez A. Michnika i J. Kuronia, z którymi Z. Romaszewski był wówczas w konflikcie). „Segment związkowy" mieli zorganizować Seweryn Jaworski i Andrzej Słowik. W wyznaczonym przez Lecha Wałęsę terminie zjechało do Gdańska 7 osób: Grzegorz Durski i Marian Jurczyk ze Szczecina, Seweryn Jaworski z Warszawy, Grażyna Wendt z Płocka oraz Jerzy Kropiwnicki, Grzegorz Palka i Andrzej Słowik z Łodzi. Zgłosili gotowość działania jako „segment związkowy". Andrzej Słowik poinformował o utworzeniu OBSZ i przedstawił dwa projekty dokumentów: „Odpowiedź związkowcom włoskim w związku z ich stanowiskiem przed zapowiedzianą wizytą gen. W. Jaruzelskiego w Rzymie" i „Stanowisko w sprawie płacy minimalnej".

Niestety Lech Wałęsa wycofał się z własnej propozycji (było już po osiągnięciu kompromisu między J. Kuroniem i A. Michnikiem a B. Geremkiem i A. Celińskim). Wyraził ogólne błogosławieństwo dla działań, ale odmówił ich firmowania. Tę ogólną aprobatę potwierdzał jeszcze kilkakrotnie w rozmowach z G. Palką, G. Wendt, S. Wądołowskim, J. Kropownickim i A. Słowikiem. Od listopada 1986 r. członkowie niedoszłego „segmentu związkowego" spotykają się regularnie raz na miesiąc, w różnych miastach (najczęściej w Łodzi). Sygnowali w sumie kilkadziesiąt dokumentów zawierających stanowisko w kwestiach bytowych (minimum socjalne, koszty utrzymania, płaca minimalna, zasiłki rodzinne, zasiłki opiekuńcze, zatrudnienie zawodowe kobiet, praca nocna kobiet itd. itp.) oraz w sprawach wewnątrzzwiązkowych.

Wspomniani członkowie „segmentu związkowego" na kolejnych spotkaniach postawili, w oparciu o analizę dokumentów TRS i zachowań grup politycznych stanowiących jej rzeczywiste polityczne kierownictwo następującą diagnozę:

1. Uruchomiony został obcy Związkowi proces eliminacji działaczy i środowisk nie podporządkowanych politycznemu kierownictwu J. Kuronia, A. Michnika, B. Geremka i A. Celińskiego. Oznacza to groźbę utraty przez „Solidarność" charakteru pluralistycznego.

2. Jedność Związku jest rozumiana i realizowana przez TRS i jej polityczne kierownictwo poprzez czystkę i eliminację, a nie poprzez łączenie i inkorporację. Oznacza to łamanie zasady solidarności.

3. Zasada nominacji wchodzi w miejsce zasady wyboru. Oznacza to naruszenie demokratycznego charakteru Związku.

4. Lekceważony jest Statut Związku. Oznacza to lekceważenie praw dobrowolnie przejętych.

5. Lekceważone są wyniki wyborów z 1981 r. Oznacza to dalszy dowód lekceważenia dla procedur demokratycznych i groźbę zerwania ciągłości istnienia Związku.

6. Lekceważona jest problematyka związkowa.

7. W otoczeniu L. Wałęsy nie ma już doradców, którzy w 1980—81 r. symbolizowali łączność Związku z Kościołem.

W sumie pojawia się realna groźba przeobrażenia Związku, bez pytania jego członków o zgodę, w organizację quasi-partyjną, lewicową, nawiązującą w polityce wewnętrznej do praktyk obcych zasadzie solidarności, a właściwych partiom komunistycznym zwłaszcza w okresie stalinowskim.

Zagrożona jest także łączność Związku z Kościołem i łączność z tradycjami narodowymi. Zewnętrzne gesty L. Wałęsy i sentyment większości członków Związku nie będą na dłuższą metę w stanie zrównoważyć rozwiązań strukturalnych, organizacyjnych i programowych.

Pojawia się także groźba utraty przez „Solidarność" wiarygodności w załogach pracowniczych i w międzynarodowym ruchu związkowym.

Na podstawie tej analizy postawiliśmy sobie jako cel główny walkę o zachowanie tożsamości NSZZ „Solidarność":

— jako organizacji pluralistycznej, w której jest miejsce dla wszystkich poglądów i opcji politycznych,

— jako organizacji demokratycznej w sposobie kreowania swych władz i podejmowania decyzji i lojalnej w stosunku do wyników tych decyzji.

— jako budującej jedność poprzez szukanie wspólnego dobra i otwartej, a nie poprzez eliminację ludzi i instytucji,

— jako organizacji wiernej swym prawom, zwłaszcza Statutowi,

— jako Związku Zawodowego, którego pierwszym i podstawowym zadaniem jest obrona godności i praw ludzi pracy w szerokim kontekście praw człowieka i obywatela.

Ten program miał być realizowany poprzez inicjowanie badań naukowych, prowadzenie działań organizacyjnych, publikowanie oświadczeń i dialog z grupą stanowiącą rzeczywiste kierownictwo polityczne TRS. Program zyskał pewną atrakcyjność wśród działaczy Związku. Nasze grono powiększało się. Dołączyli się tacy działacze jak A. Gwiazda, J. Rulewski, S. Wądołowski, Z. Kokot. Z. Mroziński, w różnych okresach współpracowali z nami Z. Romaszewski, L. Dymarski, M. Jaworski (Kielce) — pod niektórymi naszymi dokumentami figurowały podpisy ponad 20 członków wybranej w 1981 r. Komisji Krajowej oraz kilkunastu działaczy struktur podziemnych.

W marcu 1987 r. zespół kilkunastu osób określił się jako Grupa Robocza Komisji Krajowej. Oznaczało to jednocześnie, że podejmujemy starania o zwołanie Komisji Krajowej w składzie oryginalnym, ale bez emigrantów i bez osób, które zdradziły Związek, za to powiększone o działaczy TKK. Stwierdziliśmy, że uznajemy zarówno mandaty z wyboru jak i nabyte za obowiązujące, w szczególności uznaliśmy mandaty Komisji Krajowej i jej przewodniczącego Lecha Wałęsy.

„Negocjacje" nie dały żadnych rezultatów. W porozumieniu z Lechem Wałęsą przygotowaliśmy wniosek o zwołanie Komisji Krajowej. Lech zobowiązał się także do podpisania naszego wniosku do Trybunału Konstytucyjnego oraz do przydzielenia środków na potrzeby Ośrodka Badań Społeczno-Zawodowych. Obydwa wnioski zostały mu złożone we wrześniu 1987 r. Odmówił podpisania i przyjęcia. Nie przydzielił też żadnych obiecywanych wielokrotnie środków. Widocznie już nie mógł. Na listy nie odpowiadał. Dokumenty nasze dostawał regularnie — do wiadomości.

Na jesieni 1987 r. z inicjatywy Lecha Wałęsy ujawnili się dwaj ostatni używający nazwisk członkowie TKK. TRS połączyła się z TKK — w rzeczywistości wchłonęła niektórych jej przedstawicieli. Grupa Robocza oprotestowała to wydarzenie jako kontynuację tego samego wewnątrzzwiązkowego zamachu stanu.

Byliśmy w sporze programowym w każdym istotnym punkcie polityki bieżącej (wymieniam kilka przykładowo)::

— za nazewnictwem statutowym, a przeciw nowotworom w rodzaju „rada", „komitet założycielski" jako pozastatutowym

— przeciw rejestrowaniu komisji zakładowych w sądzie, a za ich zgłaszaniem władzom Związku i dyrekcjom

— domagaliśmy się „Solidarności", a nie tylko pluralizmu bez „Solidarności"

— za porozumieniem narodowym, ale nie poniżej oczekiwań społecznych.

Spór nasilił się na jesieni 1987 r., po opublikowaniu wywiadu A. Celińskiego w „Newsweeku" (23 XI 1987) i broszury J. Kuronia „Krajobraz po bitwie", w których postawili oni tezę o zamknięciu historii „Solidarności" jako Związku Zawodowego i o konieczności przekształcenia „Solidarności" w ruch społeczno-polityczny ewoluujący w kierunku partii. Oprotestowaliśmy to uważając, że:

— nikt prócz Zjazdu „Solidarności" nie ma prawa decydować o losach Związku

— przeobrażenie Związku w partię nasili proces eliminacji działaczy, członków i instytucji, a jak ktoś chce założyć partię — to może to zrobić poza Związkiem

— ocena jest błędna — nie uwzględnia ani bieżących aspiracji pracowniczych, ani konieczności istnienia związku zawodowego w każdym społeczeństwie, gdzie jest pracodawca i pracobiorca.

Wiosna i lato 1988 dowiodły, że oceny lewicy laickiej były błędne. Strajki udowodniły, że w środowiskach pracowniczych „Solidarność" jest przede wszystkim związkiem zawodowym — i nie mają one zamiaru z tego zrezygnować. Jest to jednak grupa bardzo elastyczna i potrafiła się dostosować zachowując kontrolę nad Związkiem i L. Wałęsą.

W świadomości nacisku potrafili tak się przeformułować, że mamy ostatecznie „Solidarność" — związek zawodowy z prawie tym samym statutem. Utrzymali jedno: zasadę eliminacyjną podważającą sens słowa solidarność. Dla swych aspiracji politycznych znaleźli odpowiednią formę: Komitety Obywatelskie odwołujące się do symboli i siły Związku.

Grupa Robocza odniosła gorzkie zwycięstwo: znaczna część jej programu została zrealizowana przez przejęcie go i jej kosztem.

Dlaczego tak mało było wiadomo o jej programie i działaniach?

Prasa „Solidarności" jest w większości pod kontrolą lewicy laickiej — nas drukują tylko warszawskie „Wiadomości" i kilka gazet regionalnych. Dostęp do mikrofonów RWE i V.A. został zablokowany. Pieniędzy z Brukseli nie dostajemy. Do „okrągłego stołu" też nas nie dopuszczono. Zważywszy to oraz niesłychaną nagonkę prowadzoną przeciw nam systematycznie — to mamy jednak niezłą odporność, a także efektywność działania.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Nie uważam, żeby te błędy w relacji wynikały ze złej woli czy to M. Koprowskiego czy redakcji. Raczej z braku (zrozumiałego) oswojenia z tematyką. Szkoda, że nie miał magnetofonu i nie skontaktował się ze mną zaraz po spotkaniu.

Łódź, 10.05.1989 r.

JERZY KROPIWNICKI

CZYTELNICY O „ODGŁOSACH"

Obserwuję kioski. Zwrotów coraz więcej. Co się dzieje z pismem? Czy tylko sprawa ceny? Chyba nie. Nie wiem, co decydowało o nakładzie. „Skiroławki"? Jeżeli tak — to szkoda, bo nie było to dzieło o najwyższym standardzie. Ostatnio jakby opierano się na Andrzeju Brychcie i Andrzeju Makowieckim.

Bądźmy poważni i szczerzy. Andrzej Makowiecki po prostu wygłupia się i rozciąga rzecz na miarę niemożności. Przecież ostatni odcinek z numeru 20 — to jakby wycisnąć — zostałoby co? Nie jestem krytykiem literackim (na szczęście!), ale ta cała otoczka nie ma znów takich walorów, aby się nią zachwycać. A operowanie szpanem i ksywą już się opatrzyło.

A Andrzej Brycht? Usiłuje robić jakieś sobie tylko znane rozliczenia z przeszłością, które ogółu chyba nie interesują. I też jest to denerwujące. Czy to ma być usprawiedliwienie? Kogo i czego?

Ludzie to widzą i oceniają. I choć jestem regularnym czytelnikiem Odgłosów — przykro słyszeć od innych: — „Odgłosów nie kupuję, to kiepskie czasopismo...".

Przykro słyszeć i przykro pisać, choć — recepty nie mam.

Pozdrawiam.

W.A.

Bardzo cenię reklamy, gdy są one adresowane do mnie, czytelnika. Gdy otwieram pierwsze z brzegu pismo zachodnie wiem, że na każdej kolumnie natknę się na reklamy i ogłoszenia; więcej, ja ich oczekuję. Tyle że: 1) te reklamy nie pożerają miejsca przeznaczonego na teksty, i 2) reklamy pokrywają się z tematyką pisma. Jeśli np. otwieram zachodnie pismo dla lekarzy, to wiem, że znajdę tam reklamy leków i urządzeń przydatnych w klinice.

Jak się sprawa ma z „Odgłosami"? Na reklamy „Odgłosy" przeznaczyły 1—1,5 strony kosztem dawniej przeznaczonych na roztrząsanie spraw społeczno-kulturalnych. Gdyby chociaż te reklamy leżały w profilu pisma. Ale nie leżą. Bym się cieszył, gdyby tygodnik społeczno-kulturalny zamieszczał reklamy spektakli, imprez, książek, spraw społecznych. W rzeczywistości mamy do czynienia, np. w n-rze 20/89, z reklamą węży spawalniczych i bazaru samochodowego. Czytamy, że „Centropol" i „Zakłady Hydrauliki Siłowej" zatrudnią „agentów organizatorów" i „rdzeniarzy" (?!). Czytamy też o „kurtkach damskich", a w dziale ogłoszeń drobnych — o betoniarkach, mieszkaniach, korepetycjach.

Czy te teksty mają cokolwiek wspólnego z profilem „Odgłosów"? Co ma przeciętny czytelnik do węży spawalniczych? Który z czytelników może zostać „samodzielną księgową ds. likwidatury" albo „rdzeniarzem"? Jestem „za" reklamami w „Odgłosach" — ale niech to będą reklamy spraw kultury, nie „podgrzewaczy oleju" — chyba że są to podgrzewacze oleju w głowach, betoniarki służą do produkcji betonu społecznego, a rdzeniarz zajmuje się poszukiwaniem sedna rzeczy.

Osobiście wolę płacić 120 zł za numer pełen treści; pod warunkiem, że tę dotąd traconą stronę 14-tą wypełniać będą np. przedruki z prasy krajów ościennych, zwłaszcza radzieckiej, albo tematyka ekologiczna.

J.S. KNYPL

Proszę mi uwierzyć, że bardziej cenię uwagi krytyczne na temat pisma od pochwał. Nie ukrywam, że otrzymujemy również pochwały, ale ani ich nie publikujemy, ani nie dopuszczamy do tego, aby przysłoniły nam krytyczny stosunek do tego, co robimy. Pochwały są miłe, ale nie pobudzają do myślenia. Przeciwnie — usypiają. Dlatego bardziej cenię krytykę, choć czasami bywa przykra. Zmusza jednak do myślenia. Tak więc dziękuję obu autorom za krytyczne uwagi.

Obaj autorzy listów dotykają drażliwej kwestii profilu pisma. Nie jestem w tej dziedzinie dogmatykiem, w ogóle staram się nie poddawać dogmatom. Sformułowanie: tygodnik społeczno-kulturalny — traktuję w sposób dość swobodny. Wydaje mi się, że model pisma, który zawiera się w takim sformułowaniu, jest przestarzały i nie odpowiada dzisiejszym potrzebom Czytelnika. Zresztą w wielu krajach w ogóle nie spotyka się takiego modelu pisma. Musi ono być różnorodne, szeroko traktujące sprawy społeczne, w ramach których mieści się i polityka i kultura. Wielu autorów proponujących nam teksty, jak i wielu Czytelników odnoszących się do pisma krytycznie, jakoś tej prawdy nie rozumie lub nie chce zrozumieć.

A teraz przejdźmy do spraw konkretnych.

1. Sprawa zwrotów. Mogę powiedzieć, że mieścimy się w granicach normy, która dla nas wynosi 15 procent nakładu. Bardzo dokładnie analizujemy rozchodzenie się każdego numeru pisma. Niestety dokładne dane otrzymujemy po 6 tygodniach i na ich podstawie nic już nie można zrobić. Jest to materiał archiwalny.

Musimy więc orientować się po pracy kiosków, a z tymi bywa bardzo różnie. Sieć kiosków RUCH-u maleje. Kioskarze nie są zainteresowani sprzedażą gazet i tygodników. Jest to osobny rozdział. Wszyscy doskonale wiedzą, że praca RUCH-u z różnych powodów jest wręcz skandaliczna i... nie potrafią temu zaradzić. Ale to powtarzam — osobny temat.

U nas wiele spraw znajduje się w stanie nienormalnym. Normalnie tygodnik powinien leżeć w kiosku przynajmniej przez 2—3 tygodnie. Czyli 3 numery pisma powinny być jednocześnie

w sprzedaży. Ciągle mamy telefony od Czytelników, którzy chcą kupić jakiś numer, a my przecież sprzedażą pisma nie zajmujemy się. Tymczasem obowiązuje u nas mit zwrotów. Ten wskaźnik jest oczywiście ważny, ale potrzebna jest tu normalizacja. Przecież na całym świecie — no może w jego większej części — jest tak, że pisma leżą w kioskach, a nie znikają natychmiast. Znikanie pisma dowodzi o sytuacji nienormalnej: za niski nakład, nieznajomość rynku, brak papieru itp.

2. My też obserwujemy kioski i dysponujemy danymi ze wszystkich lat od 3 marca 1958 roku, czyli od ukazania się pierwszego numeru „Odgłosów". Otóż, jak z tych danych wynika, w maju zaczyna się „letnia depresja". Nakład spada. Problem tylko w tym, jak głęboko spada i z jakiego powodu.

I tak w 1987 roku nakład nasz był wyższy od poprzedniego roku o 20 procent, w 1988 roku — o 30 procent w stosunku do 1987 roku. W 1988 roku w „letnią depresję" weszliśmy z poziomu 50 000 egzemplarzy. W 1989 — z poziomu 70 000 egzemplarzy. Jest chyba w tym jakaś różnica.

Oto nakład niektórych numerów „Odgłosów": nr 9 z 22 lutego — 69 000 egzemplarzy, nr 10 (świąteczny) z 22 marca — 80 987 egzemplarzy (zwroty wyniosły 6,7 procent), nr 16 z 12 kwietnia — 70.987, nr 21 z 17 maja — 67 987 egzemplarzy. Fakt, że posiadamy stosunkowo wysoki nakład wcale nas nie usypia. Przeciwnie. Staramy się nie tylko utrzymać taki nakład, ale go podnosić.

3. Na temat mitu „Skirolawek" pisałem już sporo. Myślę, że przytoczone powyżej dane o nakładzie mit ten powinny definitywnie rozwiać. Ale mity mają niebywale trwały żywot.

Zgadzam się natomiast, że Andrzej Makowiecki powieść swoją zbytnio rozdyma i podejmę odpowiednią z nim rozmowę. Nie zgadzam się natomiast, że Andrzej Brycht „robi jakieś sobie tylko znane rozliczenia z przeszłością". **Myślę, że jest to ciekawy dokument o polskiej emigracji w Kanadzie i nie tylko. Myślę, że Andrzej Brycht w sposób bardzo dotkliwy obnaża manowce polskiego sposobu myślenia. To może drażnić, ale to warto wiedzieć.**

4. Sprawa reklam. J.S. Knypl pisze, że woli płacić 120 złotych za numer, ale nie mieć reklam. Przykro mi bardzo, ale zespół nasz nie redaguje pisma tylko dla J.S. Knypla, robi to dla różnych Czytelników.

„Odgłosy" próbowały publikacji reklam w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Nie udało się. Dziś udało się nam przełamać niechęć do publikowania ogłoszeń w „Odgłosach" i bardzo to sobie cenimy. Zajmuje się tym obok Biura Ogłoszeń dwoje ludzi specjalnie do tego powołanych. Nie stawiamy i nie będziemy stawiali im żadnych ograniczeń. Być może J.S. Knypl nie wie, ale był taki moment, że pismu z powodu deficytu groziła likwidacja. Dziś — m.in. dzięki ogłoszeniom — przynosimy już skromny zysk. I chcemy ten zysk pomnożyć.

Nie jesteśmy jeszcze w takiej sytuacji, że możemy sobie wybierać klientów, którzy chcieliby się u nas reklamować. Zabiegamy o nich. I będziemy drukowali takie reklamy, jakie otrzymamy. Jest to dla nas konieczność.

Być może J.S Knypl jest człowiekiem, któremu nic się nie podoba, gdyż ma już taką naturę. Być może z powodu tej natury porównuje nieporównywalne z porównywalnym. Inaczej historia ogłoszeń kształtowała się na Zachodzie, inaczej w powojennej Polsce. Inny jest system prasy tam, inny tu.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SKĄD TAKA OSTROŻNOŚĆ?

Jeżeli nie było mi dane odezwać się w minionych czasach i przytaczać swoich argumentów — milczałem. Milczało wówczas tysiące ludzi bezpartyjnych, a nawet partyjnych, którzy milczeniem „aprobowali" stanowisko „wszechwiedzących". W owych latach zebrania organizacyjne stanowiły raczej spędy ludzi milczących, o których mówiło się, że „wszystko aprobują" Namawiano wówczas do krytyki niektórych spraw. Wiedzieliśmy czym taka „krytyka" się skończy. Nawet jeśliby była ona słuszna i uzasadniona.

Kilkakrotne stosowanie tych metod doprowadziło do tego, iż ludzie przyzwyczaili się do nich, a wszelkie działania „czynników odgórnych" w kierunku podsycania krytyki działały jak „kamieniem o mur", bez jakiegokolwiek oddźwięku. To nie brakiem „atrakcji" zebrań należy tłumaczyć ich martwotę i bezwład. Przyczyny tkwiły i tkwią o wiele głębiej niż to sobie wyobrażano

Niektórzy wierzą w to, że historia będzie się powtarzać w nieskończoność i z tego względu pewne jej momenty można powtarzać aż do znudzenia. Sądzę nadal, że na dotychczasowe praktyki i taktyki dadzą się inni nabrać bezkrytycznie. Tymczasem coraz więcej ludzi traci wiarę w skuteczność metod, uznawanych za „niezawodne".

Należę do pokolenia, które przeżyło ostatnie 50-lecie oraz gorycz zawiedzionych oczekiwań, nie sprawdzonych prawd, które niczym złudne miraże minęły bezpowrotnie. Te właśnie przeżycia zmusiły mnie do bardziej realnego spojrzenia na rzeczywistość. Wiele osób, z którymi się kontaktuję i z którymi dyskutuję twierdzi, że do akcji wyborczej partia rządząca podchodzi z pewną rezerwą, a nawet świadomie opóźniła opublikowanie swego programu wyborczego. Niektórzy posądzają ją o to, że program ten zapożyczony jest w częściach z opublikowanych wcześniej programów różnych ugrupowań politycznych i społecznych.

Możliwe, że się mylę (oby tak było), ale społeczeństwo jest już za bardzo zmęczone toczącym się od lat kryzysem gospodarczym i politycznym, rozkradaniem naszych dóbr narodowych, aby bez zastrzeżeń dawać poparcie programom nie mającym realnych podstaw do ich realizacji. Nie odnosi się to do programu partii, ale i do programów opozycji. Po prostu zwyczajni ludzie mają dosyć nierealnych programów i idei, które już od dawna nie spełniały się.

Stojąc na krawędzi życia wielu z nas nie jest w stanie popierać tego czy owego programu nie mając pewności czy w przyszłości on sam albo jego pamięć nie stanie się uznaną za normalną sprawę następnego konfliktu czy upadku. Oby tylko te smutne refleksje nie sprawdziły się.

MIECZYSŁAW KOZAK

NURT CHADECKI W ZMD

Poczułem się niejako „wywołanym do tablicy" interesującym artykułem („Odgłosy" nr 20) **Anny Gronczewskiej i Witolda Borowego** poświęconym opozycyjnym ugrupowaniom w Łodzi. W artykule tym obok nazwisk uczestników obecnego Ruchu Wolnych Demokratów Karola Głogowskiego i Andrzeja Kerna wymieniono i moje nazwisko jako działaczy dawnego Związku Młodych Demokratów, który powstał na krótko w listopadzie 1956 r. RWD autorzy przedstawili jako historyczną kontynuację ZMD. Jest to na ogół słuszne.

Trzeba jednak pamiętać o bardzo silnej chrześcijańskiej inspiracji ZMD. Władysław Gomułka wiosną 1957 r., bodajże w marcu — już po likwidacji ZMD — mówił na Konferencji Warszawskiej Organizacji PZPR „mamy już za sobą trudną sprawę ZMD, tego jawnie chadeckiego tworu". Władysław Gomułka może nieco przesadził, ale na pewno nurt chrześcijańsko-demokratyczny był w ZMD bardzo wyraźnie reprezentowany, w niektórych jego środowiskach bardzo silnie. Od tamtych lat pozostaję już w tym nurcie, przejawiającym się w różnych zastępczych formach integracji, a dziś konstytuującym się pod „własną firmą".

Jednak szacunek dla współtowarzyszy walki o wspólne wartości w dawnym ZMD skłania mnie dziś do popierania ich kandydatur do Sejmu i Senatu.

MACIEJ WALICKI

PROŚBA O POMOC I INTERWENCJĘ

Jestem po operacji zaćmy obu oczu. Pierwsze okulary ze szkłami plastykowymi zrobił p. Burchard, ale z defektem. Chodząc w nich chwiałam się i przewracałam. Dr Wesołowski okulista szpitala MSW orzekł, że cylinder jest źle ustawiony. P. Burchard poprawił to na polecenie p. Kurzawy z cechu metalowców. Oprawka też nie jest dostosowana, za krótki mostek i odpadające zauszniki P. Kurzawa z cechu usprawiedliwia go, że „przecież on robi to z odpadów". Dlaczego jednak cena tych oprawek nie jest odpadowa? Prosiłam, by mi ten odpadający uchwyt naprawił, niestety gorzej popsuł. Kupiłam u niego zaoferowaną mi drugą oprawkę która miała być identyczna, tymczasem okazało się, że średnica szkieł jest o 3 mm większa, szkła wypadały w końcu i zauszник także wypadał, a oprawka jest bezużyteczna, leży w szufladzie. Uchwyty te reperowali mi inni optycy: z ulicy Andrzeja 4, optyk Pluta z Retkini, wreszcie optyk Janina Szreter z ul. Kościuszki założyła dwie klamry i do dziś w tym chodzę, choć na skutek reperacji szkła nie są zsynchronizowane. Raz chodziłam półtora tygodnia w okularach o jednym szkle, pan Burchard widział to, ale nie reagował, a p. Szreter zreperowała nawet bezpłatnie.

Obecnie potrzebne mi są okulary do dali i do bliży, recepty na nie mam. P. Burchard nie chce ich zrealizować, choć czekam już cały rok. Optyk ten jest jedynym w kraju wyrabiającym szkła plastykowe za polskie pieniądze i to stosunkowo nie tak duże. Kilku innych optyków w Polsce sprowadza szkła plastykowe z zagranicy, ale koszt tych potrzebnych mi szkieł wyniósłby 370.000 zł.

Wierzę że interwencja „Odgłosów" sprawi, iż emerytowana nauczycielka i członek ZBoWiD z racji tajnego nauczania otrzyma wreszcie od p. Burcharda potrzebne szkła. Na razie posługuję się tylko jednym okiem przy czytaniu i pisaniu z powodu braku szkieł do bliży.

HELENA PRUS

OD REDAKCJI: Próbowaliśmy interweniować przed wydrukowaniem tego listu, ale okazuje się, że p. Burchard nie dysponuje maszyną, przy pomocy której mógłby wykonać zamówienie Heleny Prus Zrobi to, jeśli otrzyma taką maszynę.

Drukujemy ten list w nadziei, że być może znajdzie się gdzieś optyk, który pośpieszy z pomocą. Listy prosimy kierować do redakcji, przekazemy.

NA RADOGOSZCZU-WSCHÓD NIE JEST TAK ŹLE

We wstępie do „Polemik, listów i opinii", redakcja pisze m.in. „przedstawione w listach fakty na odpowiedzialność autorów". Z tą odpowiedzialnością bywa różnie. Takie wrażenie odniosłem po przeczytaniu listu Elżbiety Mielczarek-Pankiewicz pt. „Z osiedla Radogoszcz-Wschód donoszę". Autorka zbyt pochopnie chwyciła za pióro nie sprawdzając, co na tym osiedlu się znajduje. Może zbyt krótko tu mieszka, i nie wie, że są tu trzy przedszkola przy ulicach: Nastrojowej, Syrenki i Wodnika, a w osiedlu zwanym „Sitowie" znajdującym się również po stronie wschodniej ul. Zgierskiej dwa dalsze. Nie twierdzę przy tym, że są miejsca dla wszystkich dzieci tutaj zamieszkałych.

Następnie autorka pisze o kioskach warzywnych. I tu popełnia błąd w liczeniu. Jest ich łącznie ze sklepikami oraz sklepami ze stoiskami z warzywami około dziesięciu A i sklepów spożywczych jest więcej, bo i duży, istniejący od początku osiedla przy ul. Nastrojowej i nieco mniejsze w głębi osiedla. Nie dostrzega również kiosków „Ruchu", jak i automatów telefonicznych.

Czytający moje słowa odniesie wrażenie, że jest tu tak cudownie i pięknie, że tylko tutaj mieszkać i żyć. Tak nie jest. Psioczymy na komunikację autobusową, która jest fatalna, szczególnie w dni wolne od pracy, na personel sklepu spożywczego przy ul. Nastrojowej, gdzie stoi się godzinami w kolejkach do kolejnych stoisk, ale to nie oznacza, żeby pisać nieprawdę. Osiedle to jest w miarę zagospodarowane Zastanawia mnie, w jakim tonie byłby list Elżbiety Mielczarek-Pankiewicz, gdyby pisała go 4 lata temu, kiedy nie było komunikacji, sklepów, ulic, chodników, kiedy brnęliśmy w błocie po kolana. Nie zamierzam tu bronić administratora osiedla spółdzielni „Lokator", jednak myślę o odpowiedzialności za słowa mówione i pisane. Autorka gani też swoich współlokatorów (jak zrozumiałem) za lenistwo przy porządkowaniu terenu wokół bloku, obserwując ich przy tym. Ale czy sama zrobiła coś dla swego środowiska i dla siebie, by było inaczej? Potrafi tylko rządzić i negować.

A teraz gwoli wyjaśnienia. Jestem mieszkańcem os. Radogoszcz — Wschód od lutego 1985 roku, jestem bezpartyjny, nie zrzeszony, nie kandyduję do Senatu czy Sejmu. Jestem łodzianinem, a tym samym lokalnym patriotą.

ANDRZEJ H.

W „PALMIE" JEST DOBRZE?

W 15 numerze „Odgłosów" ukazał się artykuł poświęcony pracy Zespołu Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych, który, moim zdaniem, zawiera wiele niesprawiedliwych i nieuzasadnionych zarzutów względem tej bardzo zasłużonej dla łódzkiego środowiska akademickiego placówki. Przy pozorach obiektywizmu autorka przytoczyła w nim jednostkowe wypowiedzi studentów, oceniających wyłącznie negatywnie pracę akademickiej służby zdrowia.

Niektóre z nich w oczywisty sposób nie zasługują na poważne potraktowanie; trudno np. uwierzyć, że okulistki akademickiej służby zdrowia dobrze znane z wysokich kwalifikacji zawodowych, pomyliły krótkowzroczność z dalekowzrocznością. Inne wypowiedzi studentów, zwracające uwagę na długi czas oczekiwania na przyjęcie przez lekarza, są częściowo słuszne, ale przecież w innych placówkach służby zdrowia czeka się o wiele dłużej. Trzeba tu wskazać, że przeciążenie akademickiej służby zdrowia wynika w dużej mierze stąd, że studenci traktują ją jak urząd i przychodzą do poradni masowo dla uzyskania nie tyle porad, ile zwolnień lekarskich. Korzystając z usług akademickiej służby zdrowia od wielu lat mogę stwierdzić, że pracuje ona o wiele lepiej i opiekuje się staranniej swymi pacjentami niż większość placówek łódzkiej służby zdrowia. Ubolewać należy, że nie wszyscy jej pacjenci są jej za to wdzięczni.

JAN KODRĘBSKI

OD REDAKCJI: Autor listu prezentuje przerażający sposób rozumowania. W akademickiej służbie zdrowia wcale nie jest źle, bo gdzie indziej jest gorzej. Podejmujemy krytykę na ogół wówczas, gdy gdzieś dzieje się źle, nie stosując kryteriów równania w dół. Jeśli studenci nie są zadowoleni z pracy akademickiej służby zdrowia, jeśli choć w części mają rację, to trzeba przede wszystkim usunąć braki, a nie pocieszać się tym, że gdzieś indziej jest jeszcze gorzej. Przy takim rozumowaniu nigdy nie wyjdziemy z żadnego kryzysu. Służba zdrowia — obojętnie jaka — ma służyć chorym. To jej podstawowe zadanie i jedyne kryterium oceny.

NIE TYLKO DO TYCH, KTÓRZY BYLI NA SYBERII

Z wielkim wzruszeniem czytałem opowieści Eugeniusza Iwanickiego o zesłaniu na Syberię. Rzeczywiście tak było, jest to wiernie oddany obraz tamtej rzeczywistości. Wprawdzie E. Iwanicki żył w „lepszych" warunkach, gdyż żył na pograniczu tajgi (opał) i mogli tam polować — to był „luksus". Ja mieszkałem nad Iszymem, ale u jego źródeł. I tam był jak okiem sięgnąć step, bez drzew i bez zwierzyny. Z żywnością było kiepsko, dlatego byliśmy w tamtych regionach raczej jaroszami. Co do opału, to zbieraliśmy „kiziaki", są to wysuszone odchody krowie i tym paliło się w zimie. Zbieranie tego „opału" należało do dzieciaków, oczywiście tylko w lecie. Była to codzienna czynność. Czasem dochodziło do utarczek, kto pierwszy dopadł tego rarytasu.

Mam dużo satysfakcji z ukazania się tych opowiadań, bo moje opowieści o „buranach", tęgich mrozach i o tamtejszej rzeczywistości, o nędzy, brudzie, wszach, chorobach i ich leczeniu przyjmowane były z przymrużeniem oka lub nawet z niechęcią, że chcę wbić klin w przyjaźń i zaufanie itd. Miałem zawsze z tym kłopoty bo jakoś nie chciało mi się wierzyć w to przodownictwo światowe we wszystkich dziedzinach i to na siłę branie przykładu z Kraju Rad, który w XX wieku miał olbrzymie kłopoty z odwszawieniem własnych ludzi, a zdobywał kosmos. Zresztą jedno i drugie było niezaprzeczalne.

Buran to była naprawdę tragedia. Ginęli ludzie, ginęły zwierzęta. Kogo buran zastał w stepie, ten ginął. Zjawiał się nagle, brak jakichkolwiek służb ostrzegawczych uniemożliwiał zabezpieczenie się przed tym kataklizmem. Nagle zaczynało sypać śniegiem, olbrzymi wiatr, i tak kręciło tym śniegiem, że człowiek i zwierzęta niemal natychmiast traciły orientację i na kilkudziesięciu metrach można było zabłądzić. Ale trzeba przyznać, że miejscowi instynktem wyczuwali ten kataklizm. W wielu wypadkach od chaty do chaty zakładano sznury i brało się taki sznur pod pachę i w czasie buranu docierało do drugiej chaty, bo potrafiło dmuchać i parę godzin, ale i także parę dni. Pamiętam wypadek, gdy jedna z Polek wyszła po mleko dla dzieci. Po otrzymaniu mleka Kirgizka ostrzegała, aby nie szła do domu, bo idzie buran. Zbagatelizowała to i śpiesznie wyruszyła, myśląc, że idąc od słupa do słupa telegraficznego trafi do domu. Nagle zerwał się buran i nie doszła do domu. Znaleziono ją następnego dnia zamarzniętą, przycupniętą przy słupie telegraficznym z soplem mleka w ręku, butelka od mleka rozsypała się. Osierociła dwoje dzieci.

Po buranie niektóre chaty były całkowicie przysypane, a sprzed niektórych śnieg wymieciony do ziemi, mieliśmy frajdę, bo z zasypanych domów, z czubków dachów zjeżdżało się na sankach, bo w stepie innych górek nie było. Mróz dochodził do —40 stopni; a podobno którejś zimy było —60 stopni. W mieszkaniu średnia w zimie —2, —5. Tak tam żyło około miliona Polaków. To co napisałem to tylko potwierdzenie i małe uzupełnienie opowiadań Eugeniusza Iwanickiego.

Chcę dla pamięci tych, którzy walczyli o nasze przetrwanie, (bo większość z nas żyjących to młodzież, dzieci lub niemowlęta w momencie zesłania) odtworzyć drogę zesłania, miejscowości w których przebywali Polacy, drogi powrotu i zasiedlenia w Polsce, oraz monografię zesłanych. Jestem przekonany, że w tych poszukiwaniach nie jestem osamotniony, że jest nas więcej i może po latach uda się komuś opracować to wszystko jako dokument historyczny, czemu chciałbym też się przysłużyć. Opracowałem ankietę, którą prześlę zainteresowanym. Listy proszę kierować pod adresem: **Andrzej Rozwadowski, Kusocińskiego 92 a m. 29 blok 362a, 94-054 Łódź**

ANDRZEJ ROZWADOWSKI

REDAKCJA — CZYTELNICY

Inż. ZBIGNIEW FORNALSKI, Łódź. List jako zbyt specjalistyczny prześlemy do dyrekcji MPK.

PIOTR WYPYCH, Łódź. Kwitujemy odbiór dwóch listów. Nie ze wszystkim się z Panem zgadzamy, ale ma Pan też wiele racji. Czy w Łodzi nie można rozwinąć inicjatywy? A przykład Janusza Baranowskiego i „Westy" oraz Lecha Sosnowskiego i „Centralu" nic Panu nie mówi? Zło chyba nie leży w mieście, raczej w ludziach, którzy sami nie potrafią i innym dać działać nie chcą. Tylko silne indywidualności mogą się przez to przebić.

ZDZISŁAW ROŻEK, Łódź. Zgadzamy się, że zwrot „póki co" jest fatalny. Jest to rusycyzm: „poka czto". Będziemy starali się unikać tego zwrotu.

MIROSŁAW LESZCZYŃSKI, Głowno; KAZIMIERZ BUŁHAK, Otmuchów; JÓZEF TABIU, Zduńska Wola; mgr inż. STANISŁAW WAŚNIEWSKI, Łódź; ALEKSANDER BORODIN, Sopot; dr LESZEK SKONKA, Wrocław — z nadesłanych listów nie skorzystamy. Dziękujemy.

CZESŁAW SUROWIK, Łódź. List Pana przedstawiliśmy prezydentowi miasta Łodzi — Jarosławowi Pietrzykowi, który ustosunkował się do problemu przyszłości AWF w Łodzi na łamach „Odgłosów".

WSZYSTKIM NASZYM KORESPONDENTOM przypominamy, że bierzemy pod uwagę tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem (prawdziwym) z podanym dokładnym adresem. Inne nie są przez nas brane pod uwagę. Zasada ta jest wypisana na czele tej kolumny, a mimo to niektórzy Czytelnicy postępują wbrew temu, o co prosimy i przed czym ostrzegamy.

Redaktor dyżurny

UWAGA! WAŻNE SPROSTOWANIE

Zdzisław Piasecki z Gałkówka, z którego listu skorzystaliśmy, aby opowiedzieć historię oficera z Gałkówka, zamordowanego w Katyniu prosi, aby sprostować, że oficer ten nazywał się **HENRYK ROŻNIECKI** a nie — jak mylnie podano — Henryk Różniecki. Przepraszamy.

FILM TV WIDEO

Przewodniczący jury XXXV Ogólnopolskiego Konkursu Filmu Amatorskiego (OKFA '89), reżyser **Juliusz Janicki**, powiedział w swoim wystąpieniu kończącym konkurs, że sztuki nie powinno się dzielić na amatorską i profesjonalną tylko na dobrą i złą. Ta oczywista prawda, od dawna głoszona przez twórców-amatorów ostatnio artykułowana jest coraz głośniej. Zamienia się nawet termin „ruch amatorski" na „ochotniczy" co bliższe jest rzeczywiście duchowi ludzi zajmujących się taką twórczością. Daje się jednak zauważyć, iż amatorzy niekiedy szukają rozgrzeszenia i

Amatorzy – na plan

samousprawiedliwienia słabszych swoich produkcji właśnie statusem amatora, inni natomiast zbyt szybko czują się zawodowcami, nie mając na to warsztatowego pokrycia. Znajdujemy jednak w twórczości amatorów prawdziwe rodzynki artystyczne na poziomie solidnego zawodowstwa.

Te wszystkie „szkoły" i rodzaje myślenia znaleźliśmy w tegorocznym **Konkursie Filmu Amatorskiego.** Obejrzeliśmy w sali kinowej Łódzkiego Domu Kultury 52 filmy w ciągu dwóch dni, z których niewiele udało się zapamiętać. Wśród nich „dzieła", które chyba tylko przez przeoczenie zaszypiającej ze znużenia Komisji zostały zakwalifikowane do konkursu.

I tak, film pt. **„Piętra samotności" Franciszka Dzidy** z AKF „Klaps" z Chybia, długi, 75-minutowy, fabularny, kręcony w technice wideo z udziałem aktorów zawodowych, był żenującym przykładem jak nie należy robić filmów. Grafomańskie dialogi, mierne aktorstwo, przegadana nuda sprawiły, że film był trudny do strawienia. Liczne sceny miłosne, odrażający erotyzm, swoiste poczucie estetyki kobiecego ciała powodowały, że na jakiś czas odechciewało się kontaktu z kobietami. Okazuje się, że do nakręcenia takich scen męski język i kobieca pierś — to wiele za mało. Duże, z pewnością, pieniądze zostały zmarnowane. Inny przykład, to **„Pieśń Hypnosa"** z AKF „Chorzowska Ósemka", rzecz o niczym, bez żadnej myśli, bez puenty, bez pomysłu wreszcie — całkowite nieporozumienie.

Silną pozycję konkursu stanowiły krótkie filmy animowane, półminutowe i minutowe. Tu wyraźnie się ujawniła wyobraźnia, dowcip i abstrakcyjne myślenie autorów. W kategorii debiutów zdobyły I i II nagrodę **„Strategia pająka" Wojciecha Majewskiego** z AKF „Fosa" Wrocław i „Za chlebem" nie zrzeszonego **Marka Luzara**, autora zestawu oryginalnych filmów animowanych, a w kategorii twórców zaawansowanych II nagrodę uzyskał **„Seans" Roberta Turło** i **Igora Cieżkowskiego** z AKF **„Miłość kelnera"** z Tczewa.

Trzeba powiedzieć, że jury nagrodziło filmy zdecydowanie wyróżniające się i rzeczywiście najlepsze. Rozdźwięków z opinią widowni nie było.

Wyraźnie zaznaczył swoją obecność w konkursie AKFiV Łódzkiego Domu Kultury. Wyróżnienie otrzymały dwa z czterech prezentowanych filmów, w tym nagrodzony najgłośniejszymi oklaskami przez publiczność obraz pt. **„Z kroniki rodzinnej" Karola Michalaka** (drugim był **„O dalszy rozkwit: 1980" Andrzeja Korbusa**), dokument z uroczystości pasowania na młodzika dzieci z rodzin milicyjnych, zakończony znakomitą, przewrotną puentą. Był to przykład ostrego widzenia rzeczywistości, umiejętności podpatrywania jej i ironicznego dystansu do tematu. Błyskotliwy, dynamiczny film, którego autor pokazał jak można „rozprawić się" z nieciekawym, dętym schematem. Udowodnił, że amatorstwo nie musi i nie powinno rymować się z amatorszczyzną.

W sentencji „wyroku" jury czytamy: „Jury oceniało filmy według kryteriów profesjonalnych. Wśród prezentowanych obrazów 24 tytuły pretendowały do nagród, co świadczy o wysokim poziomie konkursu. Wyróżniały się krótkie formy filmowe, w tym filmy animowane. Rozczarowanie budzi mały udział interesująco zrealizowanych filmów dokumentalnych oraz bezradność w podejściu formalnym do ważkich tematów".

MAREK KOPROWSKI

A może do kina?

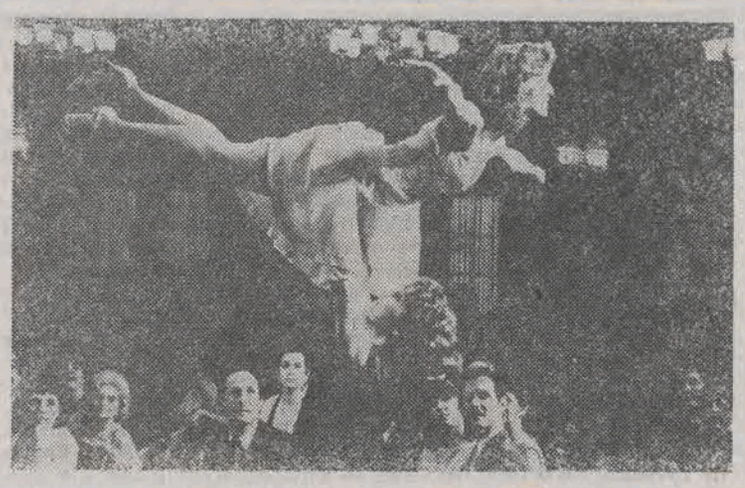

Dziś proponujemy amerykański film **Emile Ardolino, pt. „Wirujący seks".** W chwili gdy „Wirujący seks" wchodzi na polskie ekrany, ten jeden z najgłośniejszych filmów muzycznych ostatnich lat przeżywa kolejną falę popularności — tym razem w dystrybucji kasetowej. Promocji w obiegu wideo towarzyszą plebiscyty i konkursy przebąkuje się nawet o planach realizacji dalszego ciągu perypetii sympatycznych bohaterów. Jakkolwiek taniec i muzyka odgrywają w filmie Ardolino pierwszorzędną rolę, nie one jednak są tematem naczelnym.

JEŚLI PROWADZISZ BADANIA
lub
PRACE WDROŻENIOWE

ZGŁOŚ SIĘ DO NAS —

spółka „ORGMAN" przyjmuje zlecenia dla Ciebie tylko za 30 proc.

SPÓŁKA „ORGMAN"
Łódź, ul. Narutowicza 45

PRZYJMUJE ZLECENIA
i
UDZIELA INFORMACJI

we wtorki i piątki w godz. 17—19.

32497-g

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

1 czerwca — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

8 czerwca — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

RELACJA ZE SPECJALNEGO DYŻURU REPORTERSKIEGO
z 24 maja 1989 roku z udziałem kandydata na posła

Karola Józefa Stryjskiego

Był to dyżur przy redakcyjnym telefonie inny niż czwartkowe. Po pierwsze — odbył się w środę. Po drugie — dyżurowało nas dwoje: **KAROL JÓZEF STRYJSKI** — nasz były kolega, dziś współpracownik, pisarz, kandydat na posła do Sejmu PRL i **BOGDA MADEJ** — reporter „Odgłosów". Zatem relację z tego dyżuru podzielimy na dwie części. Najpierw sprawy, z jakimi nasi Czytelnicy zwracali się do Karola J. Stryjskiego.

— Czy w swojej działalności poselskiej — jeśli oczywiście taki fakt nastąpi — pan lub inni kandydaci na posłów przewidują zajęcie się kompleksowe problemem ludzi upośledzonych umysłowo, ludzi kalekich? Jest to trudny i złożony problem, a ja znam go niestety dobrze, gdyż mam takiego syna. W normalnym zakładzie pracy nie dawał sobie rady. Dzięki licznym protekcjom i znajomościom udało mi się umieścić go w spółdzielni inwalidzkiej, ale tam zarabia tylko 30 000 złotych. Pomagam mu, będę to robiła tak długo, jak będę mogła. Ale co dalej?

K.J. Stryjski: — Widzi pani jakieś rozwiązanie?

— Tak. W moim przekonaniu powinien następować rozwój spółdzielczości inwalidzkiej, to nie może być „kopciuszek". Po drugie — zakłady pracy powinny otwierać takie oddziały. I aby były tym zainteresowane, powinny otrzymywać wynikające z tego ulgi podatkowe.

K.J. Stryjski: — Dziękuję pani za zwrócenie mi uwagi na ten problem. W moim programie przewidziałem zajmowanie się sprawami najbiedniejszych. Mogłoby się to w tym zmieścić. Ale rozumiem, że to jest oddzielny i bardzo poważny problem. Mamy chyba — jako społeczeństwo — za małą wrażliwość, nie dostrzegamy na co dzień tragicznego losu niepełnosprawnych. Nowy Sejm powinien w sposób odpowiedzialny zająć się tą sprawą. Jeszcze raz dziękuję!

Anna Skoneczko (redaktorka radiowęzła i zakładowej gazety, pytania zgłoszone przez robotników ZPB im. J. Marchlewskiego): — **Mówi się o zaprzepaszczeniu szans, jakie dawał program IX Zjazdu PZPR. Dlaczego tak się stało?**

K.J. Stryjski: — Przede wszystkim zaraz po IX Zjeździe były takie siły, które doszły do głosu i które zahamowały procesy zapoczątkowane na IX Zjeździe. Po wprowadzeniu stanu wojennego, gdy nadszedł moment wychodzenia z niego nie powrócono — mimo deklaracji — do programu IX Zjazdu. X Zjazd PZPR — w moim przekonaniu — był cofnięciem się w stosunku do linii IX Zjazdu. Dopiero X Plenum KC PZPR i postanowienia „okrągłego stołu" przywróciły znaczenie uchwał IX Zjazdu.

— Jak widzi pan przyszłość partii?

K.J. Stryjski: — Rozbicie i podział w partii jest faktem. Tocząca się kampania wyborcza pogłębia ten podział i rozbicie. Kierownictwo partii doszło do wniosku, że skoro ma zagwarantowane 35 procent członków PZPR w przyszłym Sejmie, to „ma sprawę z głowy" i nieważne jest kto w tym Sejmie zasiądzie, ważne, że będzie miał legitymację PZPR. Kampania wykazała również, że partia nie ma poparcia społecznego. Jesienią trzeba będzie z tej kampanii wyciągnąć właściwe wnioski. To się będzie musiało stać. Partia w obecnym stanie nie jest zdolna do prowadzenia szerokiej dyskusji na wiele aktualnych i przyszłościowych spraw. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski i albo dojdą do głosu siły reformatorskie, które pogłębią i przyspieszą proces modernizacji partii, albo nastąpi dalsze rozbicie.

— Co będzie, jeśli opozycja wygra wybory, przynajmniej w Senacie?

K.J. Stryjski: — Nic się nie stanie. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że opozycja w swojej istocie jest prosocjalistyczna, w rozumieniu początków socjalizmu, a nie jego stalinowskiej wersji. Oczywiście, nie cała, ale znaczna jej część. Poza tym — o czym często mówi się na spotkaniach — młodzi chcą przyjść do partii socjalistycznej, marksistowskiej, ale bez balastu, jaki ciągnie za sobą PZPR. Pytają, czy powstanie taka partia? I wreszcie i PZPR, i cała koalicja, i opozycja będą musiały nauczyć się działać w takich warunkach, jakie powstaną po wyborach. To wcale nie musi oznaczać restauracji kapitalizmu, to musi oznaczać dalsze poszukiwanie polskiej drogi do socjalizmu.

— Mówi się, że pan jest partyjnym opozycjonistą. Dlaczego pana poglądy nie są akceptowane przez aparat partyjny?

K.J. Stryjski: — Czy opozycjonistą? W partii jest wiele różnych nurtów ideowych i ja jestem w jednym z nich. W toku tej kampanii aparat partyjny bardzo mi pomaga. Nie podzieliłbym poglądu, że cały aparat partyjny jest przeciw. Przeciwnie — to kierownictwo instancji nie wyczuwa nurtów, jakie krążą w partii. Aparat partyjny, jego przeważająca większość jest bliższa tym nurtom, rozumie je i w części podziela.

— Czy w powodach protestów robotniczych po 1980 roku zaszła jakaś zmiana i jaka?

K.J. Stryjski: — **Do 1970 roku w protestach dominowały przyczyny ekonomiczne. Po 1970 roku przeważały przyczyny polityczne.** W ostatnich strajkach znów przeważają przyczyny ekonomiczne. Stało się tak dlatego, że powstały warunki dla tworzenia różnych organizacji, które wzięły na siebie działalność polityczną i robotnicy mogą się tam wypowiedzieć. W miarę tworzenia się różnych struktur organizacyjnych, w których robotnicy — i nie tylko oni — będą mogli podejmować działalność, strajki staną się wyłącznie ekonomiczne, jeśli w ogóle będą musiały być podejmowane.

Pani, która uparcie odmawiała podania nazwiska: — **Sejm IX kadencji uchwalił diety poselskie po 100 000 złotych dla nowych posłów, a po 50 000 złotych dla tych, którzy byli posłami ubiegłej kadencji. Ktoś zadbał o to, aby w ostatniej chwili zatroszczyć się o swoją przyszłość, bo nowy Sejm mógłby się na to nie zgodzić.**

K.J. Stryjski: — Budzi to i we mnie pewien niesmak. Nie jest to sprawa czysta. Z jednej strony wzywa się ludzi do zaciskania pasa, a z drugiej gwarantuje się byłym posłom dodatkowe apanaże.

— Czy pan — jako poseł — przyjąłby propozycję przejścia w trakcie kadencji do dyplomacji, jak to zrobiło do tej pory dwóch posłów z Łodzi?

K.J. Stryjski: — Nigdy nie myślałem o dyplomacji. Zgodziłem się kandydować na posła do Sejmu, gdyż polityka jest moim żywiołem. Nie chcę też z różnych powodów oceniać byłych posłów, którzy przeszli do dyplomacji. Mogę powiedzieć jedynie tyle, że do tej pory posłowanie było jakby dodatkiem do piastowanej funkcji. Teraz trzeba się będzie temu poświęcić bez reszty. Inne będą warunki, inne muszą być też decyzje. Dla mnie kandydowanie na posła jest powrotem do polityki. I nic więcej.

J.K., rzemieślnik: — **Jakie widzi pan wyjście z kryzysu gospodarczego?**

K.J. Stryjski: — Byłem niedawno w Jugosławii, gdzie jak wiadomo panuje system samorządowy i nie jestem tym zachwycony. Mają takie same, albo i gorsze kłopoty. W swojej ulotce napisałem, że trzeba wziąć z kapitalizmu tyle, ile się da i będzie pożyteczne oraz uratować z socjalizmu tyle, ile też się da. Żeby tym umiejętnie posługiwać się, potrzebni są ludzie z inicjatywą, ludzie odpowiedzialni. Przychylałbym się do systemu menedżerskiego, jako systemu zarządzania. Ale odpowiedzialni za to, co robią powinni być wszyscy. A tak przecież nie jest.

— A co pan sądzi o strajkach studenckich?

K.J. Stryjski: — Sytuacja jest dość skomplikowana. Wszystkie siły, które zasiadły przy „okrągłym stole", są zajęte kampanią wyborczą i nie mają czasu dla NZS. Studenci zostali sami. Władze uczelni nie chcą podejmować żadnej decyzji, bo to w końcu nie od nich zależy. Tyle już było zapewnień, których nie dotrzymano, że lepiej nie wypowiadać się. Całe to zamieszanie ze studentami akurat teraz jest zupełnie niepotrzebne i szkodliwe.

Zofia Barańska, nauczycielka: — **Kto panu finansował kampanię wyborczą?**

K.J. Stryjski: — W połowie Fundusz Wyborczy PZPR, w połowie sam. Być może ta moja połowa okaże się po podliczeniu większą częścią.

Karol Mariański: — Przyszli wyborcy nie mieli panu za złe, że jest pan członkiem PZPR, chyba że pan to ukrywał?

K.J. Stryjski: — Nie ukrywałem, a przyszli wyborcy różnie to traktowali. Były takie wypadki, że żałowano, iż nie występuję „w innych barwach". Niektórzy podejrzewają, że gramy na czas wyborów inne role, a później wszystko wróci „do normy".

— A nie będzie tak?

K.J. Stryjski: — Nie musi. **Jest szansa na inne rozumienie centralizmu demokratycznego.** A poza tym przed sesjami plenarnymi będą dyskusje w klubach i będzie możliwość prezentowania odmiennych zdań i poglądów. Tak to sobie wyobrażam.

Jerzy Kaźmierczak, pracownik FSO „Polmo": — Opowiada się pan za przywróceniem wartości pracy. Jak pan to sobie wyobraża? Przecież teraz często płaci się nie za pracę, a za obecność w pracy.

K.J. Stryjski: — Zgadzam się z panem. Mówiąc najkrócej, żeby móc przywrócić wartość pracy potrzeba dobrej organizacji oraz płacy odpowiadającej pracy, ale pracy rzeczywiście wykonanej.

Na tym kończę relację z rozmów Czytelników „Odgłosów" z kandydatem na posła — Karolem Józefem Stryjskim. Przechodzę do problemów, jakie Czytelnicy mieli dla dyżurującego reportera.

Renata Czeczuga, Chojny Zatorze: — Po raz któryś już mieszkańcy sygnalizują, że na naszym osiedlu fatalnie działa antena satelitarna i systematycznie zakłóca odbiór programu I i II. Administracja osiedla nie reaguje. Może raczy odpowiedzieć „Odgłosom"?

W.Sz.: — Po zmianie zasad prenumeraty Czytelniczka „przypisana" została do kiosku nr 112 przy ul. Przybyszewskiego 28. Po raz któryś nie dostała „Przekroju". Listonosze nie chcą roznosić prasy, poczta przestała się interesować prenumeratą, RUCH też. Ja i moi znajomi zrezygnujemy z prenumeraty, bo to się już nie opłaca — powiada pani W.Sz. i ja jej się nie dziwię.

Andrzej Filipowicz: — Ostrzegam wszystkich, którzy chcieliby sprowadzić książkę pt. „Indywidualna działalność gospodarcza". Wydawcą jest Przedsiębiorstwo Usług Handlowych „Perfect Consulting" Spółka z oo. Wałcz, ul. Chłodna 12. Sprowadziłem tę książkę przez łódzkiego pośrednika. Zapłaciłem 6780 złotych i dałem się nabrać, gdyż są to źle wykonane powielaczowe odbitki wszystkich dokumentów, które były publikowane w dziennikach urzędowych. Żadnego komentarza. Jest to zwykły bubel za ciężkie pieniądze.

Pani **Gołębiewska** z Radogoszcza-Wschód: — Ze sklepami sytuacja poprawiła się. Gorzej jest ze szkołą. Rada Osiedla i Komitet Rodzicielski szkoły na Radogoszczu — jedynej w tej części osiedla — wysłały pisma do prezydenta m. Łodzi i do KD PZPR Bałuty z prośbą o przyspieszenie budowy nowej szkoły, bo ta jest już ponad miarę przeciążona. Jak do tej pory nie ma odpowiedzi.

Tadeusz Nicel: — W ubiegłym roku zapowiadano, że Łódź będzie korzystała z satelitarnego przekazu telewizji radzieckiej. Montowano antenę. Brakowało jakiejś części. Jak do tej pory cisza w tej sprawie panuje niezmącona. Dlaczego?

Anonimowy Czytelnik zapytał, gdzie jest komitet założycielski YMCA w Polsce? Nie wiemy, czy coś w tej sprawie robi się w Łodzi. Komitet taki powstał natomiast w Warszawie. Kiedy uzyskamy odpowiednie informacje, przekażemy je Czytelnikom.

Lucyna T., pielęgniarka: — Pracuję w spółdzielczości inwalidzkiej i mam do czynienia z ludźmi młodymi, ale upośledzonymi umysłowo. Ich organizmy funkcjonują normalnie. Są często nadmiernie pobudzeni erotycznie. Co będzie z ich dziećmi, którymi nie są w stanie się opiekować, a które również mogą być kalekami? Denerwuje mnie bardzo to, że za projektem ustawy o zakazie przerywania ciąży wypowiadają się mężczyźni, bezmyślnie i demagogicznie najczęściej. Jako pielęgniarka widziałam kobiety, które w różnych okolicznościach i w różny sposób chciały się pozbyć płodu. Te kobiety umierały. To naprawdę wymaga specjalnego podejścia, rozsądnej decyzji, przemyślenia sprawy. O swojej ciąży powinna decydować przede wszystkim sama kobieta. Powinna mieć taką prawnie zagwarantowaną możliwość. To nie znaczy, że każda musi z niej natychmiast beztrosko skorzystać. Jestem za referendum przeprowadzonym tylko wśród kobiet.

Relację sporządziła: BOGDA MADEJ

Z różnych szuflad

Groźna broda

Zwyczaj noszenia brody i wąsów kojarzy się zwykle z wyobrażeniem królów z bajki, sławnych wojów lub mędrców sędziwych, czerpiących mądrość z opasłych ksiąg. Wizerunki z matejkowskiego pocztu królów zdają się potwierdzać ten fakt, bo istotnie władcy z dynastii Piastów z upodobaniem nosili bujny zarost, tylko Chrobry i Krzywousty podkręcali sumiaste wąsiska, poddając brody brzytwie balwierza. Długie brody widnieją jeszcze na portretach Mieszka Starego, Henryka Brodatego i Kazimierza Wielkiego, ale już Jagiellonowie unikali raczej zarostu, wyjąwszy Zygmunta Augusta. Już ich następcy, królowie elekcyjni, hołdowali cudzoziemskim modom, i tak Henryk Walezy wprowadził bródkę hiszpańską, a Wazowie szwedzką. Jan III Sobieski, antiquo sarmatico modo, podkręcał wąsa, z którym też przeszedł do legendy literackiej w Kniaźninowej odzie „Do wąsów":

Jana Trzeciego gdy Wiedeń sławił,
Głos był powszechny między Niemkami:
„Oto król Polski, co nas wybawił,
Jakże mu pięknie z tym wąsami!"

Dawnej modzie pozostawał też wierny dwukrotny pretendent do tronu polskiego, wojewoda poznański, Stanisław Leszczyński, który potem jako udzielny książę słonecznej Lotaryngii i teść suwerena Francji zadziwiał Francuzów płowym, do góry podwiniętym wąsem. Zarówno królowie z dynastii saskiej, jak i ostatni nasz monarcha, Stanisław August Poniatowski zaniechali zarostu na twarzy, przyozdabiając za to głowy wymyślnymi perukami w przeciwieństwie do znacznej liczby swych poddanych, którzy z uporem podgalali wysoko głowy za przykładem ks. Radziwiłła „Panie Kochanku", jak gdyby dla upamiętnienia nieszczęsnej wyprawy bukowińskiej, kiedy to „za króla Olbrachta wyginęła szlachta", a to stąd, że, jak wspominał Aleksander Obodziński w „Pandorze starożytnej monarchów polskich" (Kraków 1640):

Z długimi cni Polacy włosami chodzili,
I tym sposobem naszych Wołochy trapili:
Zawięzowali jednych na drzewie włosami,
A od tych czas Polacy golą się brzytwami.

Zresztą moda noszenia bród i wąsów zmieniała się jak w kalejdoskopie, na co zwracał uwagę już Mikołaj Rej w „Żywocie człowieka poczciwego": *„Jedni gołą brody a z wąsy chodzą, drudzy strzygą brody po czesku, trzeci podstrzygają po hiszpańsku i około wąsa zasię jest różność, bo go jedni na dół głaszczą, a drudzy w górę jeżą".* Podobnie i Jan Kochanowski przedstawił metamorfozy brody:

Raz tak u gęby wisząc, jako wałkownica,
Drugi raz przykrojona, jako prochownica,
Dziś nożycom podobna, jutro końskiej kosie,
Czasem tak rzadka, żeby mógł liczyć po włosie,
Jako kędy grad przejdzie; czasem wygolona
Wkoło gęby, a z brzegów w cyrkiel nastrzępiona.
Tak odmienna, tak mnożna (...)

Synod toledański z 1324 r. zażądał od duchownych, by choć raz w miesiącu się golili, natomiast statuty synodalne krakowskie (1408), włocławskie (1419) i wrocławskie (1446) wręcz zabraniały noszenia bród duchownym świeckim. Długosz pomstował w 1466 r. przeciwko nowomodnemu zwyczajowi *„trefienia włosów i obyczajem niewiast skręcania ich w sploty"*. Car Piotr I, dla szybszego przyswojenia zachodnich nowinek cywilizacyjnych, kazał swoim bojarom ścinać brody, a gdy któryś z nich był opieszały lub krnąbrny, wówczas kat spełniał powinność cyrulika, zdejmując głowę wraz z przytwierdzoną do niej brodą.

W niespełna półtora wieku później następcy Piotra I z kolei jęli upatrywać w męskim zaroście zewnętrzne oznaki sympatii dla... nastrojów rewolucyjnych. *„Długie włosy, nie mówiąc już o brodzie i wąsach (...) uważane były za cechę usposobienia rewolucyjnego — wspominał po latach profesor Szkoły Głównej i Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego znakomity lekarz i polityk Ignacy Baranowski. — Schwytany z wąsami na ulicy odprowadzany był do ratusza, skąd go ogolonego po odsiedzeniu kary wypuszczano"*. Na taki despekt mógł się narazić posiadacz wspaniałej brody Władysław Wężyk, powróciwszy do kraju z podróży po Bliskim Wschodzie. Wężyk zamierzał uczestniczyć 16 czerwca 1842 r. w wyścigach konnych na polach za rogatkami mokotowskimi w Warszawie, ale namiestnik cesarski Paskiewicz zezwolił mu na udział w gonitwach pod warunkiem pozbycia się przezeń brody, zgodnie z treścią carskiego ukazu. W odpowiedzi na to wezwanie Wężyk poprosił o paszport emigracyjny, a gawiedź warszawska ułożyła naprędce piosnkę, rozpoczynającą się od słów:

Kto chce na koniu swawolić,
Musi wprzód brodę ogolić.

Nie udało się natomiast uchronić przed zgoleniem wypielęgnowanej bródki hiszpanki innemu młodemu człowiekowi, Leopoldowi Marsowi, który znalazł się w parę lat później w Warszawie, posługując się fałszywym paszportem austriackim. Uzyskał swój paszport, uprawniający go do wyjazdu z Warszawy, dopiero wówczas, gdy z rozkazu naczelnika policji Abramowicza został pozbawiony owej niebezpiecznej dla caratu ozdoby swej twarzy.

Gabriela z Güntherów ks. Puzynina przypomniała w swoim pamiętniku z lat 1815-1842, jaką panikę wśród męskiej części rodzaju ludzkiego wywołał ukaz przeciw wąsom i brodom u osób cywilnych, ogłoszony zimą 1842 r.: *„Popłoch się zrobił między naszą młodzieżą: ten miał wąsiki, ten bródkę hiszpańską, temu znowu broda całkiem zarastała itd., a jak u każdego inaczej włosy rosły, tak też i na każdego wiadomość ta inaczej podziałała. Jedni z pokorą szli pod nóż czyli brzytwę ofiarniczą, a gdy nazajutrz wyszli na ulicę, nikt ich nie poznawał, drudzy wymknęli się dyplomatycznie z miasta; inni tłumaczyli się niezdrowiem, a wielu przechorowało na serio to nagłe wystawienie na zimno twarzy, ogołoconej ze swego samorodnego lasu"*.

Trzeba trafu, że akurat poprzedniego dnia nie wiedzący jeszcze o tym ukazie aktorzy wileńscy okleili ściany domów afiszami z zapowiedzią odegrania znanej komedioopery w jednym akcie Ludwika Adama Dmuszewskiego „Szkoda wąsów", cieszącej się niesłabnącym powodzeniem od trzydziestu z górą lat. Nazajutrz policja miała pełne ręce roboty, zajęta zdzieraniem afiszy, zaś niefortunni aktorzy sposobili się do wystawienia innej sztuki.

W 1852 r. w Galicji, rządzonej przez młodziutkiego Franciszka Józefa, wydano *„rozporządzenie cesarskie, aby urzędnicy zatrzymawszy wąsy pogolili brody!..."* Ambroży Grabowski, kronikarz dawnego Krakowa, dowodził w swoich „wspomnieniach", że broda była znamieniem demokraty, liberała i zwolennika postępu. Dodał przy tym, że pod wpływem wydarzeń rewolucyjnych „brody tak się rozpostarły szeroko, iż prawie wszyscy ludzie młodzi zapuścili takowe, a nowość tę przyjęła i niewielka liczba starych głupców... Niektórzy mieli brody gęste, czarne, inni zaledwie kilkanaście włosów rudych, żółtawych — ale poszli za modą i figurowali jako demokraci".

Również i później bujny zarost mógł wskazywać na to, że jego właściciel buntował się przeciwko różnym formom przymusu, zrywając z uznanymi normami zwyczajowymi.

ANDRZEJ KEMPA

1

Klimatyzacja, dużo zieleni i ładne akwaria

Gdy się często podróżuje, wiele się można nauczyć i usłyszeć. To co napisałem nie jest oczywiście żadnym odkryciem, a po prostu odwołaniem się do starej maksymy. Każdy z nas na pewno mógłby opowiedzieć przynajmniej kilka zabawnych historii, które wydarzyły się mu podczas jakichś tam dawnych wojaży. Ja osobiście również mam ich trochę w zanadrzu, a niektóre były nawet dość niebezpieczne. Na przykład kiedyś wracałem z niewielką (na szczęście) grupą kibiców Legii.

Najbardziej jednak lubię podczas różnego typu podróży przysłuchiwać się ludziom. Oczywiście można mi tutaj zarzucić, że jest to po prostu zwykłe podsłuchiwanie. Ale nie! Boć przecież, jeśli siedzę z kimś w przedziale, to chcąc nie chcąc słyszę o czym się mówi. Owszem, można jeszcze wyjść na korytarz, ale i tam ludzie rozmawiają. A poza tym, po co się wycofywać, skoro więcej z owych dyskusji człowiek dowie się o sytuacji w kraju niż z niejednego źródła, jak to się mówi, dobrze poinformowanego.

W tej chwili z różnego rodzaju usłyszanych w pociągu rozmów wynika, że wszyscy w tym kraju zakładają firmy. Okazuje się więc, że Polacy to naród niesamowicie przedsiębiorczy, świadczy o tym już choćby nasz, że tak powiem, prywatny handel zagraniczny. Udało się nam wszak już wciągnąć pod własne wpływy pół Europy, a i Azję mamy całkiem nieźle spenetrowaną.

A teraz wreszcie dzięki nowemu prawu możemy robić interesy na własnym gruncie, co prawda podatki gniotą, ale zawsze co swoje, to swoje. I tutaj Polacy wykazują się całą gamą pomysłów. Oto krótkie fragmenty wybrane z mojego pociągowego nasłuchu: niski brunet o okrągłych świdrujących oczkach, taki się nie da oszukać, mówi do człowieka bardzo do niego podobnego, choć trochę wyższego (może to brat?).

— *Słuchaj, mam taki pomysł, jeśli na dużym osiedlu wystawimy pojemniki na czerstwe pieczywo — ludzie przecież nie mają co z nim robić — i co tydzień, oczywiście za odpowiednią opłatą, będziemy odstawiać do jakiejś chlewni czy innej drobiarni, to będziemy mieli z tego czysty zysk. A jeszcze w międzyczasie możemy zajmować się czymś innym.*

— *Na przykład* — wtrącił drugi — *wziąć w ajencję jedną śmieciarkę i jakiś tam rejon osiedla sprzątać.*

— *Ty! Nie rozpędzaj się... kto by nam za to płacił?!*

W tym miejscu wybuchnąłem śmiechem i obaj popatrzyli na mnie niezbyt przychylnie. Wyszedłem więc na korytarz na papierosa. Ale tam trwała inna rozmowa. Dobrze ubrany młody mężczyzna do bardzo atrakcyjnej blondynki:

— *...Będę udzielał porad psychologicznych z nastawieniem na sprawy erotyczne... jest nas kilku... już wszystkie formalności mamy załatwione. To będzie spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.*

I tak dalej i dalej. Bo już z tych rozmów (a nie były one czymś wyjątkowym) widać, że naród myśli, co tu i za jak najlepsze pieniądze można otworzyć. W Krakowie na przykład tamtejsze przedsiębiorstwo komunikacji miejskiej oddało w ajencję studentom jedną z linii tramwajowych. Znany jest także wypadek, kiedy do jednego z urzędów zgłosiła się starsza pani i powiedziała, że chce wieczorami w swoim mieszkaniu handlować wódką. Natomiast pewien pan poprosił o zgodę na prowadzenie domu publicznego.

Ja również widzę dla siebie miejsce w prywatnym sektorze gospodarki. Otóż proszę sobie wyobrazić dobrze (nawet bardzo dobrze) prosperującą spółkę. Jej prezes ma na pewno moc obowiązków i nie może przyjąć wszystkich interesantów. Ale obok jego gabinetu jest wspaniale urządzony pokój, z klimatyzacją, dużą ilością zieleni i ładnymi akwariami. Tam siedzę właśnie ja i z klientami, którzy nie mogą być szybko przyjęci przez prezesa, prowadzę kulturalne rozmowy. Na moim biurku leżą najnowsze pozycje z literatury, wiem, co dobrego grają w teatrach i kinach, w malarstwie się podciągnę, a i o pogodzie też mogę niezgorzej pogawędzić. Panowie prezesi spółek, proszę pomyśleć, jakie byłoby to odprężenie dla wiecznie zagonionych biznesmenów, którzy was odwiedzają. Co do pensji, to sprawa jest całkowicie otwarta. Moja propozycja jest aktualna.

A teraz poważnie (choć to wcale nie znaczy, że to, co napisałem wyżej, jest niepoważne). Dobrze jednak się stało, że wreszcie coś zdecydowanie ruszyło w prywatnej przedsiębiorczości. Władze nie powinny się zbytnio obawiać, wszyscy w końcu interesów nie założą, a miejmy nadzieję, że przy zdrowej konkurencji, do której jeszcze niestety daleko, poprawi się sytuacja na rynku. Byleby tylko, jak w przypadku pierwszej rozmowy, zanadto rodacy się nie rozpędzili, bo więcej można wtedy stracić niż zyskać. No, ale to już ryzyko każdego nowego biznesmena.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Lewym okiem

Parę centymetrów emocji

Kolarstwo uważam za jeden z mniej interesujących rodzajów sportu. Mimo wielkiej i kosztownej oprawy propagandowej, wielkiego hałasu w prasie, w radio i telewizji, czynionego wokół dorocznych Wyścigów Pokoju, od wielu lat nie śledziłem tej imprezy. W tym roku wysłuchałem wielu relacji radiowych nadawanych z trasy wyścigu. Prawie wszystkie te relacje, wygłaszane typowym reportersko-sportowym tonem pośpiesznego zadyszania i gorączkowej ekscytacji, sprowadzały się właściwie do słów, że wyścig jest nieciekawy, jego przebieg wręcz nudny, na wielo, wielokilometrowej trasie cały peleton jedzie jedną zwartą grupą, powolutku, kolarze rozmawiają ze sobą, śmieją się jak na majówce. Reporter nie ma po prostu o czym mówić i nie rezygnując ze swej profesjonalnej zadyszki powtarza w kółko: „tak, tak, jedzie, cały peleton jedzie, nasi są w środku, nie, w lewo od środka, nie, w prawo, ale są nasi, są, jadą wszyscy, jadą powolutku, prawie jak na spacerze, tempo jest wycieczkowe" i tak dalej, i tak przez całe długie etapy Wyścigu Pokoju.

Prawdziwy wyścig, czyli zmaganie się poszczególnych zawodników, zaczyna się na kilkanaście kilometrów przed metą każdego etapu. W tym prawdziwym wyścigu bierze udział trzech, czterech zawodników, reszta nadal jedzie zwartą grupą i nadal musi tak jechać, bo na czele, przez całą szerokość drogi jadą ci, których zadaniem jest powstrzymywanie całego peletonu. Przepraszam, jeśli kogoś urażam taką sugestią, ale nie mogę się jej oprzeć. Przecież dla zdobycia punktów przez drużynę jakiegoś kraju pozwala się jednemu członkowi tej drużyny jechać do przodu, a reszta jego kolegów blokuje wszystkich współzawodników, żeby go nie dopędzili. Tak to chyba jest. A może nawet jest tak, że kiedy ktoś naprawdę zaczyna zdradzać objawy wychylenia się poza peleton i wyskoczenia do przodu, to ktoś inny robi świadomie kraksę, czyli jedną wielką kupę rowerów i ludzi, cała historia trwać musi ładnych parę minut zanim wszyscy wstaną, otrzepią się i ruszą w dalszą drogę, pozostawiając przeważnie na miejscu kilku najbardziej poszkodowanych. Różni fachowcy, doradcy, specjaliści towarzyszący kolarzom w długim szeregu aut, na każdym etapie pouczają swych podopiecznych, jaką mają stosować taktykę, kiedy jechać do przodu, kiedy i kogo powstrzymywać. Istnieje cały skomplikowany bank informacji, jak to się niegdyś działo w piłkarstwie, za czasów słynnego Jacka Gmocha. W takim wyścigu więcej jest już chyba kunktatorstwa niż rzeczywistej próby sił.

Tu pragnę powiedzieć, że kolarze mają absolutną rację, że tak właśnie postępują. Skoro po dwustukilometrowym odcinku na metę wpada trzech, czterech kolarzy z różnicą paru centymetrów, albo w przeliczeniu na czas z różnicą ułamków sekundy, to przecież te ułamki sekundy nie są zdobyte na dwustukilometrowej trasie, tylko na tym ostatnim, naprawdę liczącym się odcinku, ale te centymetry wystarczają. Więc po co właściwie męczyć się przez całe dwieście kilometrów. Oni mają rację, tylko że mnie taka impreza coraz mniej wydaje się sportową i coraz mniej będzie interesować.

Wiele lat temu w Słupsku musiałem o jeden dzień przedłużyć delegację, bo nie mogłem dojść do dworca poprzez ogromne gęste tłumy witające jadący wówczas tamtędy Wyścig Pokoju. Dzisiaj to by mi już nie groziło.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Albo anioł z ognistym mieczem, albo...

Zupełnie nie wiem, co robić: śmiać się, płakać czy modlić się do Dobrego Pana Boga, aby zesłał Anioła Gabriela, który posługując się ognistym mieczem zrobiłby porządek w piłkarskim świecie. Bo proszę tylko posłuchać!

Wojciech Łazarek po sławnym laniu, jakie polscy piłkarze oberwali w Sztokholmie, całą winę zrzuca na... sędziego. Powołuje następnie piłkarza Soczyńskiego z ŁKS do kadry na mecz z Anglią, choć kibice w Łodzi dziwią się, dlaczego tak czyni, bo przecież jaką formą dysponuje ów piłkarz można łatwo się przekonać. A nie jest to forma dobra. I już nawet ci nieliczni dziennikarze, którzy bronili dotąd Wojciecha Łazarka, przestali to robić i nie ukrywają teraz krytycznych uwag o poczynaniach trenera pierwszej reprezentacji.

Na mecz z Anglią nie pojedzie Dariusz Dziekanowski, bo... go nie ma. Zniknął jak sen jakiś złoty. Przepadł. Wyjechał gdzieś w Polskę i nie zostawił adresu. A może pojechał szukać pracy w jakimś obcym kraju? Rodzimy jego klub, czyli stołeczna i wojskowa Legia, żeby ratować honor, zawiesiła zawodnika na dwa mecze, ale jakoś nadal nie wiadomo, gdzie podziała się gwiazda polskiego futbolu, zwana też niekiedy „papierowym tygrysem".

Ale najlepszy numer wykręciły Orlęta. Chodzi o reprezentację zawodników do 21 lat życia. Otóż Dariusz Sajdak z Mielca pojechał autobusem do Austrii — przez dwie granice — jako Artur Chwedczuk ze Szczecina. Co ciekawsze ani straż graniczna, ani celnicy nie zorientowali się, że młodzian jedzie na cudzym paszporcie, co jest przecież przestępstwem. Zorientowali się, że coś jest nie w porządku austriaccy działacze, którzy nie mogli zrozumieć, dlaczego w drużynie gra Dariusz Sajdak, który nie jest zameldowany w hotelu. Skąd mieli wiedzieć, że Dariusz Sajdak mieszka w hotelu jako Artur Chwedczuk? Gospodarze nawet podejrzewali, że Polska ma swego zawodnika młodzieżowego, który... mieszka w Austrii na stałe. Jak Bogusław Hajdas — trener młodzieży piłkarskiej i autor pomysłu, aby Dariusz Sajdak pojechał z cudzym paszportem — wytłumaczył gospodarzom ten fenomen, nikt nie wie. Jest to bowiem jego słodką tajemnicą.

Wszystkim bardzo zależało na tym, aby cała afera z paszportem pozostała słodką tajemnicą PZPN, ale uparty dziennikarz „Przeglądu Sportowego" — Tomasz Jagodziński wyciągnął ją na światło dzienne i wiceprezes PZPN — Jerzy Domański, występując przed kamerami TVP w „Niedzieli sportowej", nie mógł nie zapewnić kibiców piłki nożnej, że winni będą ukarani. Tylko że Dariusz Sajdak grał w Austrii 21 marca 1989 roku, a wiceprezes PZPN — Jerzy Domański zapewniał telewidzów 21 maja. To przez ten czas nie mogli być ukarani? Widać nie mogli. A dlaczego? A dlatego, że artykuł Tomasza Jagodzińskiego ukazał się w „Przeglądzie Sportowym"... 19 maja 1989 roku. Ot i powód tej opieszałości. Teraz już nie można udawać, że nie było sprawy. Prawnicy uważają, że PZPN nie ma innego wyjścia tylko musi zgłosić przestępstwo do właściwej prokuratury. Co zrobi? Zobaczymy.

Jeszcze nie przebrzmiały prasowe komentarze i relacje po wielkim praniu, jakie urządzono na konferencji sprawozdawczo-wyborczej Kolegium Sędziów PZPN, a już warszawski sędzia Zbigniew W. narozrabiał w Szczecinie.

Najpierw może kilka słów o tym praniu. Totalnej krytyce poddano rządy Stanisława Ekształna w Kolegium Sędziów, zarzucając mu między innymi, że prześladował niezadowolonych, którzy odważyli się go krytykować, że stworzył własną CIA, powierzając Ryszardowi Sobieckiemu zbieranie trefnych materiałów o wszystkich sędziach piłkarskich. W końcu prezesem został Zygmunt Stachura, który po ciężkiej walce wyborczej — 3 razy głosowano — wygrał z Eugeniuszem Kolatorem. Prezes PZPN — Marian Jabłoński był wyraźnie zażenowany tymi brudami, jakie wylewano na konferencji sprawozdawczo-wyborczej Kolegium Sędziów PZPN. Żeby choć z tego prania wyszło coś dobrego.

Nie minęło jednak kilka dni i do Szczecina pojechała trójka sędziów z Warszawy. Mieli oni sędziować mecz tamtejszej Pogoni z Ruchem. Sędziowali. Jednego z nich — jak podejrzewają dziennikarze — przywieziono na mecz prosto z... izby wytrzeźwień.

Nim się tam dostał, o godzinie 5.40 rano tego dnia, kiedy miał sędziować, koszem od śmieci wybijał okna w Szkole Podstawowej nr 68 w Szczecinie, dostał się do wnętrza i dokładnie zaczął ją demolować. Milicja przewiozła go do izby wytrzeźwień.

Warszawski Okręgowy Związek Piłki Nożnej w trybie nadzwyczajnym odsunął od prowadzenia meczów trzech sędziów: Janusza E., Ryszarda S. i Zbigniewa W. Wszystkich trzech, jak stwierdza komunikat „w związku z incydentem kompromitującym sędziowską organizację, przed meczem I ligi Pogoń — Ruch w Szczecinie".

Wybrykami Zbigniewa W. zajęła się milicja i prokuratura.

Ten mecz miał zresztą nieszczęśliwy i haniebny ciąg dalszy. W podszczecińskiej miejscowości Zdroje pociąg Szczecin — Lublin został zatrzymany i doszło do bitwy między „kibicami" Pogoni i Ruchu. Pociąg miał opóźnienie 140 minut oraz pięć zdemolowanych wagonów. Wybito w nich między innymi 31 szyb. Przy okazji wybito 5 szyb w mijającym ten pociąg „Portowcu", który jechał z Warszawy do Szczecina.

Może by jednak powołać specjalne grupy milicyjno-prokuratorskie, które bez przerwy będą towarzyszyły naszym ukochanym piłkarzom i ich wiernym kibicom? Bo na Anioła Gabriela liczyć chyba nie można.

BOGDA MADEJ

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II (18)

Królowie życia

Choćbyś, człowieku, nie wiem jak męczył się, starał, pracował, nędza życia i tak cię dopadnie. Nie w takiej formie, to w innej. Umyjesz okna, wyfroterujesz podłogę, zmienisz olej w samochodzie, weźmiesz dobry prysznic — i patrząc na świat z wnętrza czystej koszuli myślisz, że wszystko w porządku, że życie nie jest takie złe.

Znakomite samopoczucie, byle tylko trwało do wieczora! Ale oto zjawiają się złe duchy, udręczone rzeczywistością, która układa się nie po ich myśli, więcej, otwarcie przeciw nim występuje. W mózgach tych ludzi fuzel, rdza, śmieć i bagno. Cały ten obrzydliwy bagaż przywożą do ciebie i bez litości wywalają go na środek stołu, zatruwając środowisko, w którym żyjesz, na długie dni. Nie ma człowieka, który by nie padł ofiarą sfermentowanych, gnijących stworów, i Jan Duch nie był wyjątkiem.

Wszystko układało się dobrze: Kalina studiowała, on jeździł ciężarówką, nieźle zarabiał. Praca była w tej sytuacji narkotykiem, który pozwalał uciec od własnych problemów, od prostej świadomości samego siebie. Duch nie był już sobą — był kanadyjskim „driverem", mógł nazywać się John Duck, czyli Jan Kaczka, bo tak wymawiali jego nazwisko. Niektórzy zresztą wymawiali je Dutch, co znaczyło Holender, i sądzili, że przyjechał z Holandii. Było mu to na rękę, bo taki „Dacz" jest uważany za dobrego pracownika, solidnego, czystego — niezła opinia na kredyt.

Żył jak w transie. Po powrocie z roboty był tak zmęczony, że zasypiał w fotelu, ledwie tylko usiadł. Nie mógł się przyzwyczaić do wysiłku. Nie tylko prowadził bowiem pojazd, ale też ładował go i rozładowywał na placach budowy, czasami w błocie po kolana. Ramy ważyły po sto i po trzysta funtów, to znaczy od pięćdziesięciu do stu pięćdziesięciu kilogramów. Czasami jeździł z nim Bob, ale częściej posyłano Ducha samego i mógł tylko liczyć na pomoc robotników budowlanych, którymi byli przeważnie Włosi. Lecz nikt nie chciał przerywać roboty bez rozkazu majstra, ponieważ dostawali forsę za budowanie domów, nie za co innego. Momentalnie wartość jednej godziny byłaby takiemu chętnemu samarytaninowi odpisana.

Duch kiedyś dokonał aktu cichego sabotażu — zwalił ramy na kupę, nie segregując ich, byle jak, krzywo, duże przemieszane z małymi, garażowe z okiennymi, ciężkie „bay windows" zaryte w błoto... Odjechał, a tam już, w robocie, czekał na niego Ginter z wymierzonym jak pistolet wskazującym palcem:

— Nasza firma jest solidna, chłopcze — powiedział. — Nie możemy sobie na takie lekceważenie klienta pozwalać. Wrócisz tam i ułożysz wszystko według numerów. My dostarczamy materiały budowlane, a nie śmieci. Odtrącę ci połowę dniówki. A jeśli jeszcze raz się to powtórzy, zwolnię cię z pracy.

— I'm sorry, Ginter — zaczął Duch, chcąc się usprawiedliwić, bo miał tysiąc powodów, żeby zwalić nowe, znakomite ramy na kupę jak odpadki, i każdy z tych powodów wydawał mu się wystarczający, żeby Ginter go zrozumiał.

Ale Ginter znał już setki takich, co to się usprawiedliwiają, zamiast dobrze pracować. Machnął ręką, ucinając dyskusję:

— Jeszcze jedno słowo i opuszczasz pracę! Rób, co należy, albo good-bye!

Duch bez słowa wskoczył do szoferki i pognał na drugi koniec miasta, skromne pięćdziesiąt kilometrów, żeby poprawić kupę zlekceważonego materiału. Tam czekał na niego manager placu budowy i jego mina wyrażała smutek, zwykły ludzki smutek, przemieszany z niedowierzaniem, że ktoś może tak traktować materiał.

— My dzięki temu żyjemy — pokazał ręką stos — tak nie można, człowieku.

Odszedł gdzieś, ale Duch wiedział, że jest obserwowany. Powoli i spokojnie porozkładał materiał, i było to o wiele cięższe niż prawidłowe wyładowanie z wozu. Ale kiedy to robił, głupia złość zupełnie z niego wyparowała. Rozjaśniło się w nim, zrozumiał nagle tę prostą prawdę: rób dobrze to, co robisz, za co dostajesz pieniądze.

To jest cała filozofia kapitalizmu, jego jedyna podstawa. Ale gdyby była przez ludzi stosowana w całej pełni, mogłaby stać się podstawą socjalizmu. Z jednym dodatkiem. Pracodawca państwowy powinien powtarzać sobie: płać dobrze za to, co ludzie robią, jeśli robią dobrze. A jeśli nie, to wywalaj ich z pracy.

Wrócił do firmy i mijając Gintera powiedział:

— Thank you, Ginter, that was a good lesson.

Ginter uśmiechnął się i po kilku tygodniach dobrej pracy Duch otrzymał podwyżkę.

I mimo zmęczenia, które odczuwał stale, oprócz niedziel (bo w sobotę zdążył zwykle wypocząć i niedziela już była w porządku — ale na nieszczęście w poniedziałek o siódmej musiał być w pracy) — otóż mimo zmęczenia i stanu półprzytomności, w którym znajdował się przez pięć dni w tygodniu, Jan Duch przestawał cierpieć. Stopniowo godził się na degradację — z fetowanego w Polsce poety na robociarza! — zaczynał nawet odczuwać coś w rodzaju masochistycznej przyjemności w tym, co robił. Czasami myślał o swoich warszawskich kolegach literatach, o tej wielkiej różnicy, która ich od niego dzieliła, a z której dawniej nie zdawał sobie sprawy.

Koledzy literaci byli słabi fizycznie, żaden z nich nie potrafiłby się ocalić w nowej sytuacji. Pewnie, żaden z nich nie opuściłby kraju, nie mając zapewnionej pracy w zagranicznej rozgłośni czy na uniwersytecie. Takie maminsynki, uwiązane pępowiną do cycka systemu. Wystarczy lizać i ssać. I były momenty, w których miewał poczucie nieomal szczęścia, idącego ze świadomości, że jest silnym, zdrowym mężczyzną, który może przetrwać w każdych warunkach. Ale te momenty były rzadkie, częściej docierał do niego zupełny bezsens wykonywanej pracy, którą mógł wykonać każdy debil.

Z drugiej strony — człowiek pozbawiony forsy był tu właśnie debilem. Dobry poeta amerykański ma na życie, ale gdyby znalazł się w krainie Eskimosów, musiałby łowić foki, żeby przeżyć. Samo gadanie wierszem w języku, którego nikt nie rozumie, nie wypełni żołądka.

Jan Duch pojmował złożoność, a jednocześnie prostotę układów międzyludzkich. Zrozumiał, że wybrał sobie bardzo kiepski zawód. Nic tak nie dzieli ludzi jak odmienność języka. Gdyby był muzykiem czy malarzem, albo reżyserem filmowym. No cóż. Do filmówki przyjmowali tych, którzy mieli już jakieś studia ukończone — mędrcy wychodzili z założenia, że reżyserem powinien zostać człowiek już dojrzały, już posiadający dyplom, zawód — taki, jeśli wybiera reżyserię filmową, to znaczy, że ma światu coś szalenie ważnego do powiedzenia.

A jakież to studia pokończyli znakomici amerykańscy fachowcy od zabawiania, których filmy podbijają cały świat? Duch zaczął zbierać informacje i okazało się, że najbardziej znani i bogaci nigdy nie splamili się studiowaniem czegokolwiek w polskim znaczeniu tego słowa. Ten i ów próbował tego i owego, rzucał, chwytał co innego, a cały czas po prostu starał się być „in", to znaczy wewnątrz, gdzie dzieją się interesujące go rzeczy.

Sztuki, żadnej sztuki — nie można nauczyć się w żadnej szkole, tak samo jak nie można zostać rekordzistą świata na podstawie ukończenia AWF.

Żeby jeszcze wyżej podnieść samopoczucie, Duch pomyślał sobie, że Edison, wynalazca żarówki i gramofonu, oraz Ferdynand Porsche, konstruktor znakomitego samochodu, byli samoukami. A niejakiego Einsteina wyrzucano ze szkoły za nieuctwo. Podniesiony na duchu, Duch założył czystą koszulę i pojechał do polskiej dzielnicy, by w koleżeński sposób pocieszyć Witka Wariata, którego poprzedniego dnia wyrzucono z pracy.

Duch już od dawna orientował się, że z Witkiem jest źle. Witek przyjeżdżał do pracy na długo przed otwarciem bramy, parkował swojego Datsuna z boku pod płotem i spał. Z początku myślano, że on się pali do pracy, ale szybko się okazało, że to pomyłka, bo mimo puszczenia maszyn w ruch Witek spał dalej w swoim srebrnym bolidzie i trzeba było go budzić. Po prostu balował nocami, chlał jak dziki, a o piątej rano przyjeżdżał pod firmę, żeby ominąć tłok na drodze w godzinach porannego szczytu.

Miał tylko pół żołądka, wóda gniła w nim dramatycznie, czasami robili kurs jedną ciężarówką, i Witek natychmiast zasypiał obok Ducha, mrucząc:

— Bijemy komara...

Potem puszczał gazy, bardzo jadowite, bez chwili przerwy, po prostu sączyło się z niego jak z popsutego kurka. Duch trzymał głowę w otwartym oknie, puszczał wentylację na cały regulator. Dojeżdżał do budowy na pół uduszony, bo cały czas wstrzymywał oddech. Ciekawe, że kiedy Witek prowadził, to był tak zajęty, że nie smrodził. Ale Duch nie pozwalał mu prowadzić swojego pojazdu, ponieważ wolał smród niż śmierć.

Truck Witka Wariata osiągał szybkość osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę, a to jest sto czterdzieści kilometrów. Duch raz z nim pojechał i było to przeżycie, którego do końca życia nie zapomni. Wicio dochodził na styk inne wozy, rzucał maszynę w bok, wskakując przed nos wozom na sąsiednich pasach, dosłownie o centymetry ocierał się o cudzą blachę.

— Przyhamuje skurwysyn grzechotnik — mruczał — przecież widzi, że jestem większy. Nie ma szans.

No i każdy przyhamowywał, aż piszczało. Trąbili na niego, doganiali, wygrażali pięściami, ktoś nawet strzelił, była dziurka w drzwiach i kulę znaleziono w szoferce. Ciekawe, że nigdy nie interweniowała policja, miał niezwykłe szczęście.

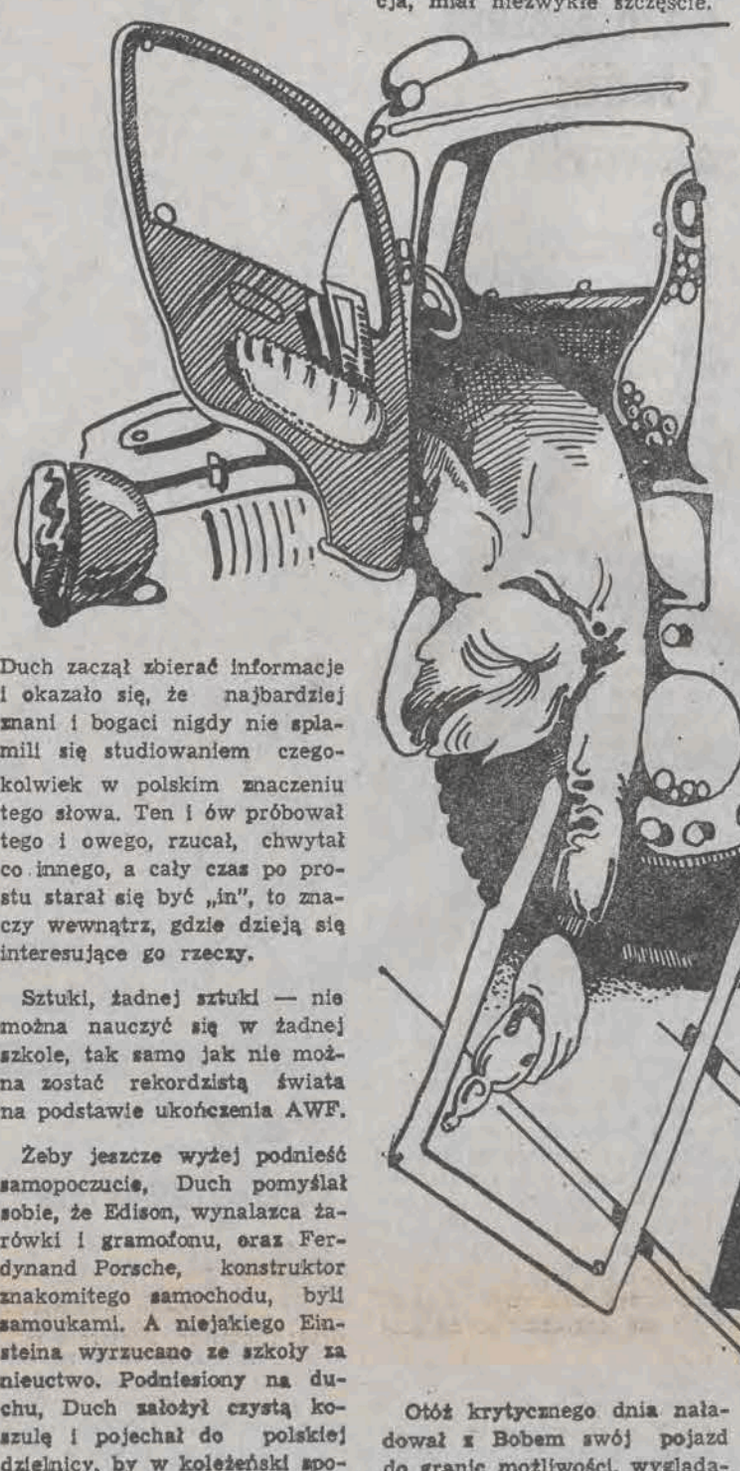

Otóż krytycznego dnia naładował z Bobem swój pojazd do granic możliwości, wyglądało to jak warszawski Pałac Kultury, powiązany sznurami — brakowało tylko żagli i byłby Dar Pomorza. Zadzwonili z budowy, żeby natychmiast dostarczyć. A Wituś przepadł. Szukają go wszędzie, nie ma. Jego Datsun stoi na parkingu, więc nie opuścił pracy. Może w kiblu? Nie ma. Kamień w wodę.

Duch wrócił wtedy pustym pojazdem. Inni szoferzy byli już na trasie. Ginter zdenerwowany. Nie ma kogo posłać. Więc woła Ducha, idą do ciężarówki z towarem.

— Jedź, tylko szybko — mówi Ginter i wręcza mu papiery. Sam sięga do góry, energicznie otwiera drzwi kabiny.

Wali mu się na głowę śpiący jak kamień Witek Wariat! Skulony spał za kierownicą, oparty o drzwi całym swoim mikrym ciężarem — z ziemi nic nie było widać, bo klamka wyżej głowy średniego człowieka — i znalazł się Wituś!

— Kurwa — bełkocze, wstając z ziemi — dojechaliśmy?

Kiedy po załadowaniu usiadł za kołem i zamknął drzwi, natychmiast zasnął. I śniło mu się, że jedzie. Zaklinał się później, że cała trasa, metr po metrze, przesuwała mu się przed oczami, a że był tłok na highwayu, to się napracował, jak rzadko. I tu jeszcze go wyrzucają!

Duch odjechał, zanim jeszcze Witek porządnie stanął na nogach. Po drodze cały czas miał w uszach surowy głos Gintera, strzelający w niemrawo grzebiącego się z ziemi Witusia:

— You are fired!

Po powrocie Duch poszedł do kantorku Gintera.

— Słuchaj — powiedział — po tym, co się stało, na pewno nie zechcesz mnie dłużej zatrudniać. To Witek mnie tu sprowadził, był moim kolegą i obaj jesteśmy Polakami. Więc jeżeli chcesz mnie zwolnić, proszę bardzo, ale od zaraz. Nie znoszę żyć w niepewności, nie mogę wtedy dobrze pracować.

Ginter wysłuchał, patrząc na Ducha szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

— Nie mam zamiaru cię zwolnić, ponieważ pracujesz dobrze. Jak zaczniesz pracować źle, wtedy cię zwolnię. A czy jesteś Polakiem, czy Murzynem, wcale mnie to nie interesuje. Dla mnie pracownik może być biały, żółty, czarny lub zielony, albo niebieski w kwiatki. Spójrz na to — podniósł rękę i pokazał swój chronometr Seiko, któremu brakowało tylko fontanny — czy ja się interesuję kolorem kółek i śrubek w tym przyrządzie? I czy obchodzi mnie to, że jest wykonany przez Japończyków? Mógłby być wykonany przez Szwajcarów, co za różnica? Seiko jest tak samo dobre jak Omega, a o połowę tańsze. Mnie interesuje efekt ekonomiczny, nic innego. Ten zwolniony mógł być twoim bratem, albo kochanką, co mi do tego? On pracował źle, a ty pracujesz dobrze. To wszystko.

A kiedy Duch, uspokojony i zadowolony, wychodził z kantoru, Ginter dorzucił:

— To nie jest Europa, przyjacielu, zapamiętaj raz na zawsze! Jak przetrzymasz tu dziesięć lat, to już nigdy nie wrócisz do Europy.

Miał rację. Nikt nie wraca do Europy, niezależnie od tego, z jakiego kraju przyjechał. Jednostki próbują wracać, zwabione ułudą królewskiego życia w starym kraju, bo kanadyjska forsa wszędzie zapewnia wyższy poziom egzystencji — ale większość z nich cierpi, tęskni i wraca na „stare śmieci" w Toronto, Calgary czy w Vancouver.

A wobec tego, czy tylko i wyłącznie dla pieniędzy ludzie emigrują? Bo kiedy już mają tych pieniędzy całą masę, i w swoich starych krajach (old countries) mogliby grać rolę nababów, wcale nie chcą wracać. Niektórzy nawet wybierają przeciętny poziom życia w Kanadzie zamiast luksusu w Europie (za tę samą forsę!), wolą pracować i męczyć się, zamiast... No, wiadomo. Ale wolą tę inną mentalność, to logiczne podejście do każdego problemu życiowego, wolą poczucie swobody i osobistego sterowania własnym losem, i odnosi się to nie tylko do Polaków, do Niemców, Francuzów i Anglików też. Stara to prawda, że forsa to nie wszystko. Lecz kiedy jest swoboda i logika i praktyczne podejście do życia, to przecież automatycznie pojawia się forsa — i wszyscy są zadowoleni, nie ma potrzeby dokonywać rewolucji, by zapewnić przyzwoite warunki społeczeństwu, wystarczy, że członkowie społeczeństwa porządnie pracują, każdy na swój rachunek. Nawiedzeni „uzdrawiacze świata" i „uszczęśliwiacze ludzkości" też znajdują właściwe warunki życia w komfortowo wyposażonych klinikach.

Był więc Jan Duch w miarę usatysfakcjonowany swoim losem, dopóki nie wszedł na poddasze starego domu rodzinnego w polskiej dzielnicy na Garden Avenue. Witek Wariat miał tam swoje gniazdo.

Wewnątrz siedziało kilkunastu facetów i piło wódkę. Duch znowu spotkał znajomych z Brukseli! Sytuacja jak na rue Jourdan, tylko brakowało Georgii.

— No i co, Jasiu? — odezwał się na jego widok Franio Zajdel. — Nareszcie żyjemy! Nie to, co w tej cholernej Belgii.

— Jak ci się powodzi?

— Biere anemploiment — skrzywił się Zajdel. — Na życie starczy, a wódeczkę to się jakoś kombinuje...

Połowa obecnych brała zapomogę dla bezrobotnych. Wystarczyło wówczas popracować trzy tygodnie, żeby dostać od rządu cotygodniowy zasiłek w wysokości nieco niższej od zarobków. Taka pomoc ciągnęła się przez pół roku albo i dłużej.

— Tobie też radzę — odezwał się Józek Golczyk — robotą do niczego nie dojdziesz. Długo już na tym traku latasz?

— Długo.

— Zrób, żeby cię wyrzucili, zapomogę dostaniesz. A w tym czasie możesz na czarno porobić, jakbyś chciał.

— A komu to się opłaca! — wrzasnął Witek. — Na kapitalistów pracujesz, a oni się rozwalają na plaży w Kalifornii. Zawsze mówię: do roboty to chłop, traktor i niedźwiedzia łapy. Myślisz, Jasiu, że ja chciałem dalej robić w tym ABCO? Już przyszedł czas, żeby pobrać trochę grosza za darmo, i specjalnie tak zrobiłem... Trzeba było widzieć minę tego szwaba, jak mu wyleciałem z szoferki na łeb!

— Widziałem — powiedział Duch. — Miał minę, jakby mu gówno na łeb spadło.

Witek się obraził. Wobec tego Duch wypił dwa kieliszki i wyszedł. A z nim Bolek — pornograf i Stasiu Gral.

C.D.N.

rys. Dariusz Romanowicz

casio

- Sumatory biurowe 10-, 12-, 14- i 16-pozycyjne z drukarką i wyświetlaczem optycznym
- Kalkulatory inżynierskie
- Kalkulatory biurowe 8-, 10-pozycyjne
- Kalkulatory kieszonkowe
- Maszyny elektroniczne do pisania
- OVERLOCKI przemysłowe i półprzemysłowe oraz maszyny kuśnierskie

O F E R U J E
PRZEDSIĘBIORSTWO WIELOBRANŻOWE
„J A K R A N"
Radom, ul. Mariacka 4/6
tel. 248-31 tlx 67588 JAKRAN

818/K

jakran

Polmatex
Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych
Majed

w Łodzi
PRODUCENT MASZYN
dla przemysłu włókienniczego i chemicznego

O R G A N I Z U J E
PRZESZKOLENIE i PRACĘ
w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbczych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych, również dla absolwentów techników

O F E R U J E
ATRAKCYJNĄ PRACĘ INŻYNIEROM i TECHNIKOM,
szczególnie w specjalnościach
- technologii budowy maszyn
- konstrukcji maszyn włókienniczych
- konstrukcji form do tworzyw sztucznych
- konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej
- powlekania galwanicznego i lakierniczego.

Z A T R U D N I
PRACOWNIKÓW WYKWALIFIKOWANYCH i DO PRZYUCZENIA
w zawodach
- tokarz
- frezer
- wiertacz
- szlifierz
- ślusarz
- galwanizer
- odlewnik
- monter maszyn
- blacharz
- elektronik
- elektryk
- narzędziowych
- remontowych

oraz
- portierów-rewidentów
- wydawców magazynu
- robotników niewykwalifikowanych

I N F O R M U J E
MONTERZY MASZYN, ELEKTRONICY i ELEKTRYCY
delegowani są do prac przy montażu do wielu krajów świata.

Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa

Nie przyjmujemy osób po porzuceniu pracy.

Posiadamy ośrodki wczasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę wczasów z przedsiębiorstwami w NRD

Szczegółowych informacji udziela **Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, Łódź, ul. Żeromskiego 96, tel. 36-05-26 lub 36-57-00, wew. 115.**

3344/K

espero
TO URODA I ZDROWIE!

Jeszcze do niedawna korzystanie z urządzeń będących własnością klubów sportowych było zarezerwowane wyłącznie dla osób trenujących.

CHOJEŃSKI KLUB SPORTOWY wespół z PPH **„ESPERO"** udostępniają pomieszczenia wraz z wyposażeniem dla wszystkich.

— Chcesz mieć ładniejszą sylwetkę, zrzucić nadmiar kilogramów, odprężyć się, poprawić kondycję fizyczną i psychiczną, poznać nowych ludzi?
— Chcesz ciekawie i czynnie spędzić czas?
— Twoje dziecko ma wady postawy?
— Dolega ci reumatyzm i bóle kręgosłupa?

ZGŁOŚ SIĘ DO NAS, do
OŚRODKA REHABILITACJI MEDYCZNEJ I ODNOWY BIOLOGICZNEJ —
Chojny, ul. Kosynierów Gdyńskich 4/18
(dojazd autobusem 70 bis).

P O L E C A M Y
konsultacje u wysokiej klasy lekarzy specjalistów z zakresu rehabilitacji, leczenie dolegliwości bólowych i urazowych, korekcję wad postawy u dzieci, gimnastykę rekreacyjno-odchudzającą (aerobic) dla pań i siłownię z atlasem dla panów. Dysponujemy gabinetami do masaży, fizykoterapii (diaterma, ultradźwięki, sollux itp.), kinezyterapii (ćwiczenia czynne i bierne) i wodolecznictwa (masaże podwodne i wirowe, natryski płaszczowe itp.). Zapraszamy do solarium i do sauny.

Oddzielne niekrępujące gabinety, estetyczny wystrój sal, bardzo dobre zaplecze, sympatyczna i fachowa obsługa zapewniają wysoki komfort usług. Zajęcia są prowadzone indywidualnie i grupowo od rana do wieczora.

Wszystkie gabinety i urządzenia, trzydzieści miejsc noclegowych w pokojach gościnnych oraz otaczające ośrodek tereny zielone czekają na ciebie! 2076/K

PRZEDSTAWICIELSTWO ŁÓDZKIE Sp. ZAKŁADU UBEZPIECZEŃ „WESTA"

— być może zarobisz nieźle, ale z pewnością chciałbyś zarabiać więcej.

TAKA SZANSA ISTNIEJE. —
Wystarczy, że zgłosisz się na
ul. PIOTRKOWSKĄ 204 a

— uzyskasz tam wszystkie niezbędne informacje o możliwości zatrudnienia
W CHARAKTERZE POŚREDNIKA UBEZPIECZENIOWEGO.

Prężnie rozwijająca się nasza firma obejmuje zakresem swojego działania coraz to nowe rejony miasta i kraju. Niewykluczone, że jest to właśnie to czego szukasz.

O F E R U J E M Y:
— PRACĘ W WYMIARZE PEŁNEGO ETATU
— PRACĘ NA UMOWĘ-ZLECENIE.

Przy nienormowanym czasie pracy zarobki rzędu 300—400 tys. zł nie są u nas czymś wyjątkowym.

Jeśli jesteś operatywny, energiczny i solidny, jeżeli potrafisz zaangażować się w powierzone obowiązki SZU — „Westa" czeka na ciebie.

Nie zwlekaj, zgłoś się na ul. Piotrkowską 204 a, pokój 103, I piętro.

Zatrudnimy również specjalistę do Działu Spraw Osobowych.

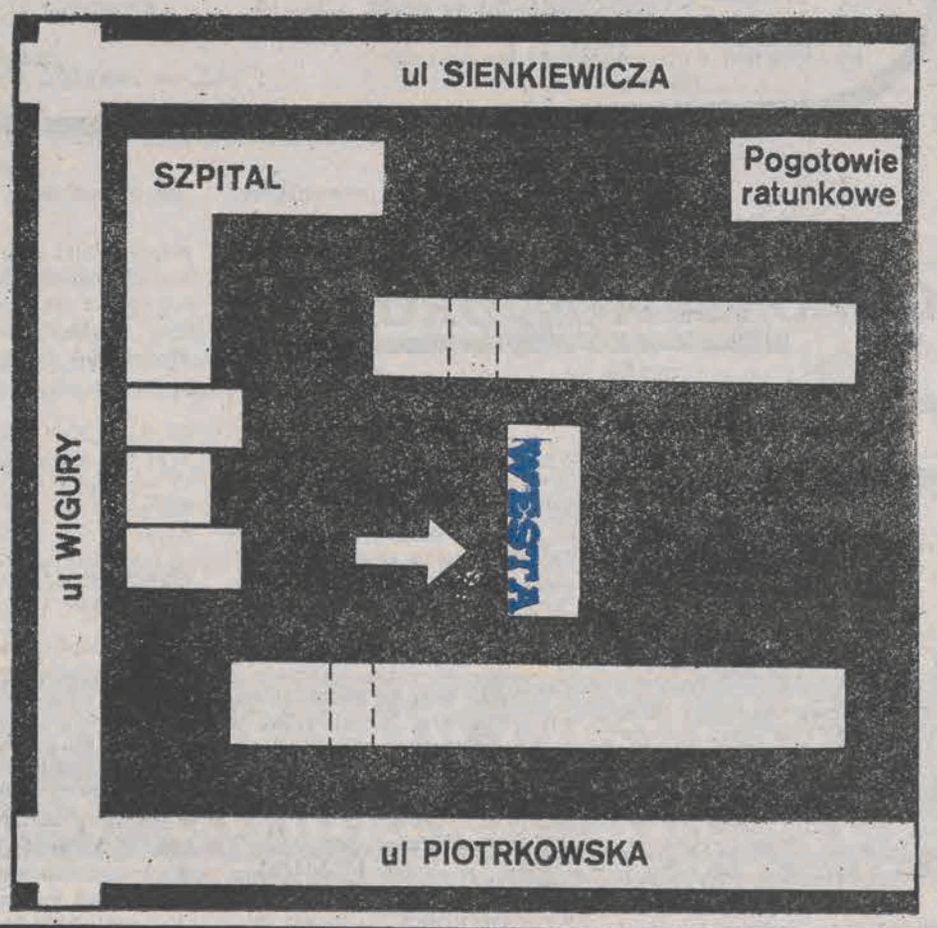

UWAGA!

iC Inter Commerce

Sp. z o.o. „INTER COMMERCE"
oraz PZ „HELIOS"
zapraszają do zwiedzenia swojej ekspozycji
prezentowanej w ramach INTERFASHION 89

SZCZEGÓLNEJ UWADZE PAŃSTWA

P O L E C A M Y:

1. URZĄDZENIA DO METKOWANIA
   - ◄ LICZĄCE — tzw. numeratory, które zwielokrotniają wydajność i sprawność znakowania nakładów w toku produkcji odzieżowej;
   - ◄ IGŁOWE — urządzenia umożliwiające wstrzeliwanie w tkaninę plastikowych łączników (łączą tkaninę i np. etykiety)
   - ◄ CENOWE — jedno- i dwuwierszowe zapewniające szybkość metkowania cenowego i asortymentowego, jego trwałość i niezawodność, ułatwiają prowadzenie gospodarki magazynowej, pozwalając na oznakowanie towarów nie tylko cechą indeksu materiałowego, ale również datą przychodu.

UWAGA! OFERUJEMY TAŚMĘ DO WW. URZĄDZEŃ

O R A Z N O W O Ś Ć!

2. ETYKIETY NA FOLII SAMOPRZYLEPNEJ ACETATOWEJ
   - — na trwałe przyklejane do różnego rodzaju tkanin,
   - — farby używane do druku nie ulegają zniszczeniu podczas prania
   - — zastępują metki wszywane do wyrobów tekstylnych.

3. FARBY DO NADRUKU NA TEKSTYLIACH — FIRMY SERICOL
   - ◄ SOFTRAN — podkładem mogą być wszystkie włókna sztuczne, naturalne oraz zabawki.
   - ◄ TEXISCRIN — podkład dowolne grubsze rodzaje tkanin ze względu na silne działanie mieszanki, sztuczne jedwabie, poliester, wełna, włókna acrylowe.
   - ◄ TEXAPAGUE — wprasowanie na bawełnę, włókna naturalne, torby, ubiory sportowe.

WSZYSTKIE FARBY OFERUJEMY W DUŻYM WYBORZE KOLORÓW.

2078/K

ZAPRASZAMY: Łódź ul. Worcella 21

Łódź ul. Worcella, hala A, II pietro

UWAGA RZEMIEŚLNIKU!

✲ MASZYNY SZWALNICZE ✲
firm zachodnich

posiada w ciągłej sprzedaży po atrakcyjnych cenach

Skład Konsygnacyjny
UZUM Markus SA

w Łodzi, ul. Zgierska 186 A
tel. 34-80-69 w godz. 10—14.

Sprzedaż za waluty wymienialne i bony PKO.
Kupując u nas otrzymasz ulgę inwestycyjną.

2040/K

Uspołecznione Zakłady Usług Marketingowych
Markus SA (j.g.u.)

Z A T R U D N I A

✲ S Z W A C Z K I ✲
w systemie nakładczym.

Nawiążemy również współpracę z osobami przebywającymi na urlopach wychowawczych — proste szycie.
Tel. 43-39-95 w godz. 8—15 oraz tel. 43-45-39 po godz. 16.

3714/K

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

POŚREDNICTWO kupna — sprzedaży telewizorów, odtwarzaczy itp. 34-10-51. Trzuskowski. 29610-g

LOKALE

KUPIĘ lokal sklepowy. Listy „31795" Biuro Ogłoszeń, Piotrkowska 96.

POSZUKUJĘ kawalerki z wygodami 33-59-07. 32374-g

NAUKA-PRACA

PRYWATNA jednostka innowacyjna zatrudni: dyrektora-pełnomocnika (wynagrodzenie trzykrotna średnia plus udziały, powyżej 0,5 mln) absolwentkę HZ — marketing, księgowość, sekretariat (dwukrotna średnia, udziały, powyżej 0,3). Wyłącznie listy: „SPELLTRONIX" Łódź, Piotrkowska 71. 32034-g

PRYWATNA firma zatrudni zaopatrzeniowców handlowców w branży materiałów budowlanych. Atrakcyjne zarobki. 74-68-70. 31928-g

USŁUGI

WP CENTROPOL — Zespół Psychologów, Logopedów-Pedagogów poleca usługi specjalistów w domu klienta. Diagnostyka, poradnictwo, korepetycje (kl. O — III), inne. 55-70-27, 55-70-45 (8—15). 43-16-48 dni robocze 18—21. 22278-g

ZE SLAJDÓW — negatywy, odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „Studium", Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej). Rycel. 31054-g

WYPOŻYCZALNIA magnetowidów 74-82-92 Woźniak. 23010-g

AUTO-Transtur-Relaks — kolonie, obozy, wczasy. Tel. 84-42-75. 29881-g

RÓŻNE

HAMBURG — trzydniowe pobyty Weekendy autokarowe Wiedeń, Berlin Zach., kolonie, wczasy nad morzem i w górach. „Sartour" 36-31-54, Sienkiewicza 101/109 31911-g

Ogłaszaj się w „OGŁOSACH"

OCHRONA OSÓB I MIENIA

Zakład Działalności Gospodarczej
KS „Społem"

Z A T R U D N I

NA UMOWĘ — ZLECENIE
na stanowiska:

- ◄ konwojentów
- ◄ pracowników dozoru
- ◄ pracowników ochrony osób i mienia

Preferujemy byłych funkcjonariuszy MSW, żołnierzy zawodowych LWP, aktualnych członków ORMO.

Szczegółowe informacje w sprawie zatrudnienia:

Klub Sportowy „Społem",
Łódź, ul. Północna 36
tel. 32-65-19, wew. 5 lub 33-39-59
w godz. 9—14.

3615/K

JEDYNIE Pewex

Nasze sklepy czekają na Ciebie !

ŁÓDŹ, ul. Armii Czerwonej 31, tel. 74-47-72.
ul. Astronautów, tel. 84-96-48.
ul. Boj. Getta Warszawskiego 5, tel. 57-75-95.
ul. Bratysławska 10, tel. 86-00-17.
ul. Gdańska 15, tel. 33-60-49.
ul. Jaracza 6, tel. 33-00-61.
al. Kościuszki 118, tel. 36-11-41.
ul. Marynarska 4, tel. 57-13-39.
ul. Piotrkowska 44, tel. 32-25-20.
ul. Piotrkowska 116, tel. 32-35-97, 32-22-14.
ul. Piotrkowska 143, tel. 36-55-36.
plac Wolności 6, tel. 36-08-90.
plac Wolności 6, tel. 32-55-23.
ul. Plantowa 1, tel. 52-77-54.
ul. Róży Luksemburg 6, tel. 57-12-72.
ul. Rzgowska 3, tel. 84-65-97.
ul. Sienkiewicza 21, tel. 33-46-44.
ul. Snycerska 3, tel. 57-45-87.
ul. Tuwima 63, tel. 74-73-56.
ul. Tybury 9, tel. 51-74-61.
ul. Wojska Polskiego 68, tel. 57-43-73.
ul. Kilińskiego 59/63, Hotel „Centrum", tel. 32-86-40.
ul. Piotrkowska 72, Hotel „Orbis Grand", tel. 33-99-20.
al. Kościuszki 64, Hotel „Światowid", tel. 36-30-44.
ŁOWICZ, Rynek Kościuszki 15, tel. 63-18.
OPOCZNO, ul. Piotrkowska 7, tel. 26-32.
OZORKÓW, Nowe Miasto 3, tel. 18-51-74.
PABIANICE, ul. Armii Czerwonej 18, tel. 15-53-77.
ul. Nawrockiego 30, tel. 15-32-52.
ul. Wileńska 45, tel. 15-60-22.
PIOTRKÓW Trybunalski, ul. Piastowska 5, tel. 428-35.
PIOTRKÓW Trybunalski, Rynek Trybunalski 7, tel. 36-66.
PIOTRKÓW Trybunalski, Hotel „Trybunalski", ul. Roweckiego 5, tel. 76-81.
POLICHNO — Motel „Polichno", tel. 72-91, 92, 93.
RADOMSKO, ul. Piastowska 6, tel. 47-31.
RAWA MAZOWIECKA, ul. Świerczewskiego 8, tel. 20-07.
SIERADZ, plac Gen. Świerczewskiego 19, tel. 37-57.
SKIERNIEWICE, ul. Jagiellońska 2, tel. 20-98.
ul. Mszczonowska 30/32, tel. 47-47.
TOMASZÓW MAZOWIECKI, pl. Kościuszki 26, tel. 26-01.
WIELUŃ, ul. Sieradzka 4, tel. 42-69.
ZDUŃSKA WOLA, ul. Kilińskiego 8, tel. 35-69.
ZGIERZ, ul. Rewolucji 1905 r., 82, tel. 16-21-10.
ul. Świerczewskiego 4, tel. 16-49-16.
ŻYRARDÓW, ul. Okrzei, tel. 41-91.

NAJATRAKCYJNIEJSZE TOWARY Z CAŁEGO ŚWIATA JEDYNIE W PEWEXIE !

WĘŻE SPAWALNICZE produkcji zachodniej najtaniej w kraju termin dostaw – NATYCHMIAST !

SPÓŁKA Z O.O.
Ditkom
Warszawa, ul. Polna 18/20 m.76
tel. 42-11-46 w godz. 8-12

---

kalkulatory firmy casio z wyświetlaczem i drukarką

Zasilanie sieciowe i bateryjne.
Nowoczesne i niezawodne.
10-, 12-, 14 i 16-cyfrowe niezastąpione w działach finansowo-księgowych
KALKULATORY INŻYNIERSKIE
Udzielamy 12-miesięcznej gwarancji, zapewniamy serwis gwarancyjny
Krótkie terminy do odbiorcy Płatność przelew, inkaso
Nasz adres:
Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe, Sp. z o.o.
ul. Słowackiego 189, 26-600 Radom
tel. 524-65; 527-80
teleks. 067645

460 F

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowo-Usługowe

Vispol

MURSA®

PPHU „VISPOL"
Sp. z o.o. (j.g.u.)

PRZYJMUJE ZLECENIA

na realizację w systemie „Mursa — ZM":

— **budownictwa mieszkaniowego jedno- i wielorodzinnego oraz infrastruktury towarzyszącej,**
— **budownictwa o charakterze produkcyjnym, handlowym, usługowym i rekreacyjnym.**

System „Mursa — ZM" charakteryzuje się:

— **oszczędnością w zużyciu cementu, wapna, stali i drewna,**
— **technologiczną możliwością skrócenia cyklu inwestycyjnego,**
— **niskim współczynnikiem przenikalności cieplnej przez ściany zewnętrzne.**

System ten gwarantuje budownictwo do trzech kondygnacji.
Szczegółowych informacji udziela Biuro Zarządu w Łodzi przy ul. Północnej 53, tel. 78-73-56.
O przyjęciu zlecenia decyduje kolejność zgłoszeń.

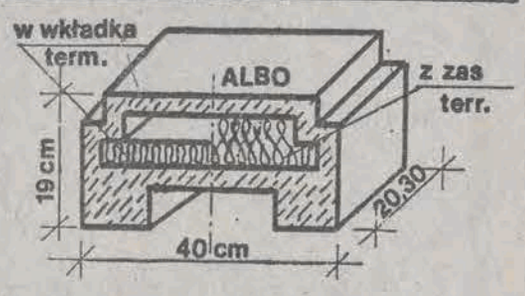

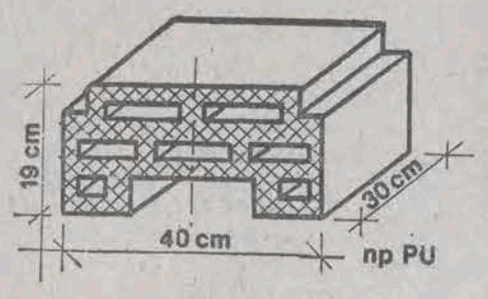

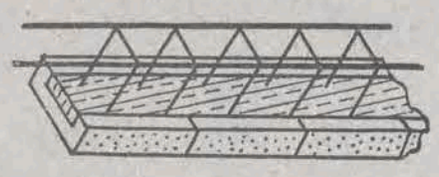

VISPOL to własny, tani, ciepły dom bez kłopotów w dwanaście miesięcy

Zabrzańskie Gwarectwo Węglowe

Kopalnia Węgla Kamiennego „MAKOSZOWY"

w Zabrzu ul. MAKOSZOWSKA 24

ZATRUDNI OD ZARAZ DO PRACY POD ZIEMIĄ:

mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat, w zawodach: górnik, ślusarz, elektryk, pracownik niewykwalifikowany pod ziemią oraz pracowników na powierzchni w zawodach: murarz, dekarz, zdun, robotnik budowlany.

PRACOWNIKOM ZAPEWNIA SIĘ:

— wynagrodzenie wg układu zbiorowego dla PW w zależności od stopnia kwalifikacji i stażu pracy,
— wynagrodzenie z Karty Górnika,
— deputat węglowy w wysokości 8 ton rocznie (dla pracowników żonatych),
— roczne nagrody z funduszu zakładowego (13 i 14 pensja),
— z okazji Dnia Górnika przysługuje nagroda w wysokości miesięcznego wynagrodzenia,
— jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 100.000 zł dla pracowników zatrudnionych pod ziemią, którzy zawarli związek małżeński po 01.02.1982 r. umarzaną po 5 latach nienagannej pracy,
— premie jubileuszowe za 15, 20, 25, 30, 35, 40, 45, 50 lat pracy,
— zakwaterowanie i wyżywienie w Domach Górnika,
— dodatek stabilizacyjny przez okres 2 lat w wysokości 2.240 zł miesięcznie i do 5 lat w wysokości 1.120 zł dla osób, które po raz pierwszy podjęły pracę pod ziemią,
— premie regulaminowe, uznaniowe, produkcyjne oraz specjalne premie dla pracowników nowo przyjętych zatrudnionych pod ziemią w następujących wysokościach:
  — po siedmiu dniach pracy 1000 zł,
  — po miesiącu pracy 2.000 zł,
  — po trzech miesiącach pracy 2.000 zł (jeżeli absencja usprawiedliwiona nie przekracza 5 dni).

Nie przyjmujemy kandydatów do pracy zwolnionych dyscyplinarnie lub z porzuceniem pracy.

DOKUMENTY WYMAGANE DO PODJĘCIA PRACY:

— dowód osobisty
— legitymacja ubezpieczeniowa
— książeczka wojskowa
— świadectwo pracy
— świadectwo szkolne
— dla osób z rolnictwa zaświadczenie z Urzędu Gminy potwierdzające czasokres pracy w gospodarstwie rolnym wraz z adnotacją, że może pracować poza rolnictwem.

Szczegółowych informacji udziela dział zatrudnienia, po osobistym zgłoszeniu się lub telefonicznie 71-40-41 w. 5655.

Przy kopalni istnieje Zasadnicza Szkoła Górnicza w Zabrzu, ul. 3 Maja, przyjmująca młodzież do nauki w wieku 15—18 lat.

Informacji udziela sekretariat szkoły, telefon 71-29-15. 2072/k

„MAKOSZOWY"

zgłoś się do nas!

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA KOPALNI „MAKOSZOWY"

Zabrze ul. 3-go Maja 118
tel. 712-915

O G Ł A S Z A

wpisy dla absolwentów szkół podstawowych na rok szkolny 1988/89

Kształcimy w zawodach:

✱ **górnik kopalni węgla kamiennego**
✱ **mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego**
✱ **elektromonter górnictwa podziemnego** ✱ **mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych**
✱ **monter układów elektronicznych i automatyki przemysłowej.**

Warunkiem przyjęcia jest:

— **nie ukończony 18 rok życia**
— **ukończenie szkoły podstawowej**
— **zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia**

Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia:

— **pomoc materialną:**
w klasie I 3881 zł
w klasie I o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 6468 zł
w klasie II 4620 zł.
w klasie II o specjalności górnik węgla kamiennego 7700 zł
w klasie III, jeżeli zajęcia praktyczne odbywają się na dole, 6098 zł + 650 zł dodatek adaptacyjny. Jeżeli zajęcia praktyczne odbywają się na powierzchni — 4712 zł + 450 zł dodatek adaptacyjny
w klasie III o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 10 164 zł + 650 zł dodatek adaptacyjny.

Uczniowie mieszkający w internacie otrzymują bezpłatne wyżywienie i zakwaterowanie oraz dodatek na wydatki osobiste płatny w gotówce.
w klasie I 1164 zł.
w klasie I o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 1940 zł.
w klasie II 1386 zł
w klasie II o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 2310 zł
w klasie III, jeśli zajęcia odbywają się na powierzchni 1414 zł + 450 zł dodatek adaptacyjny
w klasie III, jeżeli zajęcia odbywają się na dole, 1829 zł + 650 zł dodatek adaptacyjny.
Klasa III o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego 3049 + 650 zł dodatek adaptacyjny.

Ponadto uczniowie nie korzystający z interantu otrzymują ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla wynoszący 830 zł miesięcznie. Wszyscy uczniowie mają prawo do premii miesięcznej do 50 proc.

Zapewniamy:

— **internat dla uczniów zamiejscowych**
— **codziennie bezpłatny posiłek regeneracyjny dla wszystkich uczniów**
— **bezpłatne wyposażenie uczniów w komplet podręczników i przyborów szkolnych.**

ABSOLWENCI wyróżniający się dobrymi wynikami w nauce posiadają pierwszeństwo w podejmowaniu dalszej nauki w 3-letnim Technikum Górniczym. Natomiast absolwenci podejmujący bezpośrednio po ukończeniu ZSG pracę w kopalni otrzymują bezzwrotną pożyczkę w wysokości 150.000 zł Szkoła prowadzi również następujące kursy, z których mogą korzystać uczniowie szkoły:

✱ **kurs spawania gazowego i elektrycznego**
✱ **kurs radiowo-telewizyjny oraz języków obcych** ✱ **kurs prawa jazdy**

Zapisy przyjmuje i bliższych informacji udziela sekretariat szkoły. 2073/k

Ogłaszaj się w „Odgłosach"